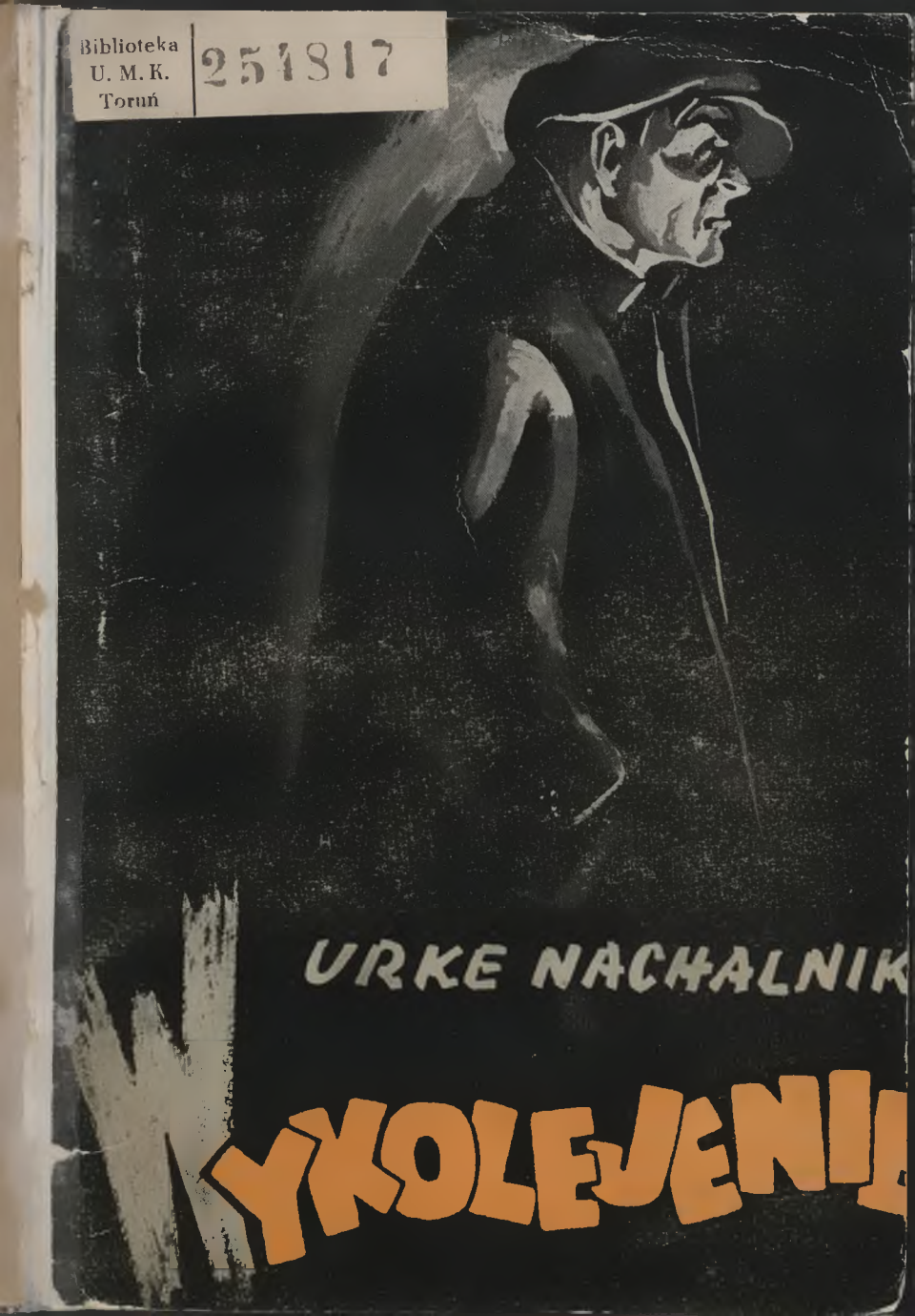


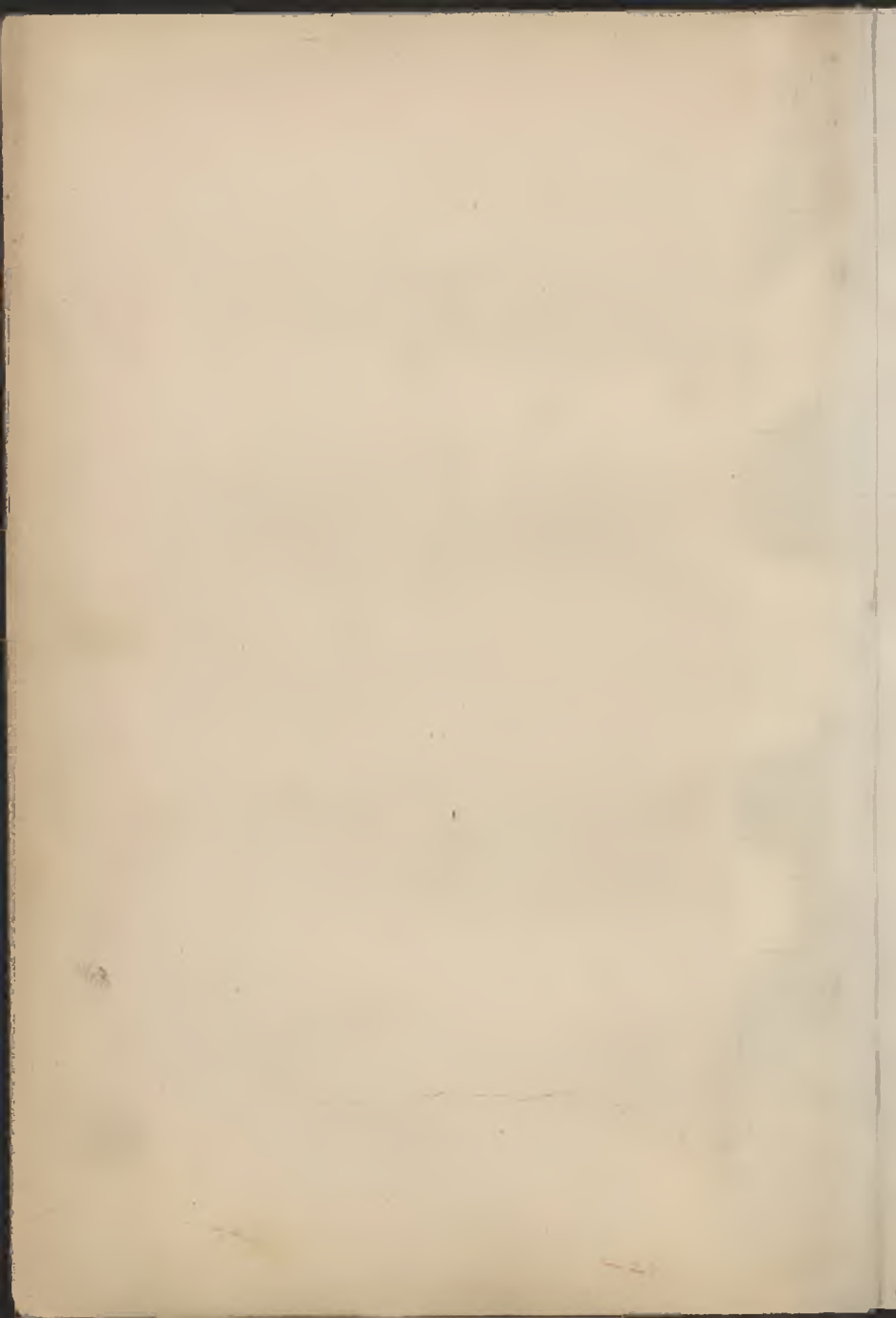
Biblioteka
U. M. K.
Toruń

254817

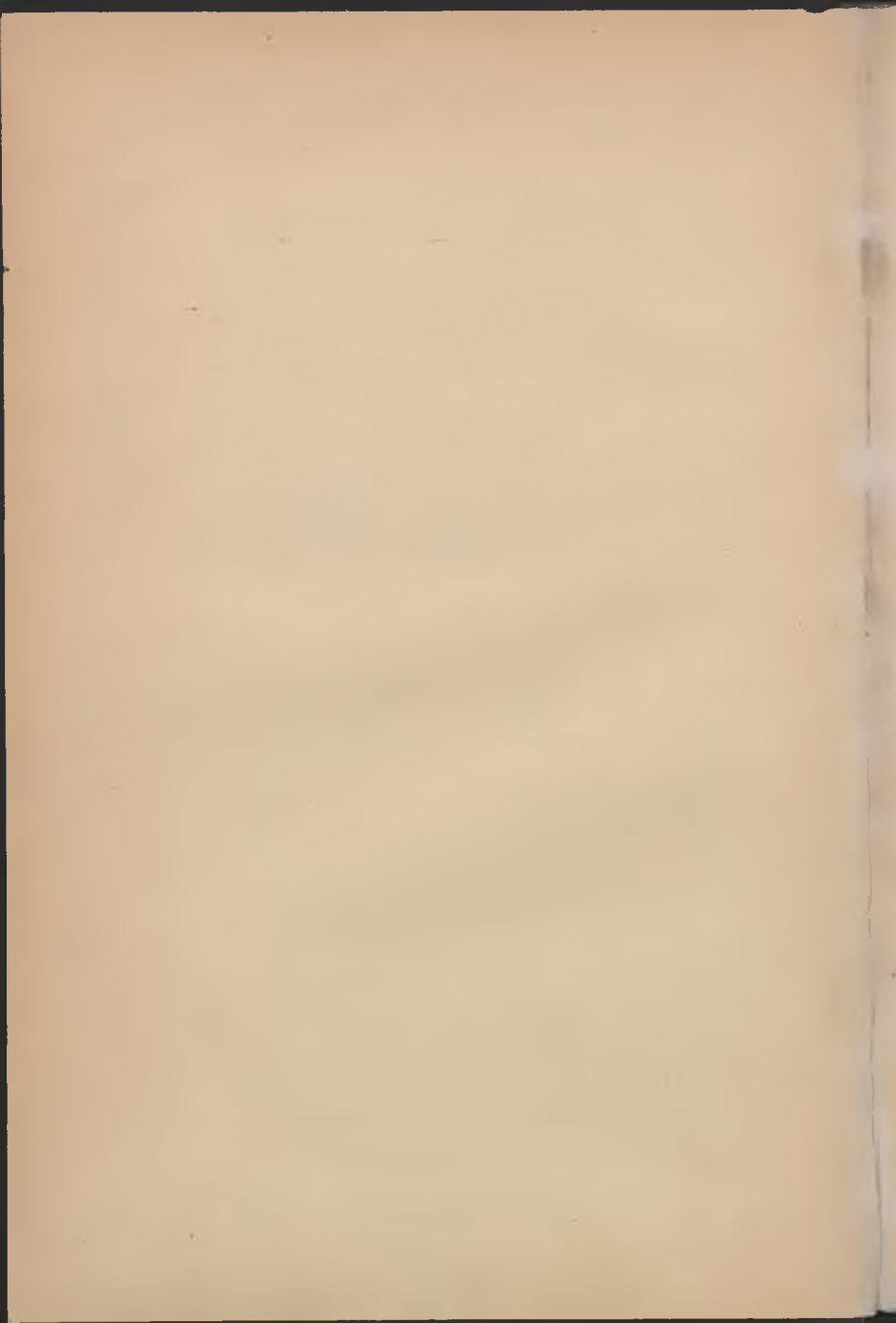


URKE NACZALNIK

YKOLEJENI



WYKOLEJENIEC



URKE NACHALNIK

WYKOLEJENIEC

POWIEŚĆ

3

NAKŁADEM AUTORA — LWÓW 1939



lnw. Prohib. 39

25481-

K. 1436/53

Drukarnia Nakładowa, LWÓW, Ul. Koralnicka 4.

Mojej żonie Emmie — wytrwałej współpracownicze
książkę tę poświęcam

A U T O R

ROZDZIAŁ I.

Furta głównej bramy ciężkiego więzienia zatrzaśnięta się z wielkim hałasem. Człowiek został wypchnięty na ulicę. Był wolny...

Głowa pękała mu z nadmiaru szczęścia. Oto doczekał się nareszcie upragnionej chwili, gdy mógł skierować swoje kroki dokądkolwiek chciał.

Jesienny chłód przenikał go całego, przedzierał się przez jego zniszczone ubranie, wydatnie zmniejszając tym jego radość. Dokuczliwa myśl, dokąd się udać, gdzie spędzić „pierwszą noc”, świdrowała jego naprężony mózg, wrywając go ze świata fantazji w którym tkwiła jego osobowość, zamknięta dotychczas w czterech ścianach celi więziennej.

Szedł przed siebie, wymachując rękami, nie zdając sobie całkiem sprawy dokąd? Nigdy jeszcze nie czuł się takim nędznym wyrzutkiem, niepotrzebnym człowiekiem, jak w tej chwili.

Nie zorientował się nawet, kiedy i w jaki sposób znalazł się przed drzwiami znanej sobie doskonale „meliny”.

Człowiek obejrzał się lękliwie dookoła, po czym nieśmiało zapukał do drzwi. Zrobiło mu się nieswojo na widok zmienawidzonej twarzy pasera.

Dłuższą chwilę obserwowali się nawzajem. Człowiek chciał coś powiedzieć, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Paser świdrował go wciąż małymi, chytrymi oczkami, po czym wydał okrzyk zdziwienia:

— Kogo ja tu widzę? Jak się masz Romciu? Wyglądasz!... Ha-ha-ha. Chodź no tu! Siadaj brachu!

Usiadł na wpół żywy na krześle. Bryłka, widząc to, poradził wypić natychmiast pół szklanki gorzały.

— Niema jak porządna „kire” zrobić braciśzku. Jedyne lekarstwo na wszelkie dolegliwości. No, czy przypadkowo też nie myślisz zostać uczciwym człowiekiem, jak każdy z was, który „wykraka” się z ciupy?...

Bryłka roześmiał się lekceważąco klepiąc go przy tym po ojcowsku po ramieniu.

— Dlaczego mam o tym nie myśleć, chętnie pozbyłbym się tego przeklętego życia. A ty, stary, nigdy nie myślałeś o tym?

Bryłka spuścił głowę jakby się wstydził i odparł:

— Nie raz synku o tym myślałem. Nigdy jednak nie znalazłem drogi, do lepszego spokojnego życia.

— Gadaj co mam robić teraz ze sobą. Poradz, masz więcej doświadczenia niż ja. — zaryzykował przybyły.

— Co tu radzić, zamyślił się Bryłka i usiadł koło niego, obejmując go ojcowskim spojrzeniem. Radzę

ci przede wszystkim wyrobić sobie „lewy gryps“. Jest to rzecz bardzo ważna dla każdego z „naszych“. Musisz pamiętać o tym, że gdybyś się teraz „zasypał“, wlepiłoby ci za byle głupstwo kilka wiosenek za „recydywę“. Ja sam całe życie chodzę na lewym nazwisku, zaśmiał się gorzko Bryłka.

— Dobrze wiem o tym, co to „lewy gryps“. Jednakże boję się go mieć przy sobie. I za sam „gryps“ można złapać ładnych parę miesięcy bez kradzieży. Więc uważam, że nie warto.

— Frajer z ciebie, synu kochany. Słuchaj co ja ci mówię: „lewy gryps“ koniecznie musisz mieć. Postaram się pomówić z Kłębem. On raz dwa to załatwi. Na składzie u niego możesz dostać co tylko zechcesz „Żelazny gryps“, „Wiater“, Paszport zagraniczny. Wszystko, nawet fałszywe dolary. To jest macher co się zowie. A forsy dużo masz, synku?

— Jak widzę, stary, już bzika dostajesz na stare lata. Gdybym miał forszę, nie przyszedłbym do twojej meliny. Po drugie nie byłbym tak ubrany, gdybym posiadał pieniądze.

— To takie buty. Bez forsy do Bryłki. A jak macie forszę cholera was nosi po melinach, gdzie można się zabawić z córeczkami melinerów. Powiedz no u Myszki byłeś już. On ma córeczkę cacko. Ona już nie jednego frajera jak ty ogoliła z forsy. Moją córeczka tak nie potrafi.

Bryłka zerwał się ze swego miejsca i latał ze złości po pokoju jak młodzik, po czym dodał:

— Co za paskudny świat teraz jest. Nie ma ani

jednego porządnego złodzieja. Same pętaćtwo. Za spódniczką gotowi są w ogień pójść. Wszystkie więzienia są wypełnione przez kobiety i meliny. Dawniej porządny złodziej prowadził życie rodzinne. Po melinach nie chodził. Chciał wypić — zrobił to w domu. Ubierał się jak najskromniej. Dziś lada pętać ubiera się tak, że policja bierze go od razu na oko. Nie zdąży nacieszyć się nowym ubraniem, a już jest aresztowany. On wędruje do pojedynki a ubranie jego do worka. Pluskwy i mole mają pociechę z jego ubrania, a nie on.

Dawniej było wszystko inaczej. Złodziej był inny. Inny był paser, melina, nawet więzienia. Świat złodziejski przewrócony jest teraz do góry nogami. Każdy łachudra garnie się dziś do fachu złodziejskiego. Zbankrutowana prostytutka zakłada sobie melinę, co moim zdaniem jest ordynarną pułapką na złodziei. Złodziej który ma „cykorie” ryzykować własną skórą, zakłada sobie kawiarnię. Córeczki uprawiają interesy na swoją rękę, a ojciec na swoją. Za moich czasów żaden złodziej nie ożenił się z prostytutką a co jeszcze mówić córkę taką mieć. Dziś oczy bolą patrzeć na to wszystko. Niema więcej dawnych współników, którzyby życie oddali jeden za drugiego. Niema więcej solidarności złodziejskiej.

— Ot naprzykład ty, ciągnął dalej swoje wywody Bryłka, podniecony własnymi słowami. Odkiwaleś teraz trzy wiosenki w mamrze. Wychodzisz goły, nagi, bosy. Przychodzisz do mnie, przyjmuję cię jak na złodzieja przystało. Chcę ci z całej duszy pomóc. Jak

ci nie wstyd. Złodziej taki jak ty, zamiast zemścić się za te młode lata spędzone w więzieniu, zrobić kilka dobrych robót i pożyć jak na złodzieja przystało, wołasz, że masz dość już tego. Prawdziwy złodziej z krwi i kości złodziejskiej zginie raczej, a nie podda się. Nie będzie się pętał o uczciwą pracę u frajerów. Ty już nigdy porządnym złodziejem nie będziesz. Zawsze będziesz miał pociąg do frajerskiego świata, skąd pochodzisz.

Bryłka zmęczony długą mową upadł na krzesło. Plunął kilkakrotnie w jego stronę, zabryzgując mu trzewiki, po czym polecił, by im podano do stołu. Do gościa zaś zwrócił się, patrząc z podełba, aby rozgościł się jak u siebie w domu. Przyznał, że ma słabość do niego. Lubi go za to, że zawsze ma jakieś nowe pomysły.

ROZDZIAŁ II.

Przy śniadaniu zjawiła się też córeczka, Felcia. Ubrana była w pidżamę, co bardziej uwydatniało jej zgrabną figurkę. Mimo to, że Bryłka tyle mu prawił o moralności córek dawnych złodziejów, Felcia wydawała mu się kobietą o niebardzo surowych zasadach. Podczas śniadania flirtowała śmiejąc się wraz z ojcem z jego chęci poprawy. Felcia mówiła żartobliwie:

— Ja ci poradzę jak się wygodnie urządzić. Ożeń się z frajerką, która ma wielki posag, a wtedy będziesz miał dom, żonę, która więcej nic nie zechce od ciebie jak obowiązku męża. Jak mi się zdaje, patrząc na ciebie, z tego obowiązku doskonale się wywiążesz...

— Jaka frajerka mnie zechce za męża, znając moją przeszłość. Jeszcze w dodatku frajerka z wielkim posagiem.

— Dlaczego nie. Czy myślisz, że frajerki są święte? Musisz sobie poszukać właśnie taką frajerkę, która pragnie tak jak i ty już spokoju. Para będzie z was doskonała.

Bryłka wtrącił się do rozmowy, obrzucając córkę karcącym spojrzeniem.

— Nie macie już o czym mówić? Ty Felcia za młoda jesteś by rozprawiać o tym.

— Nie gniewaj się tatuś. Wiedzieć wszystko nie szkodzi.

Romek obserwował ją i doszedł do przekonania, że jest jednak uczciwą dziewczyną. Zaczęła mu się podobać. Nic więc dziwnego, że postanowił pozostać w melinie Bryłki.

Po śniadaniu Bryłka rozkazał mu nie wychodzić na ulicę aż nie załatwi sprawy z „grypsem“. Obiecał mu, że jak wróci, pomyśli o nowym garniturze. Dał mu też do zrozumienia, że chętnie widziałby go jako swego zięcia. Zapewniał też, że przyprowadzi tu dawnego wspólnika Brytana, aby Romana przyjąć na nowo do spółki.

Dopiero nad wieczorem wrócił i zaraz od drzwi wręczył mu „gryps“, mówiąc:

— Nazywasz się teraz Stefan Zając. Ojciec twój Michał, matka Anna. Urodziłeś się w Wysokie Mazowieckie w r. 1899. Pamiętaj, wbij sobie dobrze do głowy, abys się nie pomylił w gorącej chwili. No, Stefan, wszystko dobrze poszło, Brytan zaraz tu przyjdzie. Mówiłem z nim. Był bardzo zadowolony z twego powrotu. Pomoże zostać ci człowiekiem. A ty nie bądź głupi i słuchaj nas. My lepiej wiemy co na wolności się dzieje niż ty z więzienia. Felcia, podaj brązowy garnitur. Wiesz który, ten co wisi przy brzegu w szafie. Podaj też kamasze, bieliznę, wszystko.

Wyszykuj tego kawalera jak do ślubu. Niech wie, że kogo Bryłka bierze pod opiekę — nie zginie. Klepał się przy tym po wydatnym brzuszku, zadowolony z siebie.

Romek spostrzegł się, że wpadł już na dobre w sidła pięknych ócz Felci i powabnych słów jej ojca. Jednakże poddał się z rezygnacją losowi. Niech się dzieje co chce — myślał.

Zdał sobie sprawę, że świadomie stacza się w dół, a jednak nie posiadał na tyle silnej woli aby się zdecydować na wycofanie się zawczasu. Dla spokoju sumienia wytłumaczył sobie, że uczciwy świat istnieje wyłącznie dlatego, aby go można było okradać. Policja na to, by się kryć przed nią. Nozdrza jego poczuły nagle tak dobrze znaną, dawną atmosferę, przepętnioną nienawiścią, atmosferę w której nie tak dawno żył.

Postanowił więc teraz skorzystać z życia zdając sobie sprawę, że dni wolności są i tak policzone. Los jego zależny teraz jest od pechu jakki go będzie prześladował. „Fachowa dusza“ złodzieja odezwała się. Głowa przepętniona została nowymi pomysłami w poszukiwaniu nowych przygód. Muszę szukać i odkryć coś odpowiedniejszego, by mieć od razu dużo forsy. Obiecywał sobie być ostrożnym, aby jak najdłużej popasać na wolności i pić z życia pełnym kielichem aż do utraty przytomności.

Gdy się przebrał, poczuł, że jest jakby nowonarodzonym człowiekiem. Komplementa, którymi Felcia go teraz uraczyła, wbiły go w dumę. Był szczęśliwy gdy powiedziała mu: „jesteś pan mężczyzną,

w którym można się zakochać nawet bez forsy". A Roman w duchu układał już sobie plany jak ją zdobyć dla siebie.

„Praktykę” swą przy boku Bryłki i Brytana przewidywał już z góry. Brytan będzie chciał, aby on ryzykował, a on będzie finansował wyprawy. Bryłka zaś, przy pomocy pięknej córki, będzie zagarniała całą „zarobioną” przez niego forszę.

Znał już z doświadczenia tych przyjaciół, pełnych wyrozumienia, gotowych zawsze z pomocą. Wiedział też o tym, że najlepszą gratką dla nich jest taki jak on, znużony życiem, który już nie dba o swoją skórę. Trafnie oceniał ich dobroć, a jednak płynąć przeciwko prądowi nie był zdolny.

Wieczorem przybył też Brytan. Zaraz od progu z wyciągniętymi ramionami podbiegł do Romana, wołając:

— Nareszcie, Romciu, brachu kochany, jesteś znów u nas. No, teraz myślę nie będziesz mi prawić już morałów, jak dawniej. — Tu zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. — Zapewne zrobiłeś dobrą robótkę, kiedy tak elegancko wyglądasz. Co słyhać nowego?

Roman nic nie odpowiedział, tylko spoglądał na niego z pod oka, patrząc jaką minę ma przy tych słowach przyjacielskiego powitania. Wiedział, że udaje, iż nie wie o tym skąd ma ubranie.

Bryłka zaprosił wszystkich do stołu. Felcia uwiłajała się, podając do stołu. Brytan rozsiadł się szeroko w fotelu, Romana zaś usadowił obok siebie.

— Teraz kiedy jesteśmy tu znów razem, zawołał

Bryłka, wypijemy za nasze zdrowie i powodzenie pierwszej roboty, którą zrobicie razem. Brytan, ja ciebie uważam za najlepszego „majstra” w Warszawie. No i Romek, fest chłopak. Ma czasem genialne pomysły. Wy obaj możecie samego diabła zdobyć, jak zechcecie. Podajcie sobie „graby” i pijemy zdrowie braterskie.

Brytan pierwszy wyciągnął doń rękę.

— Daj „graby”. Od dzisiaj będziemy nierozłączną „Ferajną”. Zgoda, brachu?

Romek podał mu rękę nie patrząc na niego. Jeden nie ufał drugiemu, o czym wszyscy wiedzieli.

Felcia także usiadła obok. Przysłuchiwała się prowadzonej rozmowie. Rozmowa nabrała już fachowego znaczenia. Brytan wyjaśniał, jakie plany ma w wykonaniu roboty u pewnego jubilera. Przedstawił także jakie „szczęście” może ich tam spotkać, gdy ta robota się uda. Zapalił się tak przy omawianiu tej sprawy, że nie dał nikomu dojść do słowa. Roman znał go dobrze, dlatego też wiedział że w fantazji wykonywał największe roboty, a jak przyszło do czynu, zawsze tak kręcił, aby kto inny plecy nastawił. Wziął się na odwagę, przerywając mu w toku wywodów.

— Przestań już klepać. Kto cię nie zna, ale ja przecież dobrze wiem co ty za majster. „Grepsować” to zawsze potrafisz, a jak przychodzi do dzieła, zawsze się „latarni trzymasz”. Ja sam muszę zobaczyć wpierw tę robotę, o której prawisz, a wtedy będę mówił z tobą.

Brytan zaczerwienił się ze wstydu. Jak się póź-

niej Roman dowiedział, Brytan zalecał się do Felci, a tu ten przybysz tak go „obciął” przed nią. Felcia, jak Roman zauważył, była zadowolona, że Brytanowi trochę skrzydeł przycięto.

Bryłka patrzył ze zgorzaniem na Romana; wi-
dać zląkł się, że dojdzie do awantury, jednakże, gdy zobaczył, że Brytan nie odpowiada zupełnie na zarzuty, sobie stawiane, wypogodził swoje dostojne oblicze. Brytan zaś odparł po chwili mrukliwie:

— Już kilka lat upłynęło od czasu gdy „chodzi-
łeś” ze mną. Przez ten czas stałem się innym. Jak
coś postanowię to i zrobię. Będę ryzykował tyle co
i ty. Wcale nie myślę na cudzych plecach do rajtu je-
chać. Mam jeszcze tyle zimnej krwi co i ty, zakoń-
czył wyzywająco.

— Dobra, zobaczymy. Więc gadaj od czego zacze-
niemy. Przecież „robotę”, o której mówiłeś, nie moż-
na na chap łap zrobić. Trzeba dobrze „wystawić”,
wszystko obmyśleć. Musisz wiedzieć o tym, że w ra-
zie „wsypy”, czeka mnie kilka ładnych „wiosenek”.
Musimy na razie co innego zrobić. Ty sam przyznasz,
że mam rację. Na robotę mogę iść i dzisiaj, mnie tam
wszystko jedno już. Jak mam zginąć niech zginę po
kawalersku. Jednakże przyznam ci szczerze, że nie
chciałbym tak prędko się wtrynić do Mokotowa.
Chciałbym trochę pohulać na wolności.

Felcia, gdy skończył, zawołała:

— Widzę, że pan jest bardzo mądry. Wszystko
zrobić można, ale ostrożnie, przy czym roześmiała się

szczerze, co Roman wziął za dobrą monetę, gdyż te dwuznaczne słowa były extra do niego rzucone.

— Masz rację, zawołał Brytan. Wiesz, że ja nie lubię siedzieć w więzieniu. Więzienia i tak są spełnione bez nas. Niema się co tam pchać, śmiał się. Więc słuchaj co powiem ci: o ile przystaniesz do naszej paczki, będziesz mógł się klawo utrzymać do czasu tej „roboty”, o której ci mówiłem.

— Daj mu spocząć ze dwa dni, wtrącił się Bryłka. Niech u mnie pozostanie na mieszkaniu. Drugiego nie przyjąłbym, tylko dla niego wyjątek zrobię. Felcia, zwrócił się do córki, co, przyjmujemy go na kwatere. Nie boisz się go — zawołał szczypiąc ją za policzek.

— Felci trzeba się więcej obawiać niż Romka, wtrącił się Brytan. Ona jest piękna, ale zimna jak stal.

— Tylko dla żonatych, odparła Felcia śmiejąc się. Dziś wybieram się z Romkiem na dancing. Co, tatuś pozwala czy nie?

— Dobra, dobra — zawołał zadowolony stary, ale zdaje mi się, że nie będziesz miała partnera do tańca.

— Co, pan nie umie tańczyć? — zwróciła się doń Felcia z takim wdziękiem, że sympatja ku niej co raz bardziej się w Romanie wzmagala.

— Tańczę i mogę iść z panią. Zresztą taka piękna panna znajdzie niejednego partnera.

— Nie szukam ich wcale — odparła Felcia dumnie. Jak ty nie będziesz tańczył to i ja nie. Posłu-

chamy muzyki przy jednej czarnej i pójdziemy do domu.

— Może i mnie zabierzecie ze sobą, wtrącił się Brytan, ja doskonale umiem tańczyć.

— Pan powinien tańczyć ze swoją żoną — odparła.

Brytan pożerał ją oczyma. Zapalił papierosa i wybębnił palcami marsz wojskowy patrząc wyzywająco na Felcię.

Za chwilę Felcia ubrana była w piękną, czarną jedwabną suknię bez rękawów. Śnieżnej białości ramiona prowokowały obu, że nie mogli oczu oderwać. Podeszła do Romka nie patrząc wcale na wzdychającego ciężko Brytana i rzekła:

— Jestem gotowa, możemy iść.

Romek wstał, chcąc się pożegnać z Brytanem. Ten jednak udawał, że nie widzi jego wyciągniętej dłoni i wstał mówiąc:

— Ja także idę z wami. Choć nie jestem proszony, ale na dancin'g każdy, kto ma pieniądze ma prawo wstępu.

Romek zrozumiał na co się zanosi i pomyślał: Znów kobieta może zepsuć stosunek koleżeński, jak to było zawsze. Czuł, że mimo zawartej spółki, są już sobie wrogami.

ROZDZIAŁ III.

Na ulicy szli w milczeniu. Brytan przygwizdywał sobie jakąś piosenkę. Felcia wzięła Romka pod ramię, tuląc się do niego na złość Brytanowi. Roman był dumny, że wyróżnia go od innych. Przeszli tak kilka ulic w kierunku Marszałkowskiej. Brytan wyrównał się z nimi. Patrzył z góry na Romka. Brytan był ubrany w eleganckie, modne futro i w dodatku był bardzo przystojnym mężczyzną. Dziwiło to Romka, że Felcia stroni od niego. Wiedział dobrze, że ożenek jego bynajmniej jej nie przeszkadza. Córka Bryłki nie mogła do takiej drobnostki przywiązywać głębszej wagi. Zresztą, któż może pojąć kaprysy pięknej kobiety. — Musiała we mnie widzieć coś takiego, o czym ja sam nie wiem, — myślał. Postanowił w duchu, że ją zdobędzie za jaką bądź cenę. Nie wątpił wcale, że ona będzie się drożyć ze swą „cnotą“. Zrozumiał zarazem, że Brytan nie jest jej zupełnie obojętny. Podejrzewał że ona prowadzi tu raczej dyplomację kobiecą. Obrała go prędzej jako zabawkę dla swoich celów. Znając charakter Brytana, Roman

wiedział, że on nie okazałby się takim natrętnym, gdyby ich od dawna nic nie łączyło.

Na ulicy Złotej w podejrzanym dancingu było gwarno i wesoło. Nie był to dancینگ gdzie kelnerzy tytułują: Panie Dyrektorze, panie mecenasie, panie radco. Był to lokal, którego gości razilby podobny tytuł. Właściciel był nie kto inny jak dawny „kawaler nocy“, który dorobił się majątku i założył „gniazdo rozkoszy“, poto, by ogolić swoich kolegów po fachu z gotówki. Tutaj tańczono do upadłego. Grano w karty i ruletkę. Były też separatki, gdzie można było słodkie słówka szeptane sobie w tańcu, wprowadzać w czyn. Obsługa składała się z młodych dziewcząt, które uważały siebie więcej za towarzyszki zabawy niż za sługi.

Właściciel przywitał trójkę, gdy tylko przekroczyli próg lokalu. Brytan był tu stałym bywałcem i znano go z tego, że nie żałował grosza. Przywitał ich serdecznie, mierząc Romka taksującym wzrokiem znawcy. Usadowił ich jak najbliżej bufetu i bez pytania kazał podać kilka butelek wina i likieru.

Kobiet było tu znacznie więcej aniżeli mężczyzn. Jedna ładniejsza od drugiej. Ubrane były więcej pretensjonalnie, niż elegancko. Co chwila puderniczki i lusterka były w ruchu. Kobiety siedzące bliżej, poczęły sobie zawzięcie pudrowawać noski, mrugać oczami. Jak się Romanowi zdawało, nie mogły one znieść widoku pięknej Felci, która była przeszkodą dla nich. Brytan zaprosił kilka znajomych kobiet do stolika.

— Dziś bawię się na całego, wołał nalewając wino do kieliszków. Będziemy się bawić do rana. Co pani na to? — zwrócił się do Felci.

Felcia płonęła cała ze złości i odparła:

— Baw się pan, jak chce. Ja przyszłam potańczyć z Romkiem, a nie pić.

Z tymi słowami wstała od stołu tak gwałtownie, że kielichy nalane winem spadły z brzękiem na podłogę. Goście, przyzwyczajeni widać do takich widowisków, nie zwrócili nawet uwagi. Brytan wołał:

— To nic, ja płacę. Kelner, psia twoja... puć-tu!...

Kelner uklonił się do samej ziemi, zbierając potłuczone szkło. Dopisał do rachunku i podał inne kielichy i wino.

Felcia tańczyła, a Brytan śledził każdy jej ruch. Romka zachęcał do picia.

Teraz nie wątpił już wcale w to, że grają ze sobą w kotka i myszkę. Tylko jednego nie mógł zrozumieć, jaką rolę on ma odegrać. Nie chcąc rozmyślać o tym za wiele, zaczął lekki flirt ze swą najbliższą sąsiadką.

Było tu tyle rywalek, że wybór był trudny. Brunetki, blondynki naturalne i podrabiane. Każda sili się swymi wdziękami ściągnąć na siebie uwagę mężczyzn. Ta nęci słodkim uśmiechem, ta nóżką, inna znów kładzie cały wysiłek w gest. Każde usta wabią do pocałunku i pachną grzechem. U każdej ta sama myśl. Dlaczego ona nie jest jedną kobietą na świecie? Każda tu jest gotowa przytulić do swoich ramion pierwszego lepszego mężczyznę, za pewną opłatą.

Każda pachnie miłością, zemstą i zdradą. Wszystko tu wyszło jak na targ, szukając na siebie nabywcy.

Kobieta, z którą Romek nawiązał rozmowę poprosiła go o sam na sam. Zawahał się, wiedząc, że kieszenie prócz powietrza, więcej narazie nic nie posiadają. Poprosił Brytana, aby pożyczył mu trochę forsy. Ten wyjął sporo forsy i wręczył mu.

— Zabaw się „po złodziejsku”. Wiesz, że jestem twoim przyjacielem.

Roman wstał, chcąc iść za kobietą, gdy wtem Felcia zostawiła swego partnera i prędkimi krokami zbliżyła się do stolika.

— Ty tu pozostajesz na miejscu — zwróciła się do Romka rozkazująco. Obie kobiety zmierzyły się oczyma.

— Czy pani jest jego opiekunką? — zawołała kobieta.

Felcia nic nie odparła i usiadła obok Romana.

Brytan śmiał się na głos.

— To ja pójdę z panią, jak ta pani nie pozwala temu panu. Zobaczymy czy i mną się zaopiekuje. — zawołał cynicznie.

Wstał, a kobieta tryumfalnie ujęła go pod ramię rzucając nienawistne, mściwe spojrzenie na Felcię. Ta udała, że nic nie widzi i poczęła zalecać się na dobre do Romka. Za chwilę Brytan wrócił w towarzystwie tej samej kobiety. Tak manewrował, aby posadzić ją naprzeciw Felci. Ona widząc to kopnęła nóżką w stół, wszyscy zeskoczyli z miejsc wybu-



chając śmiechem. Felcia złapała Romana za rękę o-
puszczając razem z nim lokal.

Był pewny, że teraz pozbył się Brytana, przynaj-
mniej na dziś, jednakże omylił się. Kroczył znów o-
bok. Felcia zawołała taksówkę, Brytan także wsiadł.

— Ja dzisiaj z tobą skończę, zawołał nagle Bry-
tan. Jak długo będziesz mnie męczyła ty przekłeta
samico.

Felcia wybuchła śmiechem.

— Tak długo, jak mi się spodoba. Raz ci powie-
działam: wybieraj albo ja, albo twoja żona.

Słyszac taką rozmowę zrobiło się Romkowi nie-
dobrze — zły zawołał:

— Po jaką cholere ja tu jestem wam potrzebny.
Czy wy myślicie, że ja od początku nie zmiarkowa-
łem waszej gry.

— A jednak jesteś idjotą i nadal ofiarą kobiet —
odezwał się Brytan.

Nie zdążył dokończyć tych słów, gdy Romek wal-
nął go pięścią w nos. Felcia wybuchnęła śmiechem.
Szofer nie zwracał wcale uwagi, na toczącą się w
aucie walkę i jechał dalej.

Brytan miał oczy podbite, a Romek podrapaną
twarz. Groził, że go zabije. Felcia śmiała się do roz-
puku.

— Dziś zawarli spółkę ze sobą i już się pobili.
Niech was diabli wezmą. No, pogódźcie się. Ja nie
chcę, aby „stary” wiedział o tym. Pamiętajcie, w do-
mu powiemy, że napadło na nas kilku pijanych i pobi-
liście się.

Brytan pierwszy wyciągnął do Romka rękę, a gdy wysiedli z taksówki byli już przyjaciółmi. Bryłka śmiał się, gdy Felcia powiedziała mu, że ich pobito. Brytan pożegnał się ze wszystkimi jakby nigdy nic, udając się do domu. Romek ułożył się do snu, gdy zegar wskazywał trzecią po północy.

o przewrotności kobiet. Rozmyślał nad swoją ko-

Spać jednak Romek nie mógł. Myślał o Felci, lekcją kobiet, które przesuwały się w jego pamięci. Skonstatował, że zawsze go „kiwały” i zasnął.

ROZDZIAŁ IV.

Przyszła zima. Romka ogarnęło przykre uczucie po dokonaniu wspólnie z Brytanem pierwszej „roboty”. Wstydziła się samego siebie, że znów kroczy po tej drodze, która świadomie prowadzi go do zguby. Straszna jest dola człowieka, który zdaje sobie sprawę, że każdy krok spycha go w otchłań nieszczęścia. Były chwile kiedy sam chciał oddać się w ręce sprawiedliwości, aby położyć kres wszystkiemu. Jedyną pociechą w życiu, do którego czuł coraz silniejszy wstręt, były kobiety. Obawa przed karą nie była tak wielka, jak strach przed utratą towarzystwa kobiet. Nie tracąc też czasu, spędzał dnie i noce w ich towarzystwie. Wyglądał już teraz nie do poznania. Nie był to już ten sam człowiek, który nieśmiało pukał do drzwi meliny. Rzucał teraz pieniędzmi na lewo i prawo. Ubrany był tak, że w tym ich świecie nazywano to elegancją.

Pierwsza „robota”, wykonana wespół z Brytanem, udała się w całym tego słowa znaczeniu. Nabrał więc rozpędu i kroczył dalej po drodze występku.

Bawił się na całego, jakby chciał jak najwięcej wykorzystać tą wolność. Wiedział dobrze, zdawał sobie sprawę, że chwile przyjemnych zabaw są policzone. Rzucił się w wir zabaw, hulanki i występku, chcąc zapomnieć o jutrze. Przyjaciele i przyjaciółki nie opuszczali go. Ryzykował jak nigdy jeszcze w życiu. Robił to jakby naumyślnie, mówiąc sobie: Albo zbiorę dużo forsy i zbastuję, albo też dostanę się prędzej do „ula“. Pragnął odpocząć. Obojętne mu było gdyby nawet odpoczynek wypadł w więzieniu. Pragnął nawet nieraz tam wrócić, jak do kochanki, którą na jakiś czas opuścił.

Obrzydło mu życie w dusznych kawiarniach i melinach. Nie wychodził w dzień na ulicę, obawiając się „tajniaków“ i policji. Ten ciągły niepokój, te ciche godziny nocne w melinach, chytre uśmieszki wyrafinowanej córki Bryłki, diabelska chytrość Brytana, chciwość paserów dręczyły go niesłychanie. Nieraz lułę rewolweru, który stale nosił przy sobie, kierował do swojej zbolącej głowy. — Ach, jakie straszne jest to życie występne, — myślał. — Idziesz ulicą, zdaje ci się, że wszyscy ludzie są agentami policji. Pies prowadzony na smyczy przez elegancką damę jest zapewne niczym innym jak psem policyjnym. Gdy wiatr silniej zawieje, wydaje ci się, że cię już gonia. Wszyscy którzy cię otaczają są twymi wrogami, czyhają na twoją zgubę.

Wyrzuty sumienia także nie opuszczały go. Straszny, bardzo straszny jest los ludzi zepchniętych w otchłań wyrzutków społeczeństwa. Pragnął snu, a zas-

nać jednak spokojnie nigdy nie mógł. Różne koszmary nie dawały mu wytchnienia. Gdy siedział w więzieniu śniło mu się, że korzysta z wolności. Teraz, gdy tylko zmęczone oczy przymknął, stanęły mu przed oczyma policja sąd i udręka więzienna. W takich chwilach zrywał się i biegł spędzić noc w towarzystwie kobiet. Szukał zapomnienia i ratunku tam, gdzie przyśpieszano jedynie jego zgubę.

Romek stał się też częstym gościem kawiarenki „Pechowca”. Gnały go tam piękne czarne oczy jego córeczki, które na każdym kroku prześladowały go. Doznając rozczarowania od córki Bryłki, skierował całą uwagę w stronę nie mniej czarującej córeczki „Pechowca”.

Bliższa rozmowa, którą nawiązał z nią miała ten skutek, że rozplakała się, odwracając się do niego plecami.

— Jak ty śmiesz do mnie tak mówić. Nie jestem Felcią. Jestem porządną dziewczyną.

Na te słowa Romek zdębiał. Czyż to możliwe, aby córka Pechowca była doprawdy taką naiwną za jaką chce uchodzić. Postanowił zmienić postępowanie. Począł się zaklinać na swą wolność, że od pierwszej chwili kiedy ją ujrzał, — pokochał. Chwalił się, że Felcia nie daje mu spokoju, a on jedynie ją, Irkę, kocha. Dlatego też, o ile nie ulegnie jego prośbom, to on z żalu uda się do Felci.

Jak przewidywał, tak się też stało. Skoczyła doń, zarzucając mu ręce wokoło szyi. Darzyła go płomiennymi pocałunkami.

Całowała fachowo i namiętnie. Wtem nagle odskoczyła przerażona. Przed nimi stał jej ojciec siny ze złości, z oczyma utkwionymi w Romana.

— Draniu! Złodzieja córkę zgwałciłeś. Ja cię zabiję jak psa.

Skoczył z zaciśniętymi pięściami. Odepchnął go z łatwością, a córeczka stała ze spuszczoną głową, tak, jakby doprawdy ich stosunek był się już za daleko posunął.

Stary rzucał się w paroksyźmie złości, wygrażał się zaciśniętą pięścią, tupał nogami, a wreszcie śmiech go ogarnął na widok łez, które jego córka przed nim roniła. Lecz już po chwili głaskał ją po głowie, uspakajając ją łagodnymi słowy.

— Ożenić się musi z tobą teraz. Jeśli nie, to jeszcze dziś wytoczę mu „dintojrę“. Wiesz co ci grozi za zgwałcenie córki złodzieja — zwrócił się do Romka — wybieraj, albo moją córkę za żonę, albo kulę w łeb.

— Naturalnie, że wolę córkę pana — odparł ironicznie. Zawsze lepiej być zięciem starego „Pechowca“, niż „kitę“ odwalić. Zgoda, stary.

Wyciągnął rękę w jego kierunku. Stary objął oboje i uroczyście zawołał:

— Życzę wam szczęścia. Pragnę gorąco, aby was wciąż widzieć szczęśliwymi. Mam trochę uciulaney forsy, oddam wam wszystko. Kawiarenkę też wam przepiszę. Ale powiedz no ty łobuzie, czy naprawdę ją kochasz. Moja Irka do flirtu się nie nadaje. Będziesz miał złotą, uczciwą żonę. Pilnowałem jej jak

oka w głowie. Ona jedna jest u mnie. Matka jej nieboszczka, niech spoczywa w spokoju, też była złota baba. Zdradziła mnie tylko jedyny raz z ruskim oficerem. Przebaczyłem jej to. Stale wałęsałem się po więzieniach a ona była młodą kobietą. Sama mi się przyznała do tego. Może i więcej razy zdradziła mnie, ale co oczy nie widzą serce nie boli. Córka moja nigdy nie zdradzi cię. Ty ze swojej strony staraj się abyś nie wpadł do więzienia i zawsze był przy żonie. Kobieta nie zdradzi, gdy ma zawsze męża przy sobie.

Stary był już pewny, że ubił interes. Zadowolony szczypał ich w policzki. Rozgadał się na dobre. Pozbyli się go dopiero wtedy, kiedy kelnerka zawołała go w jakiejś ważnej sprawie.

Nie zdążył wyjść, gdy Irka wybuchła śmiechem. Ha - ha - ha, — wołała. — Odrazu „tropnęteś” się w czym rzecz. Teraz jako narzeczeni będziemy mogli się „pobawić”. Ale doprawdy, czyż nie jestem warta być twoją żoną?

— Widzisz, moja droga, nie mam wcale zamiaru żenić się. Nie mam egzystencji. Kradzieże nie są egzystencją. Dziś uda się coś skraść, a jutro już gnijesz w więzieniu. Poco mam unieszczęśliwiać drugą niewinną zupełnie osobę. Słuchaj Irciu, powiedz mi szczerą prawdę. Miałaś już do czynienia z mężczyznami, czy nie?

— Poco to pytanie. Czyż to możliwe, aby ja, córka Pechowca, mogłam nie zaznać życia. Mój ojciec chorobliwie strzeże mnie, abym broń Boże cnoty, której dawno już nie mam, nie straciła. Stara się dla

mnie męża zdobyć. Dawno już mi mówił, że ciebie uważa za porządnego chłopca.

Teraz dopiero zrozumiał co stary miał na myśli.

— Dlaczego przede mną udałaś cnotliwą i na moją zaczepkę rozplakałaś się.

— Płakałam dlatego, by wywołać większe zainteresowanie. Mężczyźni, przekonałem się, lubią opór.

Ładna narzeczona, pomyślał sobie. Ale polubił ją za to, że sama powiedziała prawdę. Była za piękna i za młoda, aby się nią nie interesować. Po chwili, widząc już teraz wyraźnie, kogo ma przed sobą, zawołał prosto z mostu:

— Powiedz gdzie możemy się spotkać dzisiaj, moja najdroższa narzeczono, — śmiał się.

— Wybieraj gdzie ci będzie wygodniej.

— Najwygodniej, myślę, będzie w hotelu. Tam niema ojców, ani innych diabłów, aby nam przeszkadzali.

— To jest niemożliwe. Ojciec nie daje mi się na noc oddalić z domu. Najwygodniej będzie w moim panińskim łóżeczku. Dostać się do mnie nie będzie ci trudno wcale. Nieraz próbowałem tego. Możesz polegać na mnie. Okropnie lubię jak mężczyzna zakrada się do mnie. Drzwi zostawię odemknięte. Przyjdiesz po pierwszej w nocy. Stary po całodzienniej pracy śpi w trzecim pokoju jak zabity. Zresztą on trochę nie dosłyszy, my zaś zabawimy się do rana.

— Obawiam się, aby ktoś mnie nie wyprzedził, moja kochana.

Irka roześmiała się trzymając się za boki.

— Bywają i takie wypadki, mój drogi. Ale tym razem tylko na ciebie czekam.

Pocałowała go tak gorąco na pożegnanie, że żal mu było wypuścić ją z ramion i czekać na oznaczoną porę. Wyrwała się kocim ruchem z jego ramion i do rzuciła na odchodnym:

— Czekam kochany, ale bądź punktualny, po czym zniknęła.

W domu przemyślał na zimno to wszystko, co usłyszał z ust Irki. Zresztą dużo podobnych opowiadań słyszał już od różnych kobiet.

Spojrzał na zegar, który już wybił dwunastą i wstał zabierając się do wyjścia z mieszkania Bryłki. Felcia nie spała. Siedziała przy piecu i haftowała. Oczy ich nagle spotkały się.

— Dokąd idziesz, żeś się tak wyelegantował?

— Na randkę moja piękna pani — zawołał szyderczo.

— Ciekawa jestem kogo chcesz uszczęśliwić tak późno w nocy — zachichotała cynicznie.

— To już moja rzecz, odparł i skierował się ku drzwiom.

Felcia nagle zastąpiła mu drogę.

— Nie pójdziesz na żadną randkę. Mam ci coś do powiedzenia.

— Proszę Brytanowi o tym powiedzieć. Mnie nic nie interesuje.

— Pożałujesz tego, pamiętaj.

Wyczuł groźbę w jej słowach. Dobrze już znał

bezczelność tej kobiety i mimowoli zatrzymał się przykuty do miejsca jej wzrokiem.

— Siadaj tu przy mnie, zawołała rozkazująco i słuchaj o co chodzi.

Usiadł zaciekawiony już jej tajemniczą miną.

Felcia założyła nóżkę na nóżkę wiedząc, że w tej pozie ma wygląd najbardziej prowokujący.

— Ty myślisz, że nie wiem dokąd wybrałeś się teraz. Wszystko wiem. Irka czeka tam na ciebie, — śmiała się na cały głos.

Słyszac to, zerwał się z miejsca, ona jednak chwyciła go za rękę i drżącym głosem zawołała:

— Zostań tu, Dziś oddam ci się lepiej niż Irka to uczyni. Ojciec mój nie będzie nocował w domu, a my możemy się zabawić.

Własnym uszom wierzyć nie chciał. Pożądał już oddawna jej ciała, ale nie mógł pojąć skąd się ta nagła uległość wzięła. Zapewne chce na nowo jakiegoś figla wypłatać. Znana była z przemyślności i dowcipu.

— Skąd tak od razu? Daj mi spokój. Nie idę do żadnej Irki, tylko na „robotę”: umówiłem się z kolegami.

— Kłamiesz. Dziś po północy umówiłeś się z Irką.

— Nieprawda — próbował zaprzeczyć.

— Mniejsza o to. Ty dzisiaj nigdzie nie pójdziesz. Chcę dzisiaj być twoją. Dlaczego to robię, to się później dowiesz. Wykorzystaj okazję póki ja mam chęć.

Zrzuciła ze siebie zgrabnym ruchem pidżamę, pociągnęła go za sobą do sypialnego pokoju.

Opamiętywał się jednak i postanowił nie ulegać jej pokusom. Musiał zebrać siłę woli, by się wyrwać z jej słodkich ramion, którymi go objęła. Nie dowierzał jej miłości, z którą oświadczyła mu się teraz. Podejrzewał raczej, że robi to z wyrachowaniem dla swoich celów. Pchnął ją od siebie i prędkim susem znalazł się na ulicy.

Gdy stanął przy drzwiach gdzie mieszkała Irka nasłuchiwał chwilę i odemknął drzwi. Irka chwytając go w objęcia..

Romek musiał jej przypominać, żeby się zachowywała ciszej, by nie przebudzić ojca. W odpowiedzi na te słowa, zachowywała się jeszcze głośniejsze. Nic już nie rozumiał. Jego zdziwienie było jeszcze większe, kiedy ktoś zapukał nagle trzykrotnie do drzwi. Pukanie to było ciche i równomierne, jak to zwykle praktykuje się w umówionych znakach. Irka na to pukanie zerwała się nagle z łóżka, odemknęła drzwi i szepnęła cicho do kogoś kilka słów.

Jeszcze więcej się zdziwił, gdy poznał głos Brytana. Irka zapewniła go, że ojciec nie śpi i dlatego nie może go przyjąć. On znów upierał się, że musi przekonać się naocznie czy kto inny nie urzęduje na jego miejscu. Romek nie wytrzymał i zaśmiał się głośno. Brytan wdarł się do pokoju, świecąc lampką elektryczną.

— Moje uszanowanie — zawołał Roman.

— Moje dwa — odparł Brytan, gasząc światło.

Irka błagała go, aby ciszej się zachowywał. On

pchnął ją, Romek stał gotowy do obrony. Brytan krzyczał na głos, grożąc, że ją zabije. Pechowiec, przebudzony ze snu, wpadł do pokoju, zapalając światło elektryczne.

Stary wybałuszył oczy, jakby chciały z orbit wyskoczyć. Stał nieruchomy z otwartą gębą, jednak słowa nie mógł wydobyć z gardła. Córka jego z tego wszystkiego roześmiała się na głos. Śmiała się, jak człowiek, nie mający nic do stracenia, a któremu pozostaje do wyboru śmiech lub płacz. Brytan patrzył na Pechowca, a wżgardliwy uśmiech wykrzywił jego zmysłowe usta. Romek znalazł się w bardzo komicznej sytuacji. Śmiech go także porwał, widząc jak Irka śmieje się spazmatycznym śmiechem.

Pierwsza odzyskała równowagę i opanowanie Irka. Ujęła ojca za rękę. Ten drgnął, jakby przebudzony z letargu. Mienił się na twarzy, blednąc i rumieniąc się, zarazem odchrząknął kilkakrotnie, po czym ledwie dosłyszalnym głosem wybełkotał:

— I... Ir... Irka! Co tu zaszło?... gadaj mi prędzej!

— Nic!... nic, papo! Daremnie zląkłeś się. Tu nic specjalnego nie zaszło. Po prostu mój narzeczony, — tu wskazała na milczącego Romana, — przed chwilą został zatrzymany na ulicy przez „tajniaka“, który go chciał aresztować. Ledwie udało mu się zbiec. Nie miał innego wyjścia, jak ukryć się w najbliższym domu, aby ujsć pościgu. Powiedz sam, papo, gdzie miał się „zamelinować“, jak nie u nas. Obawiałam się, aby nie szukano go po mieszkaniach, kazałam mu się szybko rozebrać i położyć się do męgo łóżka.

— Ale, co tu Brytan robi? — zawołał, odzyskując zupełnie przytomność umysłu.

— Ja, proszę pana, ukłonił się Brytan, przyszedłem tu przekonać się, czy mojemu koledze nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Teraz, gdy widzę, że narzeczona zaopiekowała się nim, jestem już zupełnie spokojny. Dobranoc państwu, — dorzucił i wyniósł się za drzwi, zamieniając poprzednio porozumiewawcze spojrzenie z Irką.

Irka odzyskała zupełną pewność siebie, przepraszając ojca, że go przebudzono. Tłumaczyła mu, że kiedy Brytan zapukał do drzwi, myślała, że to już policja. Romek chciał oknem wyskoczyć a ona błagała, aby tego nie czynił. Z tego też powodu gdy Brytan wszedł, powstał harmider.

Stary na wpół zaspanymi oczyma, zaprosił Romana do swego łóżka. Tłumaczył: — nie wypada, aby narzeczony był z narzeczoną w jednym pokoju, wśród nocy, sami. Niech dziecko się wyśpi; — dodał. Pogłaskał ją uspakajająco po czole, a Romka zabrał ze sobą.

Romkowi nie smakowała ta eksmisja. Wolał asystować młodej córce. Nie chcąc jednak wywoływać podejrzania u starego, który ślepo wierzył swej córce, skorzystał z jego propozycji. Myślał w duchu, aby jak najprędzej już dniało, by opuścić to Madejowe łóżo, którym było teraz dla niego gościnne łóżko starego.

— Mądra i cwana bestia — myślał. Nie mógł się powstrzymać, od głośnego roześmiania się. Stary

chrapał już, jakby tu nigdy nic nie zaszło. Romek miał chęć wykraść się do Irki. Jednakże, kiedy próbował to uczynić, stary począł się nerwowo poruszać. Bojąc się więc, aby go nie zbudzić, Romek dał spokój.

Myślał teraz na czym ta awantura się skończy. Brytan zapewne będzie go prześladował, mimo to, że pomógł wytłumaczyć się przed starym.

Niepokoiliła go też ta świadomość, że stary jest przekonany o ich miłości. Co prawda, Irka zasmakowała mu, jako rozkoszna samiczka, jednak w fantazji, inaczej sobie swą przyszłą żonę wyobrażał.

Rano przy śniadaniu, na którym musiał pozostać, na zaproszenie starego, Irka śmiała się do rozpuku, „zalewając” ojcu o wypadku z Brytanem.

— Leżę sobie w łóżku, — mówiła — wtem ktoś dobija się do drzwi. Przeleżałam się, co prawda, myśląc, że obława idzie. Nie wiedziałam, co wpierw czynić. Budzić ojca, aby pochował niepewne rzeczy, albo też drzwi otworzyć. Połapałam się jednak że policja nie dobijałaby się tak delikatnie. Pytam się więc: Kto tam? — i odrazu poznałam jego głos. Myślę sobie: — zaprędko się narzeczony wali! wśród nocy, do mnie. — Obraziłam się za śmiałość. Jednakże, gdy wytłumaczył, o co mu chodzi, wpuściłam go. Za jakieś kilka minut, ktoś znów puka do drzwi. Przeleżałam się teraz na dobre. Zapewne już policja wpadła na twój trop i tu przyszli. Kazałam prędko się rozebrać i wleźć do łóżka. Otwieram drzwi, a tu patrzę: — Brytan stoi. — Naturalnie, wpuściłam go, śmiejąc się z tej całej historii. Brytan, widząc go w łóżku, śmiał się tak

głośno, że cię przebudził, ojciec. Prawda, że nie gniewasz się na mnie, papo, za tę całą śmieszoną awanturę. — Przytuliła się, jak kotka, do ojca.

— Za co mam się gniewać, córeczko? — odparł stary, głaskając ją pieśczołliwie. To nie twoja wina, kochana. Zresztą, gdyby to nawet nie był twój narzeczony, ale obcy „swoją chłopak“, który szuka ukrycia, przed tajniakami, tak samo nie miałbym ci to za złe. Jest to obowiązek każdego z „naszych“ przemełnować każdego przed policją. Bardzo ładnie postąpiłaś — pochwalił stary. — Córka Pechowca inaczej postąpić nie mogła. Co ty na to, Romciu. Porządna koza, co? Będziesz z niej miał żonę, daj Boże każdemu z nas takie szczęście.

— Niech mnie Bóg broni; — dopowiedział sobie Romek w duchu, i po chwili odparł:

— No tak! To wszystko zależy od wychowania. Irka wzorowo jest wychowana przez ojca i dla tego umie sobie poradzić w każdej trudnej sytuacji. Od razu orientuje się, jak ma w krytycznych chwilach postąpić. Dumny jestem doprawdy z takiej mądrej i poradnej narzeczonej.

Irka uszczypnęła go tak silnie w kolano, że aż podskoczył. Zrozumiała, widać, ironię powyższych słów.

Stary, rad z Romana, zaprosił go na „kieliszek“, wieczorem. No, dowidzenia synu, — mówił, szykując się do wyjścia. — Możesz tu jeszcze pozostać trochę i pogawędzić sobie. Musicie lepiej się zapoznać ze sobą. Oho! Ja gruntownie znałem swoją żonę, zanim

pobraliśmy się — mrugnął do Romka porozumiewawczo

— Dobrze, dobrze, ojczulku kochany! Jak pozwalasz, to możemy tu pozostać razem. Ale mam dzisiaj tyle pracy! Muszę pójść do krawcowej jeszcze i do koleżanki.

— Radzę ci, córeczko, zerwać z twoją koleżanką. Córka Bryłki nie jest dla ciebie odpowiednią koleżanką. Słyszałem, że ona żyje z Brytanem, nie patrząc na to, że ma żonę i dzieci.

— Ludzie wiele mogą wymyśleć. To nieprawda! Ty, ojczulku, jesteś zbyt łatwowierny. Myślę, że gdyby ktoś przyszedł do ciebie i nagadał na mnie strasznych rzeczy, tak samo uwierzyłyś.

— Co do ciebie, dziecko, jestem pewny! Zabiłbym jak psa każdego, kto by się odważył na ciebie coś podobnego powiedzieć.

Stary machnął w powietrzu ręką, jakby się zamierzał uderzyć kogoś, i skierował się ku drzwiom.

Nie zdążył drzwi zamknąć za sobą, gdy Irka schwyciła Romka za rękę, pociągając go za sobą.

— Teraz jesteśmy już nareszcie sami. Czekał! — zawołała zrywając się nagle. — Muszę drzwi zamknąć na klucz!

Zabawa trwała długo. Romek, pomimo wszelkich starań, musiał uznać siebie za zwyciężonego; Irka okazała się wytrzymalszą na polu bitwy...

Gdy po południu opuścił jej dom, zataczał się na nogach jak pijany. Przysięgał sobie, już po raz setny: — Więcej z kobietami nie obcuje już!...

Po zjedzeniu obiadu, poczuł się trochę pewniejszy siebie, udając się na swoją melinę. Ciekaw był, co tu zaszło, podczas jego nieobecności. Domyślał się, że coś nowego zająć musiało.

Bryłka przyjął go bardzo surowo. Od progu, zły, zawołał:

— Łapserdaku jeden! tak mi się wywdzięczasz za moją litość nad tobą. Przygarnąłem cię do porządnego domu, a ty, draniu, tak postępujesz. Jeszcze dziś wynoś mi się stąd. Zapłacisz mi za wszystko, czekaj! Na „dyntojrę” cię wezwę. Krew z żył ci wytoczę, ważny złodzieju! Gdyby nie ja, pod mostem melinowałbyś. Teraz, gdy ja i Brytan zrobili z ciebie człowieka, całego pana grasz!... Ja cię nauczę rozumu! groził pięściami w jego stronę.

— Czego się tak żołądkujesz, królu kochany?! — odparł Roman szyderczo. — Zamknij „jadaczkę”, to lepiej zrobisz.

Romek wiedział z doświadczenia, że w tym świecie na różne napady słowne należy z miejsca zareagować, starając się używać dobitniejszych zwrotów i słów, któreby trafiły do przekonania. Przez co też, nie wiedząc nawet, o co idzie, starał się przybrać miłą pewnego siebie. Po chwili, kiedy zauważył, że Bryłka zmieszany jego odpowiedzią, zmiękł trochę, zaatakował go.

— Słuchaj no, stary „Leser”. Jedno cię poproszę, licz się ze słowami. Jesteś, co prawda, starym złodziejem. Ale nie jestem głupszy od ciebie. Starsi

złodzieje są tylko silni w gębie, a młodszy pięścią. Czy zrozumiałeś mnie teraz?

Bryłka wybałuszył oczy, jakby się pytał: — Skąd takim cwaniakiem od razu? — po czym plunął na ścianę, zbliżając się do Romka.

— He, ty! do kogo tak mówisz?

— Do ciebie, stary kombinatorze!

— Do mnie? Jeszcze raz powtórz, a zrobię cię o głowę krótszym. Brytan! Brytan! — krzyknął na głos. Słyszysz, jak pięknie śpiewa ten frajer!

Brytan wysunął się z drugiego pokoju, a za nim, szyderczo śmiejąca się, Felcia. Trzymali się za ręce, jak zakochani i patrzyli wyzywająco na Romka.

— Moje uszanowanie, panie radco! — zawołała Felcia. Jak tam nocna przygoda? Myślałeś, że odgadłeś adres. Nie jestem Irką, co kto chce może ją mieć!... Tu zwróciła się do Brytana. Mówię ci, że tak gwałtownie mnie zaatakował, że ledwie wyrwałam się z jego rąk. Nigdy bym nie uwierzyła, że się ośmieli uczynić coś podobnego. Widząc, że nic z tego nie będzie, wyniósł się prędko za drzwi.

Wszystkiego się spodziewał usłyszeć, ale nie to. Nie namyślając się długo, odparł:

— Znałem i znam dużo kokot, ale taką wyrafinowaną jak ty, jeszcze nigdy nie miałem „zaszczytu” spotkać. Tylko Bryłka może mieć taką córeczkę...

Stary rzucił się na Romka pięściami. Odepchnął go. Wtem nagle poczuł, jakby go pszczoła ugryzła. To Felcia scyzorykiem żgnęła go w plecy. Chwycił ją za rękę, a Brytan uderzył go pięścią między oczy.

Nie stracił jednak przytomności umysłu. Bronił się przed napastniczą rodziną, jak tylko mógł. Rezultat był ten, że Romek miał podbite lewe oko i kilkanaście ran od scyzoryka w plecach, Brytan zaś także dostał jedno „trafne”, tak, że leżał pod stołem, a krew waliła mu się nosem i gardłem. Felcię jednak oszczędzał. Nawet w bójkę Romek starał się być dżentelmenem wobec kobiet. Stary, za pierwszym odepchnięciem, nie zdolen był już brać czynnego udziału w całej awanturze, tylko przeklinał Romka, na czym świat stoi.

ROZDZIAŁ V.

Na drugi dzień, po opisanych wypadkach, Romek miał 40 st. gorączki. „Blatny” felczer, który opatrywał mu rany, zapewniał, że wróci do zdrowia bez zabrania go do szpitala. Jednakże starano się, aby nikt nie dowiedział się o tym. Leżał w domu felczera. Pielęgnowała go żona jego, bardzo dobra i uczciwa kobieta. Dzięki tylko jej macierzyńskiej opiece i zdrowemu organizmowi, przyszedł prędko do zdrowia, po utracie sporo krwi.

Pechowiec, dowiedziawszy się od Bryłki, za co Romana tak srogo ukarano, wyrzekł się go od razu. Nie chciał więcej Romka za zięcia. Irka też prędko zapomniała o nim. Później, gdy jej Romek zarzucał, dlaczego ani razu nie przyszła go odwiedzić, gdy był chory, odparła cynicznie:

— Ja okropnie nie lubię chorych mężczyzn.

Gdy wyzdrowiał, dowiedział się o dyntojrze, którą mu wytaczają. Bryłka, Pechowiec i Brytan stali się teraz największymi jego wrogami i pragnęli jego zguby.

Dyntojra została wyznaczona po północy. Najważniejsze dyntojry odbywają się zazwyczaj o północy. Najwygodniej jest wtedy wykonać wyrok. Miejsce, gdzie wyznaczono dyntojrę, dało mu do zrozumienia, że nosi charakter bardzo poważny.

Roman bił się długo z myślami, czy w ogóle przyjąć „zaproszenie”. Nosił się nawet z zamiarem, aby oddać się w ręce policji, by uniknąć tego wstrętnego towarzystwa. Nie obawiał się wyroku, gdyż czuł się niewinnym. Chcąc jednak uniknąć wyroku, musiał powiedzieć prawdę, a tego nie chciał. Żał mu było skompromitować Irkę, za przyjemne chwile, których mu udzieliła, a Felcię, która mu chciała uprzyjemnić chwilę...

Wiedział jednak z doświadczenia, że ukrywanie się na nic się nie zda. Ludzie tego świata potrafią nawet w więzieniu prześladować takiego, który podług ich „sprawiedliwości” nie był „posłusznym”. Postanowił się udać tam w towarzystwie kilku „mocnych” przyjaciół, których, w tym świecie, za butelkę wódki zawsze można dostać.

Wielce się zdziwił, kiedy przed jego udaniem się na dyntojrę, przybyła do niego Felcia. Weszła z wyciągniętą dłonią w jego kierunku, wołając od progu wzruszonym głosem.

— Przebacz mi, Romciu, że cię tak bardzo skrzywdziłam. Gniewasz się na mnie... Masz rację, jestem podła! sama przyznaję się do tego. Ale ty jesteś mądrym chłopcem. Musisz mnie zrozumieć.

— Nic nie rozumiem — odparł. Za dużo krwi wy-

puściłaś ze mnie, abym teraz cię zechciał zrozumieć.

Felcia skryła twarz w dłoniach i zaszlochała na głos.

— Doskonała artystka byłaby z tej kobiety — pomyślał sobie. Nie wierzył aby ten wybuch był szczery. Znał jej kaprysy.

— Wynoś mi się stąd, bo wyrzucę cię za drzwi!

Felcia nie drgnęła nawet. Oparła się wyzywająco o fotel, starając się zarazem przybrać kuszącą pozę. Szal, którym była okryta, poprawiała nerwowo, a na zmysłowych jej ustach igrał hypnotyzujący uśmiech. Stała, jak posąg wykuty, z oczyma utkwionymi rozkazująco w niego. Starał się wytłumaczyć sobie jej zachowanie. Chciał skupić całą siłę woli, by tym razem oprzeć się jej woli i pokusie, na które, jak wnioskował zawsze liczyła.

Pamiętał jak Felcia pewnego razu, w napadzie szczerości, mówiła: „Niema mężczyzny na świecie, któryby się mógł jej oprzeć, gdy ona tylko tego zechce. Wystarczy wam pokazać nóżkę, a pobiegniecie za mną. — Zobaczymy, bratku, czy i ty nie będziesz klękał, jak każdy z twoich braci, kiedy ja tego zechcę”. Mało brakowało, aby teraz nie uczynił tego. Tylko ambicja i silna wola, którą w takich chwilach wszelkimi siłami starał się skupić, powstrzymały go od tego kroku. Po drugie, tę kobietę nienawidził całą duszą za jej beczelność i cynizm, jakie biły od niej z każdego ruchu. Tym razem widział i był przekonany, że skupiła cały swój zapas kokieterii wyrażonej samicy, aby go zwabić dla swoich celów.

Bojąc się, że nie wytrzyma, odwrócił się plecami, by nie patrzeć na nią. Felcia na to wybuchła śmiechem i zmieniła pozę, zbliżając się do niego.

Nie będąc pewny siebie, silił się na gniew, śląc pod jej adresem bardzo drażliwe, dla uszu kobiety komplementy....

Felcia, zamiast wybuchnąć gniewem, co w tej chwili Romek pragnął w niej wywołać, zbliżyła się słodko uśmiechnięta. Zmysłowymi spojrzeniami łechtając jego słabość męską, na którą pewno liczyła. Czuł teraz, że wszelki opór jest bezcelowy. Chciał wybiec z pokoju i zostawić ją samą. Zrobił nawet ruch w tym kierunku, gdy wtem Felcia uwiesiła mu się na szyi. Jedwabny szal zesunął się jej na podłogę, a ustami wpiła się w jego usta.

Dziwna rzecz, iż, mimo silnej woli, którą wmówił sobie, że posiada, nie stawiał oporu. Zawładnęła nim od razu tak, że zataczał się na nogach jak pijany. Felcia, nie tracąc chwili posadziła go na kanapie. Ogarnął go zawrót głowy. Chciał się bronić, lecz zwątpił w swoje siły. Rozpięła mu kołnierzyk. Zdjęła marynarkę.

Gdy chwile szału minęły, a przytomność wróciła, Romek żałował tego kroku. Był zły na siebie, jak nigdy. Kopnął ją ze złością, a ona upadła na podłogę. Felcia na ten wybryk dobrodusznie się uśmiechnęła.

Wstała cichutko i usiadła obok.

— Myślałam, że mnie koń kopnął — rzekła. Możesz ze mną robić co chcesz. Moje miejsce jest przy

tobie tylko. Dawno cię już kocham. Śmierć nas tylko rozłączy....

Jak mu się zdawało, było tyle szczerości w tych wyrzuconych kilku słowach, że nie mógł wcale wątpić w ich prawdziwość. Jednak, wiedząc z kim ma do czynienia, wybuchł niepohamowanym śmiechem.

Felcia siedziała spokojnie i smutno wpatrywała się w niego. Nie poznawał tej dawnej Felci, która zawsze była ruchliwa jak ogień. — Cwana szelma — pomyślał — gra swoją rolę pierwszorzędnie! Po chwili znów przemówiła:

— Idę razem z tobą na „dyntojrę“. Za godzinę mamy być na miejscu. Zgoda?

— Co to znowu? Ja sam trafię. Adwokatów nie potrzebuję. Twój ojciec oskarża mnie, a ty nie będziesz świadczyła przeciwko ojcu!

— Ciebie jednego tylko kocham — wybuchła, zrywając się. Gotowa jestem świadczyć nie tylko przeciw ojcu, nawet przeciw Bogu, aby tylko tobie nic złego się nie stało. Przekonam cię, że nie jestem taką podłą, za jaką mnie uważałeś. Córka Bryłki także posiada serce i kochać potrafi, gdy zechce tego.

Gdyby Felcia tak pięknie nie mówiła, może gotów byłby uwierzyć jej. Ale teraz, gdy tak pięknymi słówkami miłości przemawiała, podejrzewał, że ona knuje przeciw niemu wyrafinowany akt zemsty.

— Słuchaj, Felcia! — zawołał Romek po chwili namysłu. Daremnie komedię grasz, ja w twoją miłość

i tak nie wierzę. Powiedz mi otwarcie, jaką nową intrygę knujesz przeciw mnie?

— Żadnej intrygi nie mam na myśli. Bronić cię chcę, choćby mi przyszło życiem przypłacić. Przekonasz się, że jeszcze żadna kobieta nie kochała ciebie tak, jak ja.

— Stara piosenka, moja droga! Nie od jednej kobiety słyszałem podobne wynurzenia miłosne. Pluję na twoją miłość! Ty należysz do tych kobiet, u których miłość trwa tak długo, jak zmysły grają, a po tym obdarowują swoją miłością innych dla swoich celów. Jesteście gorsze jeszcze od prostytutek. Tamte oddają się za umówioną opłatę z góry, a z wami, któż może przewidzieć, jak drogo przyjdzie się opłacić za jedną przyjemną chwilę, spędzoną w waszych ramionach. Nie jeden, za miłość do was przypłacił kilkuletnim więzieniem, a nawet śmiercią. Powiedz szczerze, jaką ofiarę mam ci złożyć, piękna córko Bryłki.

— Nie żądam od ciebie nic, prócz złodziejskiego słowa honoru, że od dziś będę twoją, a przekonasz się, jak wierną będę dla ciebie.

— Wszystko dobrze, ale co zrobisz ze swoim Brytanem. On, jak mi się wydawało, więcej cię obchodzi, niż ja. Krew ze mnie wspólnie wytoczyliście.

— Ja go nienawidzę. Zobaczysz, jaki marny koniec ten łobuz będzie miał. Nie kochałam go nigdy. Przeklęty ojciec mój podsunął mnie za kochankę Brytanowi dla swych celów. Brytan jest dobrym „fa-

chowcem" i mógł nie dopuścić do tego, aby ojciec paserował. Ojciec kraść już nie zdoła, a żyć trzeba!...

To, co teraz usłyszał z jej ust, przeraziło go. Więc ten Bryłka, który tyle prawił o etyce złodziej-skiej, sam swoją córką handlował. Wstręt ogarnął go jeszcze większy do świata tego, a zarazem litość poczuł dla Felci. — Co by to było, — pomyślał sobie, — gdyby ta sama Felcia miała szczęście urodzić się w przyzwoitym domu, a nie być córką Bryłki. Przy swojej urodzie na pewno była by szczęśliwsza, niż jest obecnie. Na myśl mu przyszli jego rodzice, choć byli dalecy od tego świata, a jednak, także wykoleił się.

— Więc Brytana nie kochasz? — zawołał po chwili namysłu. — To jest niemożliwe. Dobrze was obserwowałem. Widziałem jak zakochanymi oczyma wodziłaś za nim, gdy oddalił się od ciebie. Ty kłamiesz bezczelnie. A może twój kochany tatulek nauczył cię, jak mnie dostać do pułapki. Zapewne myśli, że będę teraz kraść dla niego. Co?

— Jak widzę nie masz do mnie zaufania — odparła smutno. — Pozwól, że cię przekonam.

— Mów. Słucham cierpliwie, tylko nie trajluj za-wiele!

— Trajlować w ogóle nie potrafię. Jak chcesz, możesz mi wierzyć i nie. Mnie ty'ko idzie o to, aby szczerą prawdę opowiedzieć przed tobą. Udałam za-kochaną w Brytanie, aby wywołać twę uwagę w sto-sunku do mojej osoby. Chciałam wywołać zazdrość, by przykuć cię do siebie, a ty myślałeś, że go ko-

cham. Muszę i to ci wyznać: Brytan był pierwszym który wywołał we mnie kobietę!... Nienawidzę go całą duszą za jego brutalność, jaką okazuje w obcowaniu ze mną. Musiałam go się trzymać, nie chcąc zmieniać mężczyzn. Ale ty jesteś inny, inteligentniejszy, ty mnie zrozumiesz!...

— O ile jest prawdą, co mówisz, to cię doskonale rozumiem. Ale jedno nie mogę zrozumieć. Ty jesteś za mądra i energiczna, by usłuchać choćby własnego ojca, który zażądał abyś została kochanką Brytana. Jakbyś ty nie chciała, to Brytan przymusem nic nie wygrałby.

— Słusznie mówisz, ale widzisz, byłam na tyle naiwną, że za piękne gałganki i prezenty, którymi mnie obdarzał, dałam się nabrać. Przynosił mi najlepsze i najdroższe rzeczy. Zapewnie nie kupował to specjalnie dla mnie, ale fakt, że o mnie pamiętał zawsze. Dziś byłabym mądrzejsza, ale już za późno.

Romek nie wytrzymał. Chwycił ją w ramiona i głośno zawołał patrząc jej w oczy:

— Pamiętaj, o ile okaże się, że kłamałaś i knujesz coś, by mnie zgubić, zamorduję cię! Od dziś jesteś moją, a pamiętaj, abym cię więcej nie widział w towarzystwie Brytana i innych łobuzów. Ja także od pierwszej chwili cię pokochałem, ale wydawało mi się, że nie życzysz sobie tego, więc dałem spokój. Później zaś myślałem: — drażni się tylko mną dla zabawki. — Chcę ci wierzyć teraz, a przyszłość wykaże twą wierność. Daję ci słowo honoru i przysięgam na wszystko najdroższe dla mnie, że po upływie sze-

ściu miesięcy, gdy przekonam się, że byłaś mi wierną, ożenię się z tobą — wyrzucił wspaniałomyślnie.

— Mnie tam za jedno, będę ci wierną kochanką, tak jak i wierną żoną. Grunt jest miłość wzajemna, a nie ślub.

— Masz rację, moja kochana! Biada takiej miłości, gdzie tylko więzy małżeńskie mają utrzymać równowagę. Gdy pokocham kobietę, a ona jest mi wzajemną, poco jest mi potrzebny ktoś, aby dał pozwolenie na miłość?... Miłość na wiarę wzajemną ma tę dobrą stronę, że mąż albo żona nie mogą sobie grozić formalnym rozwodem. Prawdziwa miłość nie potrzebuje żadnych umów i formalności. Prawa natury nie znają przepisów, które różni kombinatoryzy stworzyli dla swoich wygod. Miłość przychodzi sama i sama odchodzi. Nie potrzebuje ona, by ktoś ją wiązał i rozwiązywał. Miłość przychodzi sama, jak życie i śmierć, bez z góry ułożonego planu.

— Ach, jak ty pięknie mówisz o miłości. Mów jeszcze, kochany, mów! — szepnęła.

Podniecony swoją wypowiedzianą filozofią o miłości, chwycił ją, przyciskając do siebie męskimi ramiionami, a usta znów połączyły się, parzącymi do bólu, pocałunkami. Wybuch zmysłów był tak silny, że czuł, jakby rozpalony gorący płyn przepływał mu po ciele. Ręce same magnetycznie błędziły. A ona pod dotykem palców konwulsyjnie drżała. Doznał wrażenia, jakby ten żar, który bił od niej, palił jego ciało i nerwy.

O! Jak straszna jest wtedy miłość, kiedy zmysły

grają i palą, a ciało jest już dawno nasycone!!! Roman pragnął ten dziwny żar, trochę zmniejszyć, lecz ona nagle odskoczyła.

— Daremny twój wysiłek, kochany! Szkoda zdrowia. Taniec zmysłów i żar które wywołałeś we mnie, nie są w stanie nawet teraz zgasić stu mężczyzn!!! Podaj mi szklanekę zimnej wody! Nie! Daj kubek cały bo spałę się — wołała.

Dobiegła do kranu, który był umieszczony w kącie izby, a podsuwając głowę pod zimną wodę, odychała przy tym z ulgą.

— Lżej mi teraz, — zwróciła się doń po chwili, wyciskając wodę z włosów. Widząc zaś, że Romek jest zamyślony, rzekła:

— Co? Lękasz się mieć taką gorącą kochankę?!!! Zapewne myślisz, jak zdołasz takiego szatana zadowolnić? Co? Wszystko głupstwo! Felcia potrafi opanować się, kiedy tego zechce. Wiesz, choćbym się miała spalić z żądzy, — wybuchła — nie zdradzę cię z innym. Nie! Nie! Nie! — wołała sama do siebie, biegnąc po pokoju, jak szalona, tam i z powrotem.

Romek patrzył na nią i dziwne uczucie lęku doznał. To szatan, nie kobieta. Żałował mocno, że wdał się na nowo z nią w tak bliskie stosunki, a zarazem czuł się dumnym z tak pięknej kochanki. Po chwili zawołał:

— Sama powiedziałaś przed chwilą, że stu mężczyzn nie są w stanie cię zaspokoić, kiedy wpadasz w szal zmysłów. Więc poco zawracasz mi głowę i przysięgasz wierność. Wpierw, czy później, z takim

usposobieniem, jak ty sama o sobie mówisz, zdradzić mnie musisz. A nastąpi to, choć sama nie wyobrażasz sobie w jakiej formie.

— Niel i po stokroć nie! Czy źle mi jest tak spoczywać w twoich ramionach... Tu przytuliła się znów do niego, nie dając mu mówić więcej ani słowa.

— Nasza miłość będzie, jak żadna. Na śmierć i życie pójdę z tobą — wołała uparcie.

— W jakiej to książce przeczytałaś o tym, by tak pięknie mówić o miłości. Wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Czas już iść na tę dintojrę. Dosyć twego bujania, a zresztą, zobaczymy

Odsunął ją delikatnie od siebie, szykując się do wyjścia.

— Ja także idę z tobą! Po to właśnie przyszedłam, jak ci mówiłam. Dla ciebie tylko to robię. Chcę cię ratować od tych zbrodniarzy! Ty jesteś zupełnie innym. Nie rozumiem, jak tyś mógł zabłądzić do naszego świata?

Gotowość poświęcenia się dla niego ujawniała się w każdym jej ruchu. Nie wątpił już wcale, by drżenie jej głosu było fałszywe, udane. Twarz jej znamionowała oddanie i uległość.

ROZDZIAŁ VI.

Było już dawno po północy. Na niebie jarzyły się gwiazdy, podobne do iskier, które w nocy lokomotywa wyrzuca z komina. Powoli kołysał się wśród nich księżyc, odwieczny wróg ludzi nocy, złośliwie przezwany „Łysy”. Nie raz ten wieczny samotnik bezkresów, oświetlając ziemię srebrnymi promieniami, przeszkadza ludziom, żyjącym z ciemności nocnych

Cichymi uliczkami przedmieścia Warszawy przesunął się samochód z pogaszonymi latarniami. Szofer, zapewne rekrutujący się z tych, którzy „zabastowali”, od razu zmiarkował, jakich pasażerów wiezie w swej taksówce. Gdy tylko wsiedli do dorożki, bez pytania zgasił światło.

W drodze do Pelcowizny, Felcia siedziała zagłębiona w swych myślach, nie odzywając się ani słowem. Romek także pracował mózgiem.

Położony na skraju uliczki, domek, na wpół tkwiący w ziemi, zdawał się uspiętym oddawna, żadnego znaku życia nie dało się spostrzec na pierwszy

rzut oka. Było to jednak tylko złudzenie, bo gdy tak-sówka zbliżyła się, rozległ się lekki zgrzyt drzwi, prowadzących na brudne podwórko. W cieniu rozros-niętych od wieków kilku lipowych drzew, które za-słaniały niemal całe to gniazdo, zamajaczyła sylwet-ka mężczyzny. Stanął w rogu, po czym prędkim kro-kiem oddalił się, opierając się o jedno z drzew i tak znieruchomiał. Księżyc snąc dojrzał go, ukłął go swoimi świetlistymi promieniami, okalając nimi je-go ponurą twarz. Romek poznał go odrazu. On, sto-jąc z pochyloną do przodu głową, zdawał się nasłu-chiwać, jak gdyby oczekiwał kogoś.

Szofer cicho odjechał, zadowolony z sutego wy-nagrodzenia, które otrzymał. Zbliżali się do drzwi, prowadzących do miejsca dyntojry, gdzie „sprawie-dliwości“ miało stać się zadość. Rozległ się ledwie dosłyszalny gwizd, po czym rozpoznana przez Romka twarz zbliżyła się.

— Jak się masz? — wyszeptał cień.

— Jak widzisz, brachu! — odparł Romek — Czy wszyscy już na miejscu?

— Tak, przyjacielu! Spóźniłeś się trochę, już jest po drugiej. Czekamy tu na ciebie i na córkę Bryłki.

— Właśnie to ja jestem — odparła Felcia, poda-jąc mu dłoń.

— Ach, tak! Wcale nie poznałem. Wyrosłaś na ładną, przystojną pannę. Już dawno zabastowałem i nie byłem u twego ojca. Przepraszam bardzo, ale jak to się stało, że wy razem przyjechaliście tu?!!! Nic nie rozumiem już teraz!

— Mam zaszczyt się przedstawić, — zawołała Felcia — jestem najlepszą przyjaciółką Romana.

— Kpisz ze mnie! — zawołał zdziwiony człowiek.

— Wcale nie, a zresztą zaraz się pan przekona. Wejdźmy do środka. Towarzystwo zapewne nudzi się, czekając tak długo na nasze przybycie.

— Co do tego, to nie. Ja umiem uprzyjemnić gościom czas, aby się nie nudzili. Wódki i „zagrychy” nigdy mi nie zabraknie. Dla ciebie, brachu — zwrócił się do Romka — jest lepiej, aby jak najwięcej mieli w głowie i jak najmniej w butelkach. Słuchaj, Romciu, żal mi cię, i dla tego tu czekałem na ciebie. Uciekaj, póki jeszcze ciebie nie dostrzegli. Wyrok już z góry na ciebie wydany. Oni nawet nie dadzą tobie dojść do słowa. Mówię ci to, bo po pierwsze jesteś moim przyjacielem od dawna, a po drugie w ostatnich dniach, jak mi się zdaje, policja wpadła na trop mojej meliny. Nie chcę aby ten wyrok był wykonany u mnie! „Ochłodzić” cię chcą!!! Słyszysz!!! — krzyknął mu do ucha.

Chwilę panowała cisza. Romek znał dobrze tego przyjaciela, który go chciał ratować. Był znany w świecie przestępczym, jako „charakterny” i „uczciwy” złodziej. Po odsiedzeniu dziesięcioletniej kary we Francji, gdzie postradał zdrowie i chęć do występku, kupił sobie ten domek i żył z przyjaciółką. Kraść i rabować nie chodził więcej. Żył z dyntojrów, które odbywały się u niego, i dobrej rady, udzielał jej kolegom po fachu. Jego rada musiała przypa-

dać do gustu mniej fachowo rozwiniętym od niego. Władał nawet kilkoma językami. Nieraz przy wódce opowiadał, że uczęszczał nawet do uniwersytetu w Petersburgu. Czy to były przechwałki tylko — tego nikt nie wiedział, ale fakt, że był dość inteligentnym człowiekiem. Zaprzyjaźnili się z Romanem w zabawnych okolicznościach.

Było to jeszcze wtedy, kiedy Romek próbował szczęścia na „farmazon“ z Brytanem. Pewnego dnia, gdy zacna kompania udała się na dworzec Wschodni na polowanie, Romek spostrzegł starszego jegomościa. Wyglądał na porządnego „buca“. Zbliżył się więc Romek do niego jako „mandżer“ i proponuje sposobem farmazonu nabycie złotej dziesięciorublówki, a po tym kupno „bryliantów“ i t. d. Interes, ku zdziwieniu Romana, poszedł bardzo gładko. Wspomniany jegomość nabył „brylanty“ za sumę tysiąca pięćset dolarów. Romek był dumny ze swego tak obfitego połowu. Na melinie, przy podziale łupu, koledzy wychwalali go, że tylko on jeden potrafi takie grube ryby wyławiać. Wtem Brytan przy liczeniu banknotów, parsknął niepohamowanym śmiechem, podsuwając Romanowi banknoty pod sam nos i wołając:

— Te! Ważny! Gdzie miałeś twoje „zerkawki“? Dolary są wszystkie fałszywe.

Gdyby Romana uderzono obuchem po głowie, nie odczułby tego tak silnie, jak ten zarzut. Poczęto z rąk do rąk podawać sobie banknoty, a wszyscy jednogłośnie uznali, że te dolary trzeba natychmiast spalić, gdyż za fałszywe pieniądze nikt niema chęci

siedzieć. Okazało się później, że rzekomy jegomość był nie kto inny, jak znany powszechnie szanowany i wytrawny złodziej. Śmiano się z Romana po melinach, że za fałszywe „brylanty” dostał fałszywe dolary.

Po tym wypadku kariera Romka, jako „brylanciarza”, skończyła się raz na zawsze. Więcej nie przyjęto go do spółki. Okazał się niedołącznym do afery. Widać nie był jeszcze na tyle podłym, by w żywe oczy okradać bliźniego. Brano go jeszcze kilkakrotnie do miasta, i ani razu nie wywiązał się ze swego zadania. Tylko Brytan, znając go dobrze, wierzył w jego gwiazdę. Porzucił kompanów, przyłączając się do Romka w charakterze stałego współnika. Korzyści, które wyniósł z wypadku z fałszywymi dolarami, były te, że pił całą noc na „bruderszaft” z tvm „frajerem” — nabywcą brylantów.

Roman więc wierzył mu teraz że chce go ratować. Dziwiło go tylko, że się chciał narażać takim grubym rybom jakimi byli Bryłka, Brytan i Pechowiec. Myślał, że raczej dba o swoją skórę, bojąc się, aby wyrok został wykonany w jego norze. Chce może, abym się stąd oddalił, — myślał — a wtedy.. wyskoczą z ukrycia i po drodze, daleko stąd, zrobią swoje...

Przyjaciel, stojący dotąd w milczeniu, odgadł widać myśli Romana, bo zawołał, ujmując jego dłoń w uścisk swych gorących palcy:

— Nie dowierzasz mnie, co?... — nie skończył, gdy wtem nagle ciszę zmącił odgłos zbliżających się

kroków. Jednocześnie zasłona zesunęła się z okna i kilka głów naraz wyjrzało ku nim.

— Za późno już na twoje ostrzeżenia!!! Dziękuję za dobre chęci. Tymi słowami Roman pchnął drzwi, prowadzące do środka. Felcia bez słowa wsunęła się za nim.

— Moje najniższe uszanowanie! — ukłonił się Pechowiec nisko. Stałeś się ostatnio bardzo niepunktualnym. — rzekł ironicznie. Wszystkiemu dziewczynki winne?... Romansiki w głowie ci pomięszają. Zapominasz, że gdy „dyntojra“ cię wzywa, trzeba być punktualnym. Ale co ty kpisz sobie z „dyntojry“ i z nas wszystkich?... Najlepszy dowód, że nawet porządnych córek złodziejów nie szanujesz!!! My ci teraz wybijemy romanse z głowy. Poznasz teraz, gdzie raki zimują.

Roman stał na środku pokoju, obrzucając bystrym spojrzeniem całe towarzystwo. Towarzystwo — z którego biuro śledcze byłoby więcej zadowolone, gdyby ich tu zastało, niż on. Felcia ukrywała się za jego plecami.

Bryłka, groźny i blady, szedł ku nim wyciągnąwszy przed siebie, drapieżne pazury. Chwycił córkę, pociągając ją za sobą. Ta wyrwała mu się i znów stanęła obok Romana. Chciał to samo znów uczynić, lecz w pół drogi opanował się. Chwilę stał, dysząc ciężko, poczym zawołał, utkwivszy wzrok w Romana:

— Przyjąłem cię do domu, pętaku, a ty tak mi się odwdzięczasz!!! Co wy na to?! — zwrócił się do o-

becnych, pokazując na Felcię. Ta zwariowała, czy co?!!! O! Nie! — krzyknął i jednym skokiem był znów przy niej.

— Puść mnie!!! Puść! — wołała. — Nie jestem więcej twoją córką!

Wszyscy otworzyli usta ze zdziwienia, zaś Bryłka zbieł ze złości, a ręce kurczowo zwinął w pięść.

— Tak córka mówi do ojca?!!! To ten „kapuś” przerobił cię na swoje kopyto! Umie on pięknie mówić!... A może przybiecał się z tobą ożenić? Co?...

— Już dawno jestem jego żoną! — wybuchła. O co go ojciec oskarża, to nie jest prawdą. On nigdy mnie gwałtem nie brał! To ja chciałam go gwałtem wziąć, a nie on mnie!!!...

— Słyszysz? — szturgnął jeden z „sędziów” drugiego, łysego z nalaną twarzą buldoga. Felcia chciała zgwałcić naszego Romka... Nie wytrzymam! — wołał. Pęknię chybą ze śmiechu!

Właściciel tej meliny, a Romka przyjaciel, wtrącił się nagle:

— Przede wszystkim, proszę tak nie hałasować! Takim krzykiem zwabicie tutaj całe biuro śledcze!!! Proszę o spokój! Jak nie, idźcie do cholery stąd! Nie dajecie nawet spokojnie wysłuchać każdego z osobna, jeno hałasujecie, jak przekupki jarmarczne. Siadaj, Romek, i panna Felcia także. Następnie zwrócił się do Brytana, który nie spuszczał spojrzenia z Felci: — Mam rację, czy nie?!

Brytan nic nie odpowiedział, tylko uporczywie

wpatrywał się w Felcię, tak jak by chciał ją zjeść oczyma.

— Co tak zerkasz na mnie? — zawołała, oczy ci jeszcze na wierzch wyliza. Przy tych słowach odwróciła się plecami do niego.

— Powiedz mi no, ty! — zwrócił się do Romka jeden z sędziów, przezwany „Mordą”. — Jak śmiałeś coś podobnego zrobić? Obiecałeś Pechowcowi, że ożenisz się z Irką?... Karmił cię i poił, a ty potym porzuciłeś ją, zalecając się już do Felci, którą chciałeś zgwałcić, nie patrząc na to, że jest córką starego złodzieja!!!

Cały „komplet sędziowski” patrzył na niego groźnie, starając się przybrać miny prawdziwych sędziów, — których wszyscy nie raz mieli sposobność widzieć w swoim życiu. Tylko przyjaciel, właściciel meliny patrzył na niego ze współczuciem.

— Czemu nic nie odpowiadasz? — dodał Pechowiec. — Teraz język postradałeś? Co tam dużo gadać, domagam się wyroku śmierci dla niego!!! Tylko śmierć może zmyć hańbę mojej córki!!!

Wszyscy, nawpół pijani, roześmieli się.

— Tak, tak. Śmierć! Śmierć! Dawaj go tu! — ryczał Brytan. Ja mam z nim stare porachunki; z mojej ręki musi zginąć!

— Ty wpierw zginiesz, niż on! — krzyknęła nagle Felcia. Dwa strzały jeden za drugim, rozległy się w ciszy nocnej. Brytan zerwał się i momentalnie zwałił się z nóg, na podłogę.

Felcia stała na środku pokoju z dymiącym jeszcze

rewolwerem w rękę, groźna i piękna. Wszyscy, zaskoczeni wypadkiem, nie śmieli ust otworzyć. Brytka rozwarł gębę od ucha do ucha, i tak siedział trupio blady o błędnym wejrzeniu, jakby przykutym do miejsca. Pierwszy który doskoczył do Felci, wrywając jej rewolwer, był Roman. Brytan wyjąc się z bólu mamrotał jakieś przekleństwa.

Za każdym jęknięciem Brytana, Felcia głośno wołała:

— To masz za moją hańbę, przeklęty! donzuanie! Zdychaj teraz za moją krzywdę, ty psie! Dawno już czas był, abys ziemię gryzł. Nie będziesz więcej gubił młodych niewinnych dziewcząt!

— Jeszcze będę! bełkotał Brytan, wykrzywiając z bólu twarz, co miało oznaczać uśmiech.

— Nie, nie będziesz! — krzyknęła Felcia i doskoczyła do stołu, chcąc chwycić nóż, lecz w porę zastąpiono jej drogę.

— Źle strzelałaś, moja piękna! Nic mi nie jest. Brytana i kula nie bierze — drwił, siląc się na odwagę; jednak długo udawać nie mógł, i zemdlął.

Po doprowadzeniu go do przytomności, „blatny” felczer, ten sam co leczył i Romana, a którego meliniarz natychmiast sprowadził, opatrzył ranę. Okazało się, że prócz wpływu krwi, który nastąpił, nic straszniejszego się nie stało. Kula przeszła przez udo, nie naruszając wcale kości. Druga kula poszła w ścianę. Felcia bynajmniej nie żałowała swego czynu. Narzekała jeno, że tak marnie strzela. Musiano ją trzymać na oku, aby znów głupstwa nie zrobiła.

Gdy awantura trochę ucichła, Brytan osłabionym głosem poprosił, aby Romanowi żadnej krzywdy nie czynić. „Teraz widzę, co to za gagatek z tej Felci — mówił. — Ty jesteś w porządku!” — uśmiechał się do niego smutnie.

Bryłka, widząc, jaki obrót ta cała sprawa wzięła, zwalił się nawpół pijany i zrezygnowany na tapczan i począł chrapać tak głośno, że musiano go przebudzić, polecając mu, aby to czynił o ton niżej. Tylko Pechowiec nie mógł się uspokoić, wykrzykując z pijackim uporem, że nie ustąpi stąd, póki nie ukarzą Felcię i Romana. Oskarżał go, że on namówił ją do tego czynu. Krzyczał tak długo, aż melinarz, bojąc się o swoją skórę, wyrzucił go za drzwi. Reszta przyjaciennie uśmiechała się już do Romana, zapraszając go do kieliszka. Klepali wesoło Felcię po plecach, wykrzykując:

— A to mi „geroja” baba!!

— Jak pragnę szczęścia! — wołał „Morda”, z taką kobietą można się udać śmiało na „robotę”, a nawet na „stój”.

— Ona i „mokrej roboty” nie przelęknie się!! — dodał drugi.

— Bryłka może być dumny z takiej córki — uznali jednogłośnie wszyscy.

Córka Pechowca, Irka, uczyniła najrozsądniej, nie zjawiając się wcale na „dyntojrę”.

Całe towarzystwo siedziało przy stole, suto zastawionym wódką i różnymi zakąskami. Każdy opowiadał swoje dzieje w związku z kobietami.

— O te kobiety! — wołał „Morda“, uderzając pięścią w stół tak silnie, że wszystko podskoczyło do góry. — Przez jedną „szparę“ odkiwałem dziesięć lat w katorzelli! Ale to nic, gdyby nie kobieta, nie wartoby było ryzykować. Ach, jak ja je lubię! — zawołał zachwycony, chwytając Felcię w objęcia.

Nie zdążył dokończyć, kiedy dostał butelką od Felci w głowę. To było sygnałem do ogólnej bójki. Towarzystwo poczęło się nawzajem okładać, czym popadło. Bryłka, którego wyrwano z błogiej drzemki, nie zorientowawszy się, co się dzieje, począł krzyczeć chrapliwym głosem:

— Śmierć „kapusiom“! Śmierć!! Nie hańbcie mojej córki!!! Oprzytomniał dopiero, kiedy tak samo oberwał butelką po głowie... Wysmukła Felcia nadspodziewanie okazała się silną i zdolną nie tylko do flirtu, ale i do bijatyki. Nie bacząc jednak na jej płęć, ktoś w zamieszaniu podbił jej oko. Nawet felczera, który starał się wszystkich rozbroić nieoszczędzono, tak że drugi „błatny“ felczer, którego znów sprowadzono musiał i jego opatrzyć z ran... Ofiara bójki „rodzinnej“ jęczał cicho, przysięgając, że już żadnego złodzieja nigdy leczyć nie będzie.

Już dniało, kiedy każdy z osobno wyniósł się w swoją stronę. Brytan tylko pozostał w łóżku wraz z pierwszym felczere. Jednakże rozeszli się, jak przyjaciele. Felcia podążyła dumnie za Romanem.

ROZDZIAŁ VII.

Roman „legalnie” zamieszkał już wraz z nie rozłączną Felcią w jednym pokoju, na ulicy Smoczej. Do ojca wcale już nie zajrzała. Bryłka prosił, groził — nic nie pomogło. Felcia nieugięcie trwała przy Romanie.

Stała się teraz smutną i posępnym wzrokiem wodziła za Romanem.

Na jej twarzy wyrył się jakiś ból. Obserwował tę zmianę, jej zmęczone ruchy. Gniew go ogarnął. — Zapewne już znudziła się przy mnie — myślał. Potrzebuje już „zmiany dekoracji”! Nie wytrzymał i pewnego razu zagadnął ją:

— Nudzisz się przy mnie? Brytan był lepszym! Bywał z tobą po kawiarniach, na dancingach, a ja co?... Już dłuższy czas, jak grosza nie zarobiłem! Nie powodzi mi się, jakoś od chwili, kiedy się „pobra-
lim?”.

— Mylisz się, kochany! — odparła cicho i skromnie.

Nie poznawał teraz tej Felci, od której przywykł

oczekiwać ciągłych awantur. Nie stroiła się, ani nie malowała. Więcej dbała o Romana, niż o siebie.

— Dlaczego taką smutną jesteś? Czy nie jestem dobrym dla ciebie?

— Ty zawsze jesteś dobrym i właśnie dlatego jestem tak smutną — odparła, zarzucając mu ręce na szyję. — Wieczorem, kiedy ty wybierasz się na „robotę”, poprostu od zmysłów odchodzę. Nie mogę się pogodzić z myślą, że ty możesz „zasypać” się, a co ja wtedy pocznę? Patrę co chwila na zegar i obliczam czas, a kiedy ciebie jeszcze niema z miasta, waruję poprostu! Byłabym szczęśliwą tylko wtedy, kiedy nie potrzebowałbyś ryzykować, a jałbyś się uczciwej pracy. Nie wymagam dużo od życia. Chleb i woda! Aby tylko spokojnie, bez strachu żyć z tobą. Każdy krzyk, który dobiega moich uszu z ulicy — przeraża mnie, gdyż myślę że to policja ciebie bije. Wierżaj mi, że jestem gotowa wszystko czynić, bylebyś ty niegnił więcej w więzieniu, kochany.

— Szlachetną i piękną masz duszę, zachwycał się Romek. Próbowałem nieraz, ale nie widzę ratunku. Muszę wynaleźć „dobrą robotę”, zarobię dużo forsy, a wtedy zabastuję. Będziemy żyli sobie, jak Pan Bóg na Nalewkach!! Gołymi rękoma ciężko zostać uczciwym człowiekiem, a nawet wręcz niemożliwe!!! Uczciwymi ludźmi mogą być tylko ci, którym nic nie brak! Tak, moja kochana!

— Właśnie ja się boję tej „dobrej roboty”, o której stale mówisz. Uważaj, abyś przy tej dobrej robotcie, zamiast forsy, nie zarobił świeżych kilku lat

„chleba”. Nie trudno o to, z taką twoją odwagą! Ty całe twoje życie ryzykowałeś dla drugich i dlatego tyle lat młodych gniteś w murach. Ach! jak mnie ciebie żal... jak mi ciebie żal...

Przytuliła się bardziej do niego i zaszlochała na głos.

— Jakaś ty dobra! — zawołał wzruszony i łzy... poczęły spływać z jego oczu... Ona, widząc to, otarła mu łzy i momentalnie przybrała weselszy wyraz twarzy, obdarzając go serdecznym spojrzeniem.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje?! Tylko smutne myśli przychodzą mi do głowy!! Ale, nie dam się! Będę już weselszą! — próbowała się roześmiać. Pamiętasz, jaka dawniej byłam wesoła?! Chcesz, to ci zaśpiewam ładną piosenkę? Precz ze smutkiem!!!

— No dobrze, zaśpiewaj! tylko coś wesołego.

Felcia zamysliła się, odkaszlnęła kilkakrotnie, szykowała się do śpiewu.

— Jak to cyganie mówią? — nagle wtrąciła. — „Kiedy cygan śpiewa, wtedy jeść mu się chce”.

— Idź, sprzedaj mój zegarek i przynieś, coś do „wcinania”, później zaśpiewasz.

— Nie! Nie! Nie! nie jestem już głodna! zażartowała i miłym, dźwięcznym sopranem zaczęła śpiewać.

Gdzie się podziały te słodkie chwile

I tak wesołe poranki?

Gdziem tak spędzał słodko i mile?

U swojej najdroższej kochanki.

Dzikie ptaszęta dźwięcznie śpiewają
Pociąg wyruszył, sygnał podają
A na morzu biją bałwany!!
A mnie już kują w kajdany.

Widzę cmentarz, gdzie cisza panuje,
Tylko dwa krzyże tam widać;
Jeden mej lubej, mojej ukochanej,
A drugi jej matki „szemranej”.

Ja już nigdy nie wrócę! nie wrócę! nie!
Bo ciężar kajdan zabije mnie!

Skończyła piosenkę i utkwiała wzrok w kochanku. Badała, jakie wrażenie ta piosenka na nim zrobiła.

— Tak, kochana! — odparł po chwili. Zaśpiewałaś mi extra tę piosenkę, abym zapamiętał i mógł powtarzać ją sobie, kiedy będę mieszkał za kratą?...

— Wcale o tym nie myślałam. O tak sobie na myśl mi ta piosenka przyszła. Usłyszałam ją od jednego chłopca, który wysiedział dziesięć lat. On stale tę piosenkę śpiewał. Jakże smutna ona jest, nieprawdaż?

— Gdy tę piosenkę śpiewa się na wolności, nie jest ona wcale tak smutna — odparł. — Natomiast straszną ona jest wtedy, kiedy się gnije w żywym grobowcu, pozbawionym wszystkiego, prócz więziennej zupy!! Tam człowiek sobie przypomina słodkie chwile, spędzone w objęciach ukochanej osoby. Ja zapewne niezadługo tak samo będę mógł tęsknić za kratą i przeżyć w wspomnieniach słodkie chwile na-

szego pożycia. Taki jest już los złodziejski. Teraz siedzę z tobą, słuchając twego słodkiego śpiewu, a za godzinę być może będę śpiewał... w biurze śledczym!!! Tam człowiek śpiewa, choć nie posiada głosu. Niech szlak trafi to diabelskie życie!! Stale oglądaj się na wszystkie strony, drżąc ze strachu, że może już ostatnia twoja godzina wybiła!!

— Nie martw się, kochany! — pocieszała go Felcia. Ja nie dam ci więcej ryzykować. Mam radę, o której dawno już myślę. Nie będziesz potrzebował więcej gnici w więzieniu. Ja zarobię, że dla nas wystarczy. — Kraść — już dawno jestem przekonana, że nie opłaca się. Nieraz miałam sposobność widzieć u ojca różnych złodziejasków, którzy za grosze odpalali drogie „facyjenty”. Myślałam wtedy, jacy to głupcy są, że za marne grosze ryzykują życiem. Wiesz co?! Nie siedziałam jeszcze w więzieniu, ale miałam sposobność być z wałówkami na widzenie do więźniów, do których ojciec mnie posyłał. Taka wizyta moja trwała zgóry piętnaście minut, a miałam wrażenie, że to trwa wieki całe: Chciałam jaknajprędzej wydostać się za bramę. Nie mogłam nawet znieść tego śmierdzącego powietrza, jaki się daje odczuć, gdy wstępujesz na korytarz więzienny. Wyobraź sam sobie, jakie duszności panują dopiero w samej celi więziennej. Za żadne skarby nie chciałabym tam mieszkać!!!

Słyszysz? Ja nigdy za złodzieja nie wyszłabym zamaż. Porzuć to przeklęte zajęcie! Posłuchaj rady córki Bryłki, która, sam mi przyznasz, zna to

złodziejskie życie, nie gorzej od ciebie, choć sama kraść nigdy nie chodziłam.

— Masz rację! masz świętą rację! Ty bardzo mądrze zapatrujesz się na to życie, ale idź powiedz to frajerowi. Frajer zawsze twierdzi, że złodzieje mają świetne życie. Żyje lekkim chlebem, nic mu nie brakuje. „Nie sieje, ani orze, a zbiera plony!” Dlaczego nie zastanawiają się na tym, że więzienie jest tak ciężką karą, że ono może odebrać apetyt do wykonywania złych czynów. Złodziej, moim zdaniem, kradnie, nie wskutek skłonności wrodzonych, czy odziedziczonych, lub dlatego, że pragnie prowadzić lekkie, hulaszczę? życie? Nie! Wcale nie! Złodziej kradnie dlatego, że społeczeństwo pragnie, aby kradł. Ty nie patrz na mnie tak, jakby mi brakowało piątej klepki w głowie! — zawołał, widząc, jak Felcia ironicznie się uśmiecha w odpowiedzi na jego filozoficzne wywody.

— Dosyć tej dyskusji! — odparła Felcia, kierując odrazu temat rozmowy na inne tory.

ROZDZIAŁ VIII.

Dawno już zapadł mrok, kiedy Romek wybrał się pewnego wieczora, próbować szczęścia poraz dziesiąty. Od chwili, gdy mieszkał razem z Felcią, ja-koś mu nie szło. Wspólnicy stronili od niego wiedząc o całym zajściu z Brytanem. Bryłka i Pechowiec szkodzili mu, gdzie tylko mogli. Brytan dawno już wrócił do zdrowia, ale „na miasto” jeszcze nie chodził. Romek spodziewał się, że porachunki nie są jeszcze załatwione. Nosił stale przy sobie rewolwer dla własnej obrony. Felcia tego dnia ze „świe-żutko zrobioną twarzą”, weselsza jak zazwyczaj, też wychodziła na miasto. Nie chcąc uchodzić za zazdro-znego, nie pytał dokąd. W ostatnich dniach zaczęła się znów na nowo stroić, a nawet parę razy wróciła późno wieczorem. Pewnego dnia, w toku rozmowy, dała mu do zrozumienia, że chciałaby zarabiać, aby tylko on nie był zmuszony do ryzykowania swej wol-ności. Domyslił się, o jakim zarobku mówi... Udawał jednak że nic nie rozumie. Podejrzewał, że jej więcej idzie o to, by zaspokoić swą pobudliwość erotyczną, aniżeli o zarobek.

Całą duszą czuł Roman zawsze wstręt do tego rodzaju handlu, Odczuł to tembardziej teraz, gdy dowiedziało mu się, że ją kocha. Bolało go bardzo, gdy słyszał jej niskie projekty, a jednak starał się o tym nie mówić. Wieczorem, gdy zasypiała, rewidował jej torebkę, pończochy i inne miejsca, gdzie kobiety tego rodzaju przechowują pieniądze; jednak nic podejrzanego nie znajdował. Pocięsział się myślą, że go jeszcze nie zdradziła. Zegarek złoty i inne wartościowe rzeczy dawno sprzedał na potrzeby codziennej egzystencji. Dziś właśnie postanowił za wszelką cenę zarobić i zerwać raz na zawsze z Warszawą. Zabierze ją do innego miasta, nie będzie miała znajomych, może tam zapomni o Brytanie, z którym, podejrzewał, że ma zamiar skomunikowania się na nowo.

Wyszedł z domu z zamiarem udania się do jednej kawiarenki, gdzie umówił się z kolegą „po fachu”, który został zwolniony trzy dni temu z Mokotowa.

Znał on Romana oddawna. Gdy dowiedział się o zejściu z Brytanem, odrazu zadeklarował się po stronie Romana. Postanowili zawrzeć „spółkę”. Teraz mieli poraz pierwszy razem udać się w „teren”, aby wypróbować talenty i wspólne szczęście. Gdy Roman przekroczył próg kawiarni, nowy współnik wyszedł mu na spotkanie. Obaj mężczyźni skierowali swe kroki w kierunku Marszałkowskiej.

Szli w pewnej odległości od siebie. Długo wałęsali się po ulicach Warszawy. Jakoś „nie szło”. Zerkali z nienawiścią na spóźnionych przechodniów. Księżyc stał w pełni i toczył się wśród gwiazd, oświetla-

jąc Dworzec Główny swoimi srebrzystymi promieniami. Wskazówki wieżowego zegara dworcowego wskazywały dziesięć minut przed dwunastą. Szli po chodniku, prowadzącym do dworca, okrążając starannie policjanta, który stał na rogu. Policjant, kierujący ruchem u wylotu krzyżujących się ulic, zmierzył ich podejrziwym okiem. Mimo późnej, wieczornej pory, ruch był jeszcze dość znaczny.

— Wstąpimy tu na chwilę, by się ogrzać — zaproponował Romek. — Może tam da się zarobić przy takim tłoku masy ludzkiej.

— Możemy wstąpić! — zgodził się Lipek. Ale co zrobimy ze „statkami“, które mamy ze sobą? Niebezpiecznie kręcić się na dworcu, mając to przy sobie.

— Masz rację! Możemy wstąpić, a gdy zauważę, że można tam zarobić, „odpalę“ wszystko tobie. Poczekasz na mnie przed Dworcem. „Dole“ dostaniesz odemnie na równe. Jak spółnik, to spółnik! Nie bój się, ja ci grosza nie „nawalę“.

— Dlaczego ja mam stać na ulicy, a ty masz ryzykować? Wszak kiedyś latałem za „doliną“! Zabieraj ty moje „statki“, a ja wpadnę do środka; może da mi się „skóry“ jakiemu frajerowi wyciągnąć! Ty tego nie umiesz! — zaprzeczył Lipek.

— Nie przyjacielu, na to ci nie pozwolę! Ty dopiero trzy dni na wolności, a możesz się znów „zasypać“. Nie chcę, byś przy mnie miał nieszczęście. Powiem ci prawdę, że chciałbym jak najprędzej być na Pawiaku i trochę odpocząć. Wszystko

już mnie obrzydło: kradzieże, kobiety... Mam już tego dosyć!!

— Fe! Ty tak nie mów! Wolę na wolności być głodnym i bez dachu nad głową, niż za kratą najedzonym! Wolność — to najdroższy skarb człowieka! — tak zawsze mówił mój ojciec.

— Wolność jest dobrą rzeczą — odparł Romek zgorzkniały, kiedy jest co robić ze swoją wolnością. Żyć pod strachem, że lada chwila można ją utracić — jest gorzej, niż więzienie. Tam nie boisz się już niczego. Eksmisji tam nie dostaniesz nigdy! Chyba, że aż na tamten świat!!!

Tak! taki już nasz los, kochany przyjacielu; Jesteśmy jeszcze młodzi, poco więc myśleć o śmierci? Pomyślimy lepiej, jak dziś zarobić na jutrzejszy obiad — roześmiał się na pozór beztrosko Roman.

— Masz rację! Niech będzie, jak ty chcesz! Wał do środka, może Pan Bóg nam pomoże i podsunie ci tłustego frajera. Ja będę na ciebie czekał na ulicy. Nie myśl czasem, że we mnie serce tak samo nie będzie bić na ulicy, jak u ciebie przy robocie. Przeżyję to samo, co ty! Powiem ci prawdę! Wolę same-mu działać, niż czekać na ulicy.

Romek wszedł nareszcie do hali dworca. Dworzec aż roił się od ludzi, i pełen był hałasu. Usiadł na jednej z ławek, obserwując pasażerów. Wprawny mi oczyma wyławiał z pośród wszystkich kandydatów, ofiary... Ten frajer z żółtą skórzaną walizką, z pledem przerzuconym przez ramię, widać jest cudzoziemcem. Ta frajerka w żałobie niepewnie trzyma w rękę to-

rebkę. Ta starsza otyła kobieta, siedząca naprzeciw, drzemie smacznie, zapominając, gdzie się znajduje... Chłop w kozuchu, siedzący obok, maca się co chwila za pierś. Widać ma tam coś zaszytego! Zapewnie przyjechał do „hadwokata“, albo do rejenta w sprawie majątkowej.

Tam znów spaceruje elegancka dama, ubrana w karakuły i brylanty, które drażnią go swoją wartością. Tu znów stary jegomość zmienia wielką sumę przy kasie. Romkowi niemal oczy nie wylazły na wierzch, patrząc na to wszystko. W myślach układał sobie różne plany działania, na żaden z nich, jednak, nie mógł się zdecydować. Złapać walizkę i ulotnić się stąd?! Kto wie? Może tam znaleźć starą bieliznę, albo inne bezwartościowe łachy. — Spróbować szczęścia, by wyciągnąć portfel — nigdy tego jeszcze nie robił. Do tego, wiedział, trzeba mieć długą praktykę. Puścić tu Lipka, aby on to uczynił za niego? Nie. „Honor“ nie pozwala mu. Lipek jest dopiero trzy dni na wolności...

Policjant, spacerujący tam i z powrotem, zerka na wszystkie strony, a dworcowa pani z opaską żółto-białą na ramieniu, zwraca się do młodej dziewczyny, wypytyując skąd, i dokąd się udaje.

Tu na tym rynku ludzi, obojętnych sobie, czyhają higieny ludzkie w postaci Romka i Lipka. Handlarze żywym towarem i inni kombinatorzy polują tutaj na niedoświadczone, wiejskie i małomiasteczkowe dziewczęta, które przybywają do stolicy z pustą kieszenią i pełnym sercem nadziei na przyszłość. Jedna

marzy o karierze „służącej do wszystkiego”. Druga zaś chce zasłynąć jako gwiazda filmowa. Łowcy serc tych naiwnych dziewcząt, uciekających z domu i chcących się usamodzielnić, znają doskonale ich słabości. Sypią złotymi propozycjami, obiecują złote posady, natrafiając przy tym u każdej na jej słabą stronę. Dziewczęta, oszołomione propozycjami, myślą sobie: „Jacy dobrzy ludzie w tej Warszawie! Jaka byłam durna, że tak długo siedziałam na wsi, albo w domu u macochy i głodowałam. Tu człowiek jakoś nie zginie!!!”

Na myśl nawet im nie przychodzi, że poznani przez nich dżentelmeni i chlebodawcy są nikim innym, jak hienami w ludzkich ciałach. Nic dziwnego nawet, że te prowincjonalistki ufają tym „dobrym” warszawiakom. Są za uczciwe jeszcze i nie zepsute na tyle, by mogły kogoś podejrzewać o podstęp.

Romek zauważył młodą kobietę, ubraną z wiejska, z włosami, związanymi na supeł, jak u konia ogon, z kraciastym tobołkiem w ręku. Siedziała i liczyła kapitał swój. Romek drgnął.

— Tę chamkę można zrobić — myślał — dowale się do niej.

— Jak ci nie wstyd? — uderzyła ambicja — nie liczysz się wcale z „honorem złodziejskim”. Co ta „chamka” może mieć za kapitał? To jest jej cały majątek. Przyjechała zapewne tu szukać pracy. Zabierz jej te grosze, a ona rzuci się pod tramwaj. Ty do takich „robót” nigdy nie należałeś!!! I nigdy należeć nie potrzebujesz.

Lecz złe podszepty nie dają mu spokoju. Mówią one: — Jesteś goły, musisz koniecznie zarobić. Nad tobą nikt z „frajerów” także się nie lituje!! Nie szkodzi, ona ma ładny cyferblat i niczego sobie figurkę. Znajdzie sobie amatorów, jak zechce. W Warszawie nie brak hultajów. Ty zaś innym sposobem nie możesz wyżyć, jak „dziesięcioma palcami”.

Romek zrywa się zły, przenosząc się w inny kątdworca. Nagle spotyka się z Lipkiem.

— Chodź stąd! Mam przeczucie, że wpadniemy. Słyszałem, jak pies zawył przeraźliwie. Zmykaj! Dopóki czas!

Romek zmierzył go lekceważąco.

— Bzdury pleciesz, przyjacielu.

— A ja ci mówię! — upierał się Lipek przy swoim. — Chodź lepiej stąd, bo mam złe przeczucie. Dziś wieczorem śnił mi się las, a ty sam wiesz, co oznacza las we śnie złodzieja.

— Las mieć własny, to nie źle! — żartował Romek — ale nie we śnie. Wszystko głupstwo. Patrz! Widzisz tego „buca”, co tam przy kasie biletowej 1-wszej kl. stoi w kolejce?

— Tak. Widzę. Ten w denczaku na głowie, we futrze.

— Tak, ten. Sam widziałem, jak wyciągnął „skórę”, mocno wypchaną „Łołami”.

— Puść mnie! Ja tego „zrobię”! — zapalił się od razu Lipek, zapominając momentalnie o złych przeczuciach i snach.

— No, a twoje sny, i ten pies, co czekał?

— Ach, tak! Za nic w świecie tu na dworcu nie będę dziś „robił“! Chodź lepiej ze mną na ten „kaber“, o którym ci mówiłem. Tam robota stu procentowo pewna. Statki mam przy sobie przecież.

— Ja tę twoją „robotę“ muszę sam wpierv obejrzeć. Masz moją „spluwę“ i czekaj na mnie przed dworcem. Muszę dziś „zrobić“ tego frajera.

— Patrz, aby czasem on cię nie „zrobił“. Pamiętaj! Ja nie radzę, chodź lepiej stąd!

Romek nie słuchał go więcej. Odszedł od niego i zbliżył się w kierunku ludzi, stojących w ogonku przed kasą, między którymi znajdowała się wybrana przez niego ofiara.

Widział jeszcze, jak Lipek wysunął się z dworca na ulicę. Po chwili jednak wrócił i nieznacznie przesunął się mimo, szepcząc Romanowi do ucha:

— Ale ja też należę do „doli“.... po czym znów wysunął się na ulicę.

Romek stanął obok tego frajera, udając, że szykuje pieniądze na bilet. Głowa pracowała usilnie, układając plany, co będzie robił z tylu pieniędzmi. Pocięszał się myślą, że nareszcie będzie miał możliwość pokazania Felci, że jeszcze potrafi „zarobić“ i że nie będzie potrzebował, aby ona myślała o zarobku Felcia, co prawda, nie czyniła mu wyrzutów, iż nie zarabia, ale czyniła to bardziej delikatnie, opowiadając o cudownych interesach Brytana. Nawet wychwalała go, że nie było wypadku, aby nie wrócił z wyprawy bez prezentu dla niej.

Wreszcie decydująca chwila nadeszła. Nie obcho-

dziła go teraz cała chmara ludzka, otaczająca go dookoła. Widział jeno jedynego człowieka przed sobą, albo raczej... portfel tego człowieka. Nie zauważył nawet, że ktoś śledzi go uporczywie i dąży do tego, by go zgubić!... Już prawa ręka, choć nie wprawiona do „doliny“, wsunęła się lekko w boczną kieszeń futra. Sam dziwił się, jak fachowo czynił ten ruch. Portfel zetknął się już z lekko drżącymi palcami... Kurcz owładnął go nagle w palcach, zmuszając do ich bezwłocznego wyciągnięcia z kieszeni. Uczynił to, trzymając portfel w zaciśniętych palcach. Frajer oparty rękoma o barierkę, ułatwił mu tylko sytuację. Jeden moment decyzji i energiczny ruch a portfel zostałby wywindowany w górę. Wtem nagle ktoś go chwycił za rękę. Prąd strachu przeszył go całego, a portfel upadł na podłogę.

— Nareszcie mam cię ptaszku! — Poznał go od razu. Przed nim stał chuderlawy człowiek, z uśmiechem szyderczym na ustach.

— Podnieś portfel! — zawołał, nie puszczając jego ręki. Oczy ich nienawistnie zetknęły się.

— Co?! Pan mnie każe podnieść cudzy portfel! — Udał urażonego, sam nie wiedząc, co mówi.

— Podnieś, mówię ci! — powtórzył. Zbiegowisko wokoło z każdą chwilą wzrastało

Gwizdek policyjny przeszył powietrze, a za chwilę wyrósł policjant i bez pytania ujął Romana pod ramię. Za nimi podążył triumfujący chuderlawy człowiek z portfelem w ręku.

— Niech pan przypadkiem nie wykrada pieniądze-

dzy z portfelu! — rzucił Romek chuderlawemu z ironią — bo później pan powie, że ja to uczyniłem.

— Jazda, jazda! Nie bądź taki mądry! — zwrócił mu uwagę policjant.

W chwilę później Roman stanął przed dostojnym obliczem dyżurnego komisariatu kolejowego. Zrozumiał, że tu już żadne mądrości nie pomogą.

Za chwilę przybył i frajer. Wygląd miał trupio-blady. Już z proga krzyczał drżącym głosem: — Gdzie mo... je, gdzie moje pieniądze?!!!

Dyżurny przodownik podsunął mu portfel pod sam nos. — Tu są pańskie pieniądze! — Frajer, na widok portfela zemknął i usunął się jak długi na podłogę.

Była taka chwila, w której Roman mógł skorzystać z zamieszania i ulotnić się stąd. Lecz jeden tylko chuderlawy człowiek stał na przeszkodzie, nie spuszczał oka z Romka.

Doprowadzono frajera do przytomności. Wskazano mu Romka, oświadczając, że on jest tym złodziejem, w co nie chciał uwierzyć:

— Nigdy bym nie przypuszczał, że pan jest złodziejem! — oświadczył dobrodusznie. — Wcale na takiego pan nie wygląda. Cały majątek miałem przy sobie! Pięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt dolarów mam w portfelu! Mój Boże! Na jedną tylko chwilę wsunąłem portfel do bocznej kieszeni futra, a już złodziej to spostrzegł! Dobrzy złodzieje są w tej Warszawie!!!

— Niech pan się strzeże, aby drugi raz pana nie

zrobili. U nas w Warszawie wszystko jest możliwe! — śmiał się dobrodusznie przodownik.

Spisano odpowiedni protokół. Frajer wcale nie „kapował”. Twierdził, że Romana wcale na oczy nie widział. A nawet próbował go bronić:

— Może portfel sam mi się wysunął z kieszeni, gdy się oparłem o barierkę? Nic nie wiem!

Romek myślał sobie: — Porządny frajer. Zupełnie uczciwy człowiek. Żałował już, że nie posłuchał Lipka. Trudno, stało się. Ale nie przyznam się do niczego — postanowił. — Zobaczymy, co z tego wyniknie!

Na swoje usprawiedliwienie, tłumaczył, że agent jest podpity i czepia go się bez dania racji, że nie jest wcale złodziejem, że przyjechał do Warszawy za interesem i o niczym nie wie. Ten agent dobrze go jednak znał.

Wreszcie agent załatwił swoje i wyniósł się. Przodownik począł go znów wypytywać o przebieg zajścia. Roman domyślił się, że przodownik nie bardzo miał zaufanie do prawdomówności agenta.

— Trudno — rzekł łagodnie. — Muszę pana zatrzymać w areszcie do jutra rano. Rano na Daniłowiczowskiej dowiemy się, co pan za jeden. Jeżeli się okaże, że biuro nie zna pana, to będzie pan wolny.

— Bardzo panu dziękuję! Może pan mnie w zupełności wierzyć, że nie mam nic wspólnego ze złodziejami! — zawołał półgłosem, czerwieniąc się.

— Naturalnie, że panu wierzę! — odparł. — Ale

wolę przetrzymać pana do jutra rano i przekonać się, co pan za jeden. — Dobrą chwilę stali tak obaj, badając się wzajemnie wzrokiem, po czym przodownik kazał odprowadzić Romana do aresztu.

Policjant, widąc, mniej wierzył w jego niewinność, gdyż w drodze do aresztu, ujął go dla pewności za rękę, aby mu czasem nie „wsiąkł” wśród tłumu pasażerów zalegających dworzec.

Dotarli wreszcie do celu. Przy wejściu do piętrowego budynku wisiała tabliczka, na której czerwonymi literami wypisane było „Komisarjat Kolejowy”. Wchodząc do środka, policjant udzielił mu pierwszeństwa, wpuszczając go pierwszego. Dyżurny policjant przyjął go niechętnie. Okazało się, że „trzy umeblowane pokoje” zbite są z desek, a chwilowo zaś służą za tymczasowy areszt. Areszt ten, największą frekwencją poszczycić się może w porze nocnej. Jest on wtedy przepełniony „gośćmi”.

— Masz jeszcze jednego, zabieraj go! — zawołał „opiekun” i odrazu znikł za drzwiami.

Dyżurny zrewidował Romana, nie omieszkał przy tej czynności zmarszczyć groźnie brwi. Uwierzył widąc, że człowiek który został przed chwilą powierzony jego pieczy, istotnie jest złodziejem. Otworzył drzwiczki, zbite na kształt kraty, tak by policjant mógł widzieć, co się w celi dzieje.

Nie było tam żadnych okien, tylko światło z korytarza wdzierало się skąpymi blaskami do środka. Za całe umeblowanie tej celki służyła szeroka ława, również z desek zbity, na której rozłożyli się dwaj ob-

dartusy, chrapiąc głośno. Byli widocznie bardzo zadowoleni z gościnności, jakiej im udzielono. Gdy się przebudzili, opowiedzieli przybyszowi o sobie, a gdy on im skolei opowiedział, za co go aresztowano, patrzyli na niego zawistnie.

— Co się martwisz? — mówił obdartus. — Pójdiesz do więzienia. Tam będziesz miał wszystkiego pod dostatkiem: ubranie, spanie i jedzenie. Nas to nawet do więzienia nie chcą przyjąć! Zawsze przetrzymują tylko przez noc, a rano znów wypędzają na ulicę. Za zimna pora teraz pod mostem się ulokować. To też przychodzimy przynocować na dworcu, a policja zaraz lokuje nas tutaj.

— Musimy kradzież zrobić! — uśmiechnął się smutnie drugi obdartus — to nas raz dwa zabiorą do więzienia. Tam chyba nie tak trudno się dostać, jak ty myślisz?

— Kiedy my kraść nie umiemy! W tym cała bieda! Nie wiemy, jak to się robi — dodał, jakby zawstydzony.

— Właśnie w więzieniu siedzą tylko tacy, którzy kraść nie umieją. Ten, który kraść potrafi, jest na wolności i nigdy nie siedzi! — rzucił Romek zły.

— Pan widać jest rozgoryczony i dlatego tak mówi. Kraść jest grzechem i tego robić nie wolno — odparli jednogłośnie obaj obdartusy.

— Być takimi nędzarzami, jak wy jesteście, jest gorszym grzechem! — odparł Romek. Gdyby was nie okradano, nie byłibyście tu! Jakie zajęcie macie? Jestem ciekaw — dodał.

— Ja byłem subjektem na Marszałkowskiej — odparł w ciężkim westchnieniu starszy obdartus. — Mój gospodarz zbankrutował, a pracy nie mogę dostać. Zajęcie moje jest bardzo dobre! — rzekł ironicznie. — Pomagam bezrobotnym całego świata próżnować, a kolega mój dopomaga mi też w tym.

— Ale z czego żyjecie?

— Właśnie, że się nie żyje wcale! odparł młodszy. — Pies z ulicy lepiej żyje od nas.

— Chciałbym być takim pieskiem pokojowym, jakiejś starej panny — zawołał rozgoryczony starszy. — Nieraz gdy pomyślę, jak psy sobie żyją w bogatych domach, mam żal do Pana Boga, że nie stworzył mnie psem. Wiele razy widziałem, jak ludzie się litują nad psami, kotami i innymi stworzeniami. Tylko nikt nad człowiekiem!!!

— Co zrobić? — pocieszał go młodszy. — Świata nie przerobimy już. Zobaczysz, że my dostaniemy jeszcze pracę, a wtedy będzie wszystko dobrze! Ja za pierwsze pieniądze, co zarobię, kupię sobie pół kilo szynki. Ach, jak dawno już szynki nie jadłem! — zawołał, połykając, na samą myśl o niej ślinę.

— Ja tam jestem zadowolony, jak mam kawałek chleba! — rzekł starszy. — Moje zęby odzwyczyły się od mięsa. Ja, gdybym dostał pracę, to za pierwsze pieniądze zakupiłbym kilka mszy świętych. Podziękowałbym Bogu, że dopomógł mi i zlitował się nademną.

— Ja tam w Boga nie wierzę! — rzekł z przekonaniem młodszy, — gdyby był Bóg, nie rządziłby tak

niesprawiedliwie światem. Nie dałby jednemu za dużo, a drugiemu nic...

— Cicho bądź, smarkaczu! — wołał starszy, grożąc mu pięścią. — Czego narzekasz na Boga? Nie zarobiłeś dziś ładnego grosza za paczkę, którą odniosłeś temu panu z Chmielnej. Gdyby nie Bóg, nie żyłbyś ani jednej sekundy, durniu!!

— A ja mówię, że niema Boga! — upierał się przy swoim młodszy. Policjant stuknął obcasem w drzwi i nakazał milczenie.

Roman zadumał się poważnie: Ja to, za co cierpię, — myślał — mam do zawdzięczenia jedynie sobie, gdyż innych przecież skrzywdziłem i za to cierpię teraz. Ale oni? Poraz setny przekonał się, że uczciwym być nie warto! Przyszły mu na myśl słowa starego katorżnika: „W życiu grunt to nie uczciwość, tylko forsa“... Niestety, to prawda.

Rano pożegnał oberwańców, których zwolniono. Romka wraz z innymi aresztowanymi dwiema kobietami, policjanci odprowadzili do biura śledczego, na Danjłowiczowskiej.

Romek znał dobrze ten dom, na którego widok odczuwał silny wtręt. Starał się zawsze tę ulicę omijać zdala, aby nie spojrzeć na ten gmach. Wpuszczono go teraz do okratowanego pokoju, gdzie ledwie się zmieścił! Było tam tylu ludzi, że ocięrali się wzajemnie o siebie. Tej nocy „połów“ udał się znakomicie. Spotkał tu starych znajomych. Krzyk... rwetes... Każdą po kolei opowiadał za co tu się dostał, radząc się wzajem, jak się mają tłumaczyć. Był zły, kiedy zna-

jomi wypytywali go gromadnie, za co i jak popadł. Wiedział dobrze o tym, że z chwilą, kiedy go tu wpuszczono, był na obserwacji. Śledzono, kto go tu przywita. Na nieszczęście otoczyli go też sami złodzieje!

Co chwila wywoływano nazwisko jednego z obecnych, by sprawdzić czy jest tu notowany. Komisarz i podkomisarz oglądali każdego. Podczas tych oględzin dało się słyszeć wiele dowcipnych pytań i odpowiedzi. Kobiety, w lwiej części prostytutki, flirtowały zawzięcie ze złodziejami, jakby chciały zapamiętać ostatni flirt przed więzieniem, lub „łaba-jem“, co ich najpewniej oczekiwało.

— No i ty tu jesteś! — zwrócił się do Romka komisarz, jak do starego znajomego. Byłby już czas najwyższy, byś zarobił ze dwa miliony dolarów i dał już spokój. Myślę, że ostatnie lata nauczyły cię rozumu.

— Właśnie, że nie, panie komisarzu! Gdybym nauczył się rozumu, nie byłbym tu teraz — odparł.

— A za co teraz?

— Jak zawsze, panie komisarzu, niewinnie.

Komisarz parsknął śmiechem.

— Czy jest tu między wami taki, co jest winny?

— Tak, ja jestem winny, panie komisarzu! — zawołał znany złodziej, przezwany „Mortus“. Na trzy lata wyrok już sobie podpisuję i to bez sądu!

— Dlaczego tak srogo się chcesz ukarać? Pewno coś ważnego zgrzeszyłeś?!

— Właśnie, że nie! Przeszkodzono mnie w samej

robocie i dlatego, że jestem takim marnym złodziejem, sam przyznaję się, że należy mi się taki srogi wyrok! Nie za to, że kradłem, lecz za to, że dałem się złapać!

— Racja — Mortus! A ty, Felek, za co? — zwrócił się do drugiego.

— Ja, panie komisarzu, że spóźniłem się na pociąg!...

— To źle! — odparł komisarz. Trzeba było się pośpieszyć i nie spóźnić się.

— A ty, Władek, — zwrócił się do młodego złodziejzka. Wczoraj dopiero was zwolniliśmy!

— Chciałem się zobaczyć z panem komisarzem! — odparł, śmiejąc się.

Wisielczy humor tu panował. Komisarz obejrzał jeszcze kobiety, rzucając kilka nie bardzo pochlebnych dla nich uwag. Zwrócił się do jednej otyłej, jak beczka, kobiety:

— No i co, cioteczko, znów tu?!

— Ja sama nie wiem — odparła płaczącym głosem. — Jakiś frajer przyczepił się, że u mnie w domu zrobiono go na „podchód”. Pan Komisarz wie, że ja już dawno nie zajmuję się takimi brudnymi rzeczami!

— Naturalnie, że wiem! — uśmiechnął się pod nosem komisarz. — Ja mogę ręczyć, że pani sama go nie okradła!... Lecz miała pani z całą pewnością wielu współników do tego!!!

— Niech sobie komisarz zdrów żartuje, ale przysięgam, że jestem niewinna.

— Wierzę na słowo! — odparł, śmiejąc się. Wstał i opuścił pokój.

Kilka minut po tym zawezwano Romka na „sprawkę”. Był wielce zdziwiony, kiedy urzędnik rozkazał mu zdjąć „pacyki”, ponieważ go wcale tu nie znają.

Odesłano go z biura do sędziego śledczego; po tym do łaźni miejskiej, przy Dworcu Gdańskim. Elegancko wykąpano tak, jakby na Pawiaku miał się odbyć jego ślub.

ROZDZIAŁ IX.

Było już późno wieczorem, kiedy furtka więzienia otworzyła się, aby Romka zagarnąć do siebie. Zgrzytnęły kilkakrotnie klucze przy zamykaniu paru jeszcze drzwi żelaznych. Po chwili znalazł się w kancelarii więziennej.

Urzędnik, zapisujący nazwisko, pochodzenie ojca, matki, tak go świdrował oczyma jakby zamierzał oddać mu swoją córkę za żonę, śledził jego rodowód z pedantyczną drobiazgowością.

— Zdaje mi się, że siedzieliście tu już! — zawołał urzędnik.

— Tu nie!.., ale w pojedynkach może!

Urzędnik raczył mu przesłać przez okienko uśmiech, za trafną i dowcipną odpowiedź.

Zrewidowano go z większą dokładnością, aniżeli to uczyniono w areszcie, po czym wraz z innymi oddano go pod opiekę gospodarza, który zabrał wszystkich do łaźni więziennej. W drodze do rajy, myślał Romek, nie przechodzi się tak skrupulatnej „czystki”, jak robią to z więźniem, który ma dojść do „miejsca przeznaczenia”.

Już, poczawszy od łaźni więziennej, więzień zaczyna wczuwać się w swoją rolę. Staje się automatem, bez własnej woli.

Gospodarz z ponurą miną, potraktował go tak jak przepisy więzienne na to pozwalają. Był to człowiek, lat dwudziestu kilku z górą, wątłego wzrostu i zagadkowym wyrazie twarzy. Jednym słowem był to typ, jakiego służba więzienna wymaga.

— Zdaje się, że się znamy! — zawołał do niego, kiedy mierzył mu wzrost i przebierał więzienne ubrania.

Roman zawzięcie milczał.

Mierzył go, podczas ubierania, nienawistnym i bawczym spojrzeniem. Roman udawał jednak, że go nie zna wcale.

Zaprowadzono go do celi. Zaraz na korytarzu poczuł zgniłą woń więzienną. Trafiał akurat na chwilę rozdawania kolacji. Cella była ciasna, z małym zakratowanym okienkiem, które zasłonięte było blaszanym koszem. Cella, dwa razy większa od pojedynczej, mieściła w sobie, aż osiemnastu więźniów! Lampka umieszczona tuż nad sufitem, skąpo oświetlała pomieszczenie.

Miał wrażenie, jakby się dostał do gumowego worka, wysmarowanego śmierdzącym łojem. Wyędmniałe cienie lokatorów sunęły się widmowo po celi, patrząc na niego obojętnym zimnym wzrokiem. Współczucie i litość dawno już wyszło w piersiach tych nędzarzy! Nie zaznali w życiu litości od nikogo, i nie udzielali jej też i od siebie. Każdy stanowił dla

siebie odrębny świat! Więc co mógł ich obchodzić świeżo przybyły nędzarz do celi? Tylko skąpy kociołek zupy na każdą celę, powiększy się teraz o trzy łyżki strawy. Litr zupy i pajda chleba — to jedno przypomni władzom o istnieniu jeszcze jednej istoty.

Pomimo głodu, swej porcji zupy nie tknął, choć cały dzień od chwili aresztowania nie miał nic w ustach. Nie chciał rozdrażniać głodnego żołądka tak marną dawką pokarmu! Usiadł na narę, która służyła za łóżko, obserwując, czy nie natknie się na znajomą twarz. Strażnik wpuścił jeszcze dwóch więźniów, przybyłych z pracy. Jednego z nich Roman od razu rozpoznał. Był to przestępca należący dawniej do międzynarodowej szajki „doliniarzy”. Był już dziesięć miesięcy pod śledztwem. Był oskarżony o zabójstwo swego własnego spółnika, który przywłaszczył sobie kilkanaście tysięcy dolarów, zabranych w Gdańsku pewnemu amerykańskiemu.

— Kogo ja tu widzę! — zawołał od drzwi... — Co słyszeć brachu na wolności?

— Ciebie tam brak! — uśmiechnął się Romek.

— No, teraz będzie i ciebie brak! — odparł, ściskając mu rękę. — Jak tam chłopaki „stoją” na wolności? U nas mortus... Pluskwy mają z nas niezłą strawę! Szykuj się i ty, brachu, na atak dzisiejszej nocy z ich strony. One wolą świeży kasek!! My już mamy mało krwi dla nich... A nawet pluskwy zaczynają nami gardzić!

— Ja mam twardą skórę, brachu! Nie martw się o mnie! Czy ty pracujesz?

— Tak, na szewcowni.

— Masz co z tego?

— Co mam mieć?... Tam są swoje chłopaki. Prę-dzej fajkę można „zadulić”. Czasami i „kire” się po-ciągnie. Ale... słuchaj... Może potrzebujesz „gryps” załatwić?

— Kiedy możesz ten gryps oddać? Potrzebuję to jaknajprędzej!

— Wpierw nie, jak jutro rano. „Nasztyfuj”, a ju-tro rano go wytransportuję! „Robaka” i papieru mo-żesz odemnie zaraz dostać. A do kogo chcesz „gryp-sować”? Do pasera, czy też do kochanki?

— Myślę, że do kochanki trzeba napisać. Dziwi mnie to, że nie dała jeszcze znać o sobie!

— Może nie wie, że jesteś „zasypany”?

— Ona wie. Mój spółnik widział, jak mnie „wy-chlano”.

— Dzisiejsi spółnicy, brachu! — machnął lekce-ważąco rękę. — Uważaj, aby jeszcze nie zabrał ko-chankę! Ja miałem to samo. Właśnie mój spółnik za-brał mi kochankę gdy wpadłem. Ja go zabiję, jak wyjdę!

— Widocznie taką kochankę miałeś, że można było ją zabrać od ciebie! Moja, to nie da się strajlo-wać nikomu! — odparł dumnie Roman.

— Dziwię się, że ty jesteś takim głupim. Powiedz ty mnie, czy wogóle istnieje taka kochanka złodzie-ja, któraby nie „nawaliła”, jak ukochany „wpadnie”? O! te kobiety! One są dobre tylko, gdy się dla nich kradnie, obdarza się ich strojami i wszystkim, cokol-

wiek zapragną. Na cholere jesteś im potrzebny, kiedy jesteś za kratą!! Wałówki nosić to tylko matka potrafi, albo wierna żona!

— Żona też nieraz nawali — wtrącił się do rozmowy podżyły więzień. — Czy moja nie „nawaliła” z miejsca?

— Zależy, jaka żona — wtrącił się inny — i jaka kochanka? Nie każda jest zła. Wszystko jest zależne od charakteru kobiety i dużo od tego, jakim mężczyzna był dla niej na wolności. Znam dużo takich złodziejów, co biją żony i hulają z prostytutkami. Czy taki złodziej może mieć pretensję do żony, że nie dostarcza mu „wałówek”. Ona jest rada, że pozbyła się takiego drania!

— Te! — smarkaczu; — odezwał się podżyły więzień. — Ty też się mądrzysz o kobietach?! Jeszcze mleczko masz na wargach! Zamknij się i nie wtykaj swoich parę groszy, gdzie nie trzeba!

Więzień, urażony, doskoczył do podżyłego i uderzył go pięścią między oczy. Wybuchła walka, która trwała dobrych piętnaście minut, a tak sprawnie i cicho, że uszło to uwagi dozorczy za drzwiami.

Wtem z korytarza usłyszano głos dozorczy: „spać”! Bijatyka ustała, a każdy szykował się do posłania swego barłogu.

Przyjaciel poczęstował go jadłem ze swoich zapasów żywnościowych i humor jego od razu się poprawił. Wstąpiła w niego nadzieja, że Felcia czyni starania, aby go uwolnić. To, że w biurze śledczym nie dano mu „sprawki” przypisywał też Felci. Niezłomnie też

wierzył, że ona pozostanie mu wierną i nie da mu zgnić w więzieniu. Otuchy dodawał mu także kolega, znający ją. Pomógł też przyjacielowi rozłożyć sien-
nik na nary. Miejsce to kolega kupił dla niego za trzy „fajki”. Właściciel powędrował spać na podłogę, gdzie już inni więźniowie spali pokotem, jak śledzie, jeden przy drugim. Naturalnie! Panowie złodzieje spali na narach, a frajery i mniejsze złodziej-
jaski na podłodze. Na jego cześć urządzono też po-
lowanie na pluskwy. Polowanie tym razem robione z wielką wprawą i dokładnością.

Więźniowie z nary — panowie szlachta — po tej czynności, ułożyli się do snu, zapaliwszy papierosy. Parjasy łykali dym, unoszący się w powietrzu, pa-
trząc przy tym zazdrosnym spojrzeniem na tak pożą-
dany artykuł, jak papierosy.

Przez otwarty lufcik, między blachą i kratami wdzierał się miły wiaterek i owiewał gorące czoło Romana. Zasnąć jednak nie potrafił. Martwił się tym, co będzie dalej, choć przeczuwał, że tym razem długo tu nie posiedzi. Kto wie, jakie nieszczęście znów go czeka, tam za bramą. Nagły głośny śmiech kobie-
cy dobiegł do jego uszu z ulicy. Śmiech męski za-
wtórował mu. Wydało mu się, że słyszy znajome gło-
sy — Felci i Brytana. Jakaś myśl uderzyła mu do głowy. Powziął nagle podejrzenie, że obaj przyszedli naśmiewać się pod więzieniem z jego nieszczęścia.

Zerwał się i stanął przy kracie okna. Śmiech ja-
koś zamilkł, tylko głośny zgrzyt hamowanych tramwa-
jów i szum ulicy dobiegał jego uszu. Oczy jego z za-

chwycem wpatrują się w niebo. Kosz nie pozwala widzieć co się dzieje na Bożym świecie. Dorożka jakaś zatrzymała się za parkanem więzienia, po czym ruszyła prędko, unosząc ze sobą w powietrzu głośny śmiech kokot ulicznych.

Stał tak dłuższy czas, a chrapanie więźniów rozlegało się po całym gmachu więziennym, jakby rechot żab. Jak dziwny jest świat — myślał. Tam za parkanem więziennym wre życie ludzi uczciwych i występnych!... Wiele to podłości ludzkich dzieje się w tej chwili na świecie! Wiele to występków ludzie popełniają przeciw samemu przestępcy!... Ludzie teraz żrą, piją, kradną, kombinują, rabują, mordują i bawią się!! A my w tej samej chwili w więzieniu leżymy jak trupy, beczynni, bez własnej woli i godności ludzkiej!... Gdy mnie już nie będzie na świecie i moich towarzyszy niedoli, to inni zajmą naszą miejsca. Tak! Jak długo będzie istniał pieniądz, brylanty i złoto, tak długo będą więzienia i więźniowie, wyzyskiwacze i wyzyskiwani, niewolnik i pan!... Romek filozofował, unosząc się w świat marzeń, gdzie niema parkanów, ani krat dla myśli!...

Czemu ludzie wybudowali więzienia wśród miast, gdzie wre życie i słychać wesóły śmiech kobiet? Dlaczego tak drażnią więźniów szumem, dolatującym do nich, dorożek i tramwajów? Jak to strasznie przypomina mu jego los. Nieraz, będąc w pojedynczej celi, biegał jak szalony, zatykając sobie uszy, aby nie słyszeć gwaru ulicy!... Pochowano go w żywym grobowcu! — rozpaczał. Dlaczego nie dajecie mi zapo-

mnieć, że istnieje życie i świat!... Nagle przypomniał sobie przestrogi Lipka, jego sny, które mu opowiadał. Czyżby miała doprawdy istnieć jakaś wyższa siła która by rządziła wszystkim? Nie! Stokroć nie! Niema ani bogów, ani ludzi! Są tylko zwierzęta na świecie wyróżniające się swoim zewnętrznym wyglądem. Najgorsze ze zwierząt są ci właśnie który siebie nazywali ludźmi. Ja i towarzysze niedoli także należymy do ludzi! Cha... cha... my ludzie? — śmiech go ogarnął. O, gdyby byli ludźmi, nie hańbili by siebie, wtrącając podobnych sobie do więzienia, pogrążając ich w takie poniżenie i w taką hańbę! Sama godność ludzka nie pozwoliłaby wszak na to — filozofował na głos, prowadząc dysputy sam ze sobą.

Upadł, zmęczony bezpodstawnymi myślami i zasnął. Obudził go dopiero do codziennej, nędznej egzystencji hałas czyniony przez więźniów. Na każdej twarzy rysował się wyraz silnego zdenerwowania. Oczy zapadłe, lica blade... Ci ludzie nie mieli swojej woli. Były to raczej figurki, poruszane na szachownicy więziennego żywota. Groźny dozorca „szachista“, dzwonił na korytarzu kluczami i kierował tu ruchem, jako jedyny pan życia i śmierci.

Zaraz po obudzeniu, więźniowie zostali wypuszczeni z cel dła załatwienia swych potrzeb fizjologicznych. W czasie tych kilku chwil, zawierane są też transakcje handlowe i te z „przymusu“. Korytarzowy stoi w ustępie i wypędza tych, od których nic nie dostaje. Co chwila rozlegają się głośne wykrzykniki... Wychodź!... Wychodź!...

Korytarzowy uśmiechnął się do Romka łaskawie, nawet wygonił innego więźnia, by mu prędzej odstąpić „honorowe” miejsce. Zapewnie wie kim jestem — pomyślał sobie Romek. Jeszcze bardziej zdziwił się, kiedy korytarzowy nieznacznie wetknął mu do ręki „gryps”.

Nie zdążył wstąpić do celi, kiedy podał mu pół bochenka chleba, nasmarowanego masłem i kiełbasę.

— Masz, wcinaj! — zawołał.

— Kto podał? — spytał zdziwiony.

— Co cię to obchodzi? Wcinaj i basta! — zawołał zagadkowo.

Pomimo głodu, przylepiony do muru tak, by dozorca nie zauważył, co robi, przeczytał wpierv gryps. Poznał odrazu niepewny charakter pisma Felci.

„Kochany! Jestem bardzo nieszczęśliwa. Nie myślę o niczym innym, tylko jak cię wyrwać z więzienia. Lipek przyszedł do mnie i mówił że zostałeś „zasypany” na Dworcu Głównym. Przyznam ci się, że „dowalał” się do mnie, ale ja cię nigdy nie zdradzę.

Zastawiłam moje futro i postaram się o pieniądze na kaucję. Ty musisz być wolny. Czekaając na ciebie, każda minuta jest mi wiekiem. Dziś podam ci watówkę. Jak cię zawezwą do „śledzia”, to ja tam już będę. Już moja głowa w tym, że ty będziesz wolnym, tylko nie „przycupuj” się do sprawy. Bądź zdrow i trzymaj fason!

Twoja na wieki cię kochająca Felka.

Romek poczuł się dumny z takiej kochanki tym-
bardziej, że otrzymany gryps był zwiastunem rychłego
odzyskania wolności. — Taką wierną kochankę
warto mieć! — myślał zadowolony w duchu.

Przybiegł też zaraz ten sam korytarzowy do kraty
i pytał, czy nie dam odpowiedzi. — Ja znam dobrze
twoją Felkę — chwalił się, — mieszkaliśmy w je-
dnym domu razem. Nieraz bawiliśmy się w „tate-
mame”.

— Dobra, dobra! — odparł Romek wcale nie bę-
dąc zadowolonym z tego zaszczytu, jaki mu przypa-
dał. — Kiedy możesz gryps odpalić na wolności?

— Jak dozorca pójdzie na obiad to odpalę gryps.
Możesz wierzyć „Brudnemu Felkowi”, że wszystko
będzie w porządku! Co, czy naprawdę jeszcze nigdy
nie słyszałeś o mnie?!

— Nie! Ale powiedz mi, kto podał rano ten
„koks” i „flejchy”?

— Jak ja ci „odpaliłem”, to źle?! — zawołał,
zerkając zarazem pożądliwie na jego nowe brązowe
pantofle. Po zastanowieniu się zaś, dodał:

— Nieźle ci, co? Masz eleganckie „skoki”! Ale
ja na twoim miejscu, chodziłbym we własnym ubra-
niu. Zawsze można „opylić” i jest za co zagrać w szto-
sa. W worku, tak czy inaczej, mole zjedzą, jak ci
wpakują kilka „wiosenek”.

— Ja dziś, lub jutro wyjdę na wolność — odparł
Roman dumnie, — a w sztosu nie gram na wolności,
tym bardziej w więzieniu.

— Nie, to nie! Ale mógłbyś mi zostawić te

„skoki”. Ja wszystkie „grypsy” ci za to załatwię. Postaram się też, abys miał co „wcinać”. Wiesz, że korytarzowy wszystko potrafił „Flachę” też przytacam, jak trzeba...

— „Odknaj” się koleżko odemnie! Niech ci się lepiej przyśni twoja kochanka, a zapomnisz o moich „skokach”.

Korytarzowy, w odpowiedzi na te słowa, obrzucił Romana nienawistnym spojrzeniem.

Nie dał jednak Romkowi spokoju. Tak długo go nachodził, robiąc mu różne propozycje, aż Roman rzucił mu „skoki”. W zamian otrzymał mocno sfatygowane już kamasze. Korytarzowy zobowiązał się ponadto załatwić wszelkie „sekretne” sprawy w więzieniu, które jedynie korytarzowy, z racji swego stanowiska, wykonać może.

Przy obiedzie mieszał tak po mistrzowsku w kotle, aż „wymieszał” dla niego „mnichę” gęstej grochówki. Zazdrosne oczy więźniów były utkwione w misce. Jednakże nikt głosu nie podniósł, by zaprotestować przeciw tej jawnej niesprawiedliwości. W duchu każdy przeklinał korytarzowego. Ale zadrzeć z taką poważną figurą, nikt nie miał odwagi! Skarżyć się przecież nie można. Nazywanoby takiego „kapusiem”.

Nie chcąc mieć tu wrogów i wyrzutów sumienia, Roman oddał całą zawartość „mnichy” głodniejszym od siebie. W pewnej mierze do tego dobrodusznego gestu przyczyniła się obfita wałówka, którą otrzymał od Felci. Wałówka była, jak to nazywają więź-

niowie „złodziejską wałówką“. Na widok tej wałówki, sympatja całej celi była już po jego stronie. Starszy celi i sam korytarzowy nie spuszczała go z oka. Jak Roman przewidywał, przyjaźń ich była niezachwiana dotąd, aż wałówka nie zniknie ze stołu.

Romek był z usposobienia gościnnym, więc i teraz zaprosił do stołu najgłodniejszych więźniów z celi, na co „śmietanka“ patrzyła krzywym okiem. Naturalnie, że „pomagierzy“ byli po większej części frajerami i „chamami“, co jeszcze bardziej spotęgowało złość wśród tutejszej „inteligencji“, rekrutującej się, z panów złodziejów, lub tych, którzy się za takowych uważali. Gdyby Romek liczył na dłuższy pobyt tu, nie czyniłby tego, z obawy przed zemstą. Lecz był pewny, że wkrótce już będzie na wolności.

Nie zdążył się uporać tą obfitą wałówką, gdy już nadeszła świeża. Ta była skromniejsza, niż pierwsza, ale za to składała się z samej wędliny. Domyślił się, że wałówkę wręczył nie kto inny, jak Lipek. — Zapewnie „zarobił“, — pomyślał w duchu Roman — skoro mógł sobie na taki wydatek pozwolić.

— Ten musi być dobrym kasiarzem, kiedy takie „majdany“ wała jeden za drugim, — szepnął szczupły więzień do chudszeo od siebie kolegi. Wzdychał przytem tęsknie, pożerając wzrokiem smakowite wędliny. Towarzysz jego natomiast połykał ślinę, która obficie nabiegała mu do ust, na widok tyłu smacznych kasków.

Przy rozkładaniu na stole swych zapasów, Romek zamyslił się. Wiele to razy on na podobny widok do-

znawał bólu głowy, a w oczach ciemniało mu. Nie raz był głodny w celi więziennej i całą siłą woli musiał wtedy panować nad sobą, aby nie skoczyć i nie porwać jakiegoś ochłapu z przyniesionej wałówki dla kolegi więziennego. Jak przez mgłę widział siebie w nędzniejszej jeszcze postaci, niż ci dwaj wynędzniali i głodni obserwatorzy czyjegos „dobytku”. Było dużo takich chwil w jego nędznym życiu więziennym!.. Wracając często ze spacerów, widział jak korytarzowy smacznie zajadał śniadanie, a wtedy... bardzo powstrzymywał się, by mu tego jadła nie wydrzeć z gardła! Tak! Znał zbyt dobrze uczucie głodu, by nie był w stanie ich teraz zrozumieć. To też, bez słowa rozłożył i drugą „wałówkę” przeznaczając ją dla głodnych żołądków swych towarzyszy.

Było już dawno po obiedzie, kiedy zawezwano Romka do kancelarii więziennej. Starszy dozorca, wzrostu olbrzyma, oddał go w ręce policjanta, radząc mu, aby założył więźniowi „branzolety” na ręce. Policjant zapewniał, że rada jest zbyteczna, gdyż sam przyjmuje odpowiedzialność za dostarczenie więźnia tu z powrotem w takim stanie, w jakim go stąd zabierał. — Znam jego sprawę. — mówił do starszego dozorca. — Nic takiego ważnego nie jest. Będzie on zapewne dziś jeszcze zwolniony.

— Mnie to wcale nie obchodzi, za co on siedzi! — odparł dozorca zły. — Radzę tylko panu nie być takim pewnym siebie. Może on mieć nie jedną sprawę na swoim sumieniu. Lepiej, mojem zdaniem, „pieczętować” go.

— Ja jestem odpowiedzialny! — rzekł ze stanowczością w głosie policjant. — Nie trzeba go kuć. Jazda, idziemy!

Za bramą wnet ujrzał, że jakaś dorożka posuwa się za nimi. W odpowiednim oddaleniu od bramy więziennej, z dorożki wyskoczyła Felcia, chwytając go w objęcia, na środku ulicy. Policjant niby udawał, że broni dostępu do aresztowanego:

— To jest niedozwolone! Niech pani stąd odejdzie. Na rogu ulicy wsiądziemy razem do dorożki.

W parę minut potem siedzieli we troje w dorożce. Felcia, przytulona do Romka, flirtowała na zabój z policjantem. Romek kładł to oczywiście na karb poświęcenia dla niego.

W poczekalni sędziego, Felcia zaczęła mu opowiadać o wypadkach, jakie zaszły w nieobecności Romana.

— Ten twój Lipek to morowy chłop! — mówiła. Wiesz, co on zrobił?

— Skąd mogę wiedzieć? Wiem tylko, że wałówkę dziś mi dostarczył. Dziwię się, skąd wziął forsy. Zostawiłem go ogołoczonego z pieniędzy na wolności.

— On już wcale nie jest „goły”. Właśnie chciałam ci o tym powiedzieć! Kiedy przyszedł do mnie z nowiną o twojem nieszczęściu, powiedział, żegnając się ze mną: — Muszę dziś zarobić, by kolegę ratować, choćbym miał za to przypłacić wolnością! — Dziś nad ranem, kiedy jeszcze leżałam w łóżku, przebudzona zostałam pukaniem do drzwi. Pytam się więc: — Kto tam? — To ja, Lipek, — odpowiada głos z za

drzwi. Wahałam się, czy mam mu otworzyć, będąc nieubraną. Lipek jednak tak się dobijał, że zdecydowałam otworzyć mu drzwi, wskazując prędko pod kofdrę. Lipek zaraz od progu zawołał:

— Nareszcie zarobiłem! — Wymachiwał przy tem w powietrzu paczką dolarów.

Usiadł na mojem łóżku, czego z miejsca mu zabroniłam. Widzisz, ten pierścionek z brylancikiem dał mi, mówiąc, że to robi dla ciebie, w dowód szacunku. Co miałam robić? Przyjęłam podarek, dając mu przytem do zrozumienia, by trzymał się ode mnie zdaleka.

— Poco mi to wszystko opowiadasz? — zawołał zły. — Powiedz mi lepiej, skąd weźmiesz na kaucję, którą trzeba dziś będzie za mnie złożyć?

— Właśnie chciałam ci o tem powiedzieć. Lipek daje ci forszę. Dziś będziesz jeszcze wolnym. Poczekaj tu, a ja wstąpię do sędziego śledczego na chwilę. — Mrugnęła przy tych słowach kokieteryjnie doń i odeszła.

— Ma pan ładną kobietę — rzekł do niego policjant. — Oho! Gdzie djabeł nie może, tam kobietę posyła! — Na te słowa uśmiechnął się też porozumiewawczo.

Romek nie odpowiedział. Podejrzewał swą ukochaną, że korzystając z okazji, zdradzała go nie tylko ze złodziejami. Postanowił czynić jej wymówki kiedy będzie wolny i wybadać, czy jego domysły są uzasadnione. Sam nie wiedział, dlaczego ta kobieta wzbudzała w nim taką zazdrość. A może dlatego —

myślał — że aż całe trzy dni był pozbawiony kobiety...

Po upływie pół godziny, Felcia wyszła rozpromieniona z gabinetu sędziego śledczego.

— Wszystko jest załatwione! — rzekła wesoło.
— Zaraz cię sędzia zawoła do siebie.

Istotnie w chwilę później Romek stanął przed obliczem sędziego. Urzędnik przystąpił zaraz do śledztwa.

W pół godziny potem był wolnym człowiekiem.

— Jak to dobrze, — pomyślał — kiedy jest forsa i ładna kochanka do tego. Przekonał się że z pieniędzmi w kieszeni, to i kraść łatwiej! Kaucja i ładna kobieta dokona reszty...

ROZDZIAŁ X.

Była zima 1924 roku. Felcia była jeszcze przy Romku. Koledzy po fachu zazdrościli mu tak ładnej kochanki i dziwili się, że ona może tak długo wytrwać przy nim. „Interesa“ poprawiły się na tyle, że nawet kupił jej eleganckie karakułowe futro i z pół tuzina modnych kapeluszy. Może to... było właśnie przyczyną jej wierności. Lipek stał się najlepszym przyjacielem i spółnikiem Romana. Dokonywali obaj poprostu cudów w „fachu“ złodziejskim. Lipek pracował usilnie nad wynalazkiem, który miał im ułatwić włamanie przez mur. Felcia nie lubiła go, bowiem okazał się prawym spółnikiem i kolegą, który nie dąży do tego, żeby zostać przyjacielem domu. Lipek radził przyjacielowi, aby jak najprędzej ją porzucił. — Ona nie jest dla ciebie. — mówił — Dla niej najodpowiedniejszym miejscem byłaby Argentyna.

Pewnego wieczora wybrał się Roman wraz z Lipkiem na „zawodową przechadzkę“ po mieście. Po drodze wstąpili sobie na jednego, poprawiając sobie tym wydatnie humory. Pieniądzy im wówczas nie

brakło, więc nie dbali specjalnie o „robotę”. Ot, tak sobie... Wpadnie coś do ręki, co można zrobić „na pewniaka”, zrobi się; jak nie, — to nie trzeba!... Przeszli kilka ulic, nie widząc nic takiego, aby można było „obrobić”. Przy jednej z bram na ulicy. Lipek zatrzymał się, mówiąc:

— Patrz, w tym domu zarobiłem kilka lat temu ładną forszę. Chodź, wstąpimy. Muszę się przekonać, czy ten frajer jeszcze tam mieszka. A może?... Czort go wie... Może i dziś da się nam ogołocić!... Przez te lata musiał uciulać coś dla nas!... Jak mówisz? Idziemy tam, czy nie?

— Co ci się śniło dzisiejszej nocy? — śmiał się Romek. — Patrz, aby czasem tyś nie odchorował za tę robotę, którą zrobiłeś kilka lat temu!

— O, dziś miałem dobry sen. Śniły mi się pchły, a pchły to forsa.

— Nie zawsze. Czasami z tego snu mogą być prawdziwe pchły mokotowskie... — zauważył filozoficznie Roman.

— A ja mam przeczucie. — upierał się przy swoim — że robota się uda. Ty zaczekaj na ulicy, a ja wpadnę i się przekonam!

— Jak chcesz, to idź. Ja wołałbym dzisiejszej nocy przekonać się o wierności mojej kochanki.

— No dobrze! Jak tu nic nie „stoi”, to zabawiemy się w tajniaków. Co do mnie, to jestem przekonany, że każda kobieta, która zgadza się być kochanką złodzieja musi go zdradzać. Porządna kobieta nigdy kochanką złodzieja nie zechce zostać.

— No, no! Ty już za dużo grepsujesz, przyjacielu!

— Przekonam cię, że miałem rację. Dlaczego jej nigdy w domu niema, kiedy wracasz z miasta? Gdzie ona po całych nocach się wałęsa?

— Idzie do teatru lub do kina. Co ona ma robić z nudów. Wolę aby się nie nudziła. Człowiek z nudów jest zdolny do każdego głupstwa! — odparł Romek.

— O, jaki z ciebie frajer jeszcze! Ha, ha, ha! Felka się nudzi! Córka Bryłki nie potrafi sobie czasu u-
przyjemnić. Nie wytrzymam, pęknę ze śmiechu. Kobieta zdrowa jak lew, żre, pije i nic nie robi! Powiedz sam, czy taka kobieta może myśleć o czymś innym, jak o tym, jak męża zdradzać?! Dla takiej jeden mężczyzna jest tyle, co i nic. Ja ci to mówię. Nigdy nie będę miał kochanek! Jak się ożenię, to tylko z uczciwą kobietą, która pracuje, a nie z flondrami!

— Dostyc tej twojej gadaniny! Jak masz iść do roboty, to wal! Gadać możemy później! — zawołał podrażniony Romek.

Lipek wsunął się do bramy. Po kilku minutach wrócił uradowany.

— Jak pragnę wolności! robota „stoi“ w tym samym lokalu, o którym ci mówiłem. Dzwoniłem kilkakrotnie, ale nikt nie odezwał się. Do teatru frajerzy poszli, albo na spacer. Wtedy tak samo było. Dawaj „maskas“ i chodź!

Oglądając się przezornie weszli do bramy.

Lipek sprawnie i cicho skłuczył drzwi. Wsunęli się do przepokoju.

— Co to jest — zawołał Lipek rozglądając się dookoła.

— Co ma być? — odparł Roman szeptem.

— Wtedy stało tu lustro i kilka krzeseł — odparł.

Pchnął lekko drzwi. Światło z ulicy padało na nagie ściany pokoju. Pośrodku izby stało koślawe biurko, zavalone książkami i papierami. Zaciekawiony Romek rzucił okiem na papiery. Talerz z świeżo ogryzionymi kośćmi i resztkami chleba dekorował biurko.

— Co za cholera! — mruknął Lipek zdenerwowany. — Tu mieszka zapewne literat. Patrz, tu leży nawet rozpoczęta powieść. Ładnego „dylatora” złapałem! Co możemy ukraść u literata, który sam z głodu ledwie dyszy? Ale co może być tam w tym zamkniętym pokoju?

— Właśnie, właśnie! „Statków” do tego nie mamy ze sobą, a przy łamaniu narobimy hałasu. Usłyszysz ktoś i już po nas. Twój „delator”, widać, wyprowadził się stąd.

— Któż mógł to przewidzieć, — biadał Lipek.

— Ale ty zawsze się wtryniesz, gdzie nie trzeba! — zawołał Romek w irytacji, oglądając rzeczy i połamane łóżko, stojące w kącie.

— Spójrz! Bieda tu, jak cholera. a frak ten frajer jednak ma jeszcze. Wiesz co? zrobimy mu kawał, a będzie miał o czem pisać. Wyochniemy tę mary-

markę i spodnie słomą, wciągniemy na to frak, wsadzając miotłę do środka — śmiał się Lipek.

— To nie kawał. — odparł Romek — Wiesz my zrobimy lepszą grandę. Dopiszemy mu parę słów do jego rękopisu!

— Ja tam pisać nie chcę. Znają mój charakter pisma w urzędzie śledczym. — powiedział niechętnie Lipek.

— To ja napiszę! — odparł Romek.

— Ale co napiszesz?

— Zaraz, zaraz! tylko pomyślę.

— Zrób to do cholery prędej, bo możemy tu jeszcze spotkać się z tym twoim literatem. On zapewne nie będzie się tobą cackał i zawezwie policję.

— Nie, nie, literat tego nie zrobi! — zapewnił go Romek.

— Frajer to frajer, ja tam nie wierzę nawet literatowi.

— A ja się założę z tobą, że zaczekam na niego. — zawołał naraz Roman.

— Zwariowałaś, czy co? Napisz lepiej, co chcesz i chodź stąd!

— Nie, ja zostaję.

Nie czekając, aż on się zgodzi, zapalił światło. Lipek przerażony złapał Romana za rękę, pociągając za sobą.

— Co chcesz nieszczęście sam na siebie sprowadzić? Chodź stąd, a jak nie, to sam idę!

— Idź, jak chcesz! Ja zostaję. Nigdy jeszcze w ży-

ciu nie widziałem, jak pisarz wygląda. Chcę teraz zobaczyć. Jestem pewny, że mi krzywdy nie uczyni. Literat wszystko potrafi zrozumieć, nawet złodzie-
jów.

Lipek, wielce zirytowany, starał się go przekonać, że ten żart może go zbyt drogo kosztować. Romek jednak upierał się przy swoim. Wtem ktoś nagle zadzwonił do drzwi.

— To musi być ktoś ze znajomych gospodarza, — starał się Roman uspokoić przerażonego Lipka. — Trzymaj fason, a ja pójde drzwi otworzyć.

Nie czekając na jego zgodę, pośpieszył otworzyć drzwi.

— Proszę, proszę bardzo — zapraszał gościnnie.

Kobieta przestąpiła próg, spojrzawszy uprzednio badawczym wzrokiem na Romana.

— Przepraszam bardzo. Pana... niema w domu?

— Właśnie przed chwilą został zawieszony do telefonu.

— Ależ w mieszkaniu jest telefon...

— Zepsuty jest i dlatego musiał udać się na pocztę — odparł śmiało Romek.

— Proszę dalej do pokoju! — zawołał Lipke. — Zaraz kolega wróci.

Kobieta zdjęła palto i dopiero wtedy zauważyli że jest dość ładna, tylko wieku nie mogli odgadnąć. Puder i szminki, którymi była obficie wymazana, przeszkadzały im w zorientowaniu się co do jej wieku.

Lipek udawał, że czyta gazetę. Nieznajomej przed-

stawił siebie i kolegę. Kobieta, jak zauważyli, z tej znajomości była zadowolona.

— Gdzie to panowie bywają, że po raz pierwszy was widzę. Znam się z kolegą od lat, Dźwi mnie, że nigdy mi o was nie wspominał.

— Wie pani, literat zawsze jest zajęty swojemi myślami, tak że zapomina o swoich kolegach — zapewniał Romek.

— A dawno wy się znacie ze sobą? Czy panowie są także literatami?

— Jeszcze gorsi, niż literaci — odrzekł Lipek, siląc się na dowcip.

— Jest pan dowcipny. Ale ja nie mam czasu, muszę biec na próbę do teatru.

— Ach, pani jest artystką — zawołał domyślnie Roman.

— Dlaczegoż to? Czy wyglądam na taką?

— Wygląda pani cudownie!

— Żartuje pan.

— Wcale nie. Pola Negri nie lepiej wygląda!

— Jaki pan śmieszny. Ale dlaczego kolega pański nic nie mówi?

— Zęby kolegę boją. Doktor zabronił mu mówić, tembardziej z kobietami!

Na potwierdzenie jego słów, Lipek chwycił się za podbródek, jęcząc żałośnie.

— Ale ja już muszę pójść — zawołała z nagłą, szykując się do odejścia.

— Proszę pozdrowić kolegę. — dodała — i pro-

sze mu powiedzieć, że ja tu byłam. Przyjdę jutro wieczorem.

Romek ubawiony przygodą, pomógł jej włożyć palto, podczas gdy Lipek operował jej torebkę.

— Au revoir — zawołała wesoło, chwytając torebkę i rękawiczki, które leżały na stoliku.

— Co za wariatka, — zawołał Lipek gdy znikła za drzwiami — co to ona nam powiedziała na pożegnanie... rywał... rewał... Ty jesteś uczony, to wszak wiesz chyba co to oznacza?

Romek nie chciał się zdradzić, że sam nie rozumiał znaczenia tych słów, ale miarkując że musiało to być słowo jakiegoś obcego języka, wyjaśnił Lipkowi że miało to oznaczać, że zaprasza przyjaciół do teatru.

— Jazda, wyrywamy stąd czempredzej! Frajerka może zauważyć brak forsy i biżuterii z torebki. — zawołał Lipek.

— Pokaż, coś zabrał. Zdaje się, że daremnie się fatygowałeś.

Lipek otworzył portmonetkę i okazało się, że Romek miał rację. Było tam kilka groszy, pierścionek i jakieś bezwartościowe świecidełka teatralne.

— Patrz! — zawołał rozczarowany Lipek — a ja myślałem, że każda artystka posiada prawdziwe brylanty!... Nie warto było ryzykować!

— Wiesz co, Lipek. — powiedział z nagłym postanowieniem w głosie Romek — położymy to wszystko na biurku i pójdziemy stąd sobie. Musi być biedna, nie trzeba jej krzywdy wyrządzać. Zresztą wi-

działa dokładnie mój „cyferblat” i może nas poznać na ulicy. Nie warto za takie drobnostki krzywdzić kogoś.

— Jaki ty dobry! Ja tam nigdy nie zwracam to, co raz sprzątnę. Na darmo nie ryzykuję nigdy — u niósł się Lipek.

— A ja ci mówię, że masz to oddać spowrotem. Nie bądź chytry! Może to jest jej cały majątek.

Lipek rozumiał, że Romek nie żartuje, więc odparł zły:

— Masz i rób co chcesz. Zawsze się litujesz nad frajerami. Z tymi słowy zatrzaskał drzwi zdenerwowany.

Romek położył portmonetkę w widocznym miejscu na biurku, skreślając przy tem kilka słów na papierze:

„Bardzo przepraszamy za naszą wizytę. Zaszła bowiem pomyłka. Gdyby było nam wiadome, że obecnie zamieszkuje tu literat, nie trudziłibyśmy naszych wytrychów. Zostawiamy portmonetkę przyjaciółki pana. Jest z was doskonała para. Nie warto was okradać, bo i tak nic nie macie. Ukłony dla przyjaciółki. Proszę jej powiedzieć, że wzięliśmy portmonetkę jedynie dlatego, by wiedziała, z kim miała do czynienia. Dziękujemy za tak mile spędzone chwile.

Z poważaniem R. L. i spółka”

Rzucił raz jeszcze okiem po mieszkaniu. Zgasił światło i zamknął drzwi ze spokojem, jakby w tym mieszkaniu nic specjalnego nie zaszło. Rozglądał się za kompanem.

Lipek czekał na ulicy.

— Jeśli nadał tak będziesz robił, — zawołał — to nie będziemy więcej razem szli na miasto. Poszukaj sobie innego spółnika!

— Daremnie się gniewasz, brachu! Nie masz się czego żołądkować. To byłby dla nas wstyd okradać biednych. Zresztą ja z zasady literatów i artystów nie okradam.

— No, no! Chciałbym zobaczyć, czy trzymałbyś się swoich zasad, kiedy miałbyś sposobność „zrobić” bogatą gwiazdę filmową.

— Wtedy może nie śmiałbym się, ale ta nie była artystką filmową, ani też bogatą.

— Skąd jesteś taki pewny! Ta frajerka była pewnie bogatszą od nas. Czy zauważyłeś, jakie drogie futro nosiła.

— Może nosić drogie futro, będąc jednocześnie trzy dni po obiedzie. Ty tak samo jesteś przyzwoicie ubrany, a jednak głodny. Zresztą mylisz się. Nie miała wcale futra, jeno palto z futrzanym kołnierzem.

— Trajlujesz! Ja mam dobre oko. Jabym z frajerów ostatnią koszulę zdarł. Kto jest winien, jak nie ci frajerzy, że jestem teraz złodziejem?!!!

— Masz rację, — uśmiechnął się Romek. — Oni

powinni lepiej strzec swego dobytku, byś ty nie mógł kraść, no i wtedy nie byłbyś złodziejem.

— Wcale nie to myślę. Ja chciałem pracować, a nie kraść. Frajerzy pracy dać mi nie chcą, a prze-
to kradnę.

— A ty myślisz, że frajerzy mają pracę, a tylko
tobie jej nie dają. Wszyscy bezrobotni całego świa-
ta, to nie kto inni, jak frajerzy. — odparł Romek.

— Co mnie tam frajerzy obchodzą — odciął się.
Poco oni są takimi frajerami? Gdyby wszyscy bez-
robotni robili to samo, co ja, nie aresztowanoby ni-
kogo za kradzieże. Po prostu zabrakłoby więzień!..

— Jak widzę, ładny z ciebie filozof. Przyznaj
sam, że dobrze zrobiłem i basta! Przecież sam kie-
dys mówiłeś, że proletariatu okradać nie wolno.

Lipek zamyślił się.

— Ja należę do proletariatu złodziejskiego — za-
decydował wreszcie.

— No uspokój się, brachu, i powiedz co robimy
jeszcze dziś, — uspakajał go Romek.

— Spać idę. Na jaką cholere mam ryzykować,
kiedy ty oddajesz z powrotem! Nie mam wcale za-
miaru tak prędko iść do Mokotowa.

Lipek należał do typowych przestępców. Postać
i twarz miał przystojnego mężczyzny. Wysoki, barczy-
sty, ciemne, kędzierzawe włosy i duże niebieskie
oczy, które nie mogły wywoływać podejrzeń. Czło-
wiek cichy, spokojny, mówiący łagodnie. Osobnik
z typu tych, których policjant waha się, czy zatrzy-
mać na ulicy, by zapytać o dowód osobisty.

Zupełnie innym człowiekiem stawał się Lipek w stanie nietrzeźwym. Awanturował się o byle co. Nie było sposobu wstrzymać go, by się nie zdradził przed kimś swoim „fachem”. Krzyczał, hałasował, używał tylko wyrazów pijackich i gwarowych. Każde zdanie musiało być zaopatrzone małym dyplomatycznym zwrotem rosyjskim.. Każdy obawiał się go wtedy zaczepić. Kiedy stał się współnikiem Romana, dał mu „złodziejskie słowo honoru”, że wódkę będzie pił tylko w jego obecności. Roman miał wpływ na niego i Lipek słuchał go we wszystkim. Znał jego słabą stronę, chcąc więc załagodzić wiszący w powietrzu konflikt, Roman zaproponował, aby poszli razem gardło odwilżyć, na co Lipek odrazu się zgodził.

Tym razem nie poszli już do znanej im knajpy. Chcieli się zabawić „po frajersku”, to znaczy we frajerskim lokalu. Obaj byli w różowych humorach. Za pewnie dobry uczynek z artystką przyczynił się do tego. Lipek był rad teraz, że Romek rezygnując ze śledzenia Felci, postanowił się z nim zabawić razem. Pieniądzy im nie brakło, a więc nic nie stało na przeszkodzie temu, aby spędzić wesoło wieczór.

— Nareszcie dziś zabawimy się „po złodziejsku”!
— zawołał uradowany Lipek, kiedy usiedli przy stoliku przyzwoitego lokalu przy ul. Marszałkowskiej. Kelnerzy usługiwali zrećcznie i z uszanowaniem.

— Ach, jak to dobrze mieć forszę! — wołał Lipek. — Zyrkaj, jak wszystkie kobietki patrzą tu na nas!

— Zdaje ci się! — odparł Romek. — One wcale o nas nie myślą.

Widocznie kelner podsłyszał rozmowę, gdyż za chwilę dziewczyna siedząca obok, zaczęła ich kokietować. Kokietowała nie gorzej od kobietek, które znali z „blatnych” lokali. Po chwili siedziała już przy ich stoliku. Lipek rozmawiał z nią tak poufale, jakby znali się conajmniej od urodzenia.

Nie pytając wcale przyjaciół o zgodę, zaprosiła swoją koleżankę do stolika. Roman, widząc na co się zanosi, chciał już uregulować rachunek i odejść, lecz Lipek rozbawiony nie chciał o tym słyszeć.

Romek, który w takich wypadkach był zawsze bardziej opanowany, zawołał kelnera i zapłacił rachunek. Lipek był jeszcze na tyle przytomny, że zrozumiał zdecydowaną wolę kolegi i razem opuścili lokal.

Obie kobiety z cukierni podążyły za nimi. Snać nie chciały zrezygnować tak prędko z dwóch frajerów, za jakich mieli Romana i Lipka. Śmielsza przystąpiła do Lipka i zagadnęła:

— Może teraz pójdziemy... Tu nie daleko na Chmielnej.

— Idźta do diabła! — zawołał Lipek odzyskując równowagę.

— Sam idź do diabła! — odparła druga. — POCO takich chamów zaczepiasz? Dla nich te kobiety z pod Gdańskiego Dworca, a nie my!

— No, no! — krzyknął Lipek już rozłoszczony. — Zamknij „puderniczkę” i fruwnij stąd!

— Alfonsy! Złodzieje! — krzyknęły obie nara-
raz.

Romek chwycił podchmielonego Lipka za ramię, wezwał taksówkę i odwiózł go do domu. Pożegnał go, nakazując, by zaraz zrana przyszedł do niego.

ROZDZIAŁ XI.

Była już późna noc. Ulice dawno wymiecione z ludzi, tylko gdzieś snuł się handlarz uliczny, zachwalając swoje obwarzanki przed spóźnionym przechodniem. Roman szedł śpiesznym krokiem. Dopiero teraz począł na nowo myśleć nad tym, co Felcia porabia. Jak go przywita, gdy wcześniej niż zwykle, zjawi się w domu? — Zapewne śpi już, — myślał — albo niespokojnie oczekuje go przed bramą, jak to nieraz czyniła. A może... Nie, nie! Ona mnie kocha. Najlepszym dowodem jest to, że nie uciekła jeszcze odemnie. — Wtem odbił mu się o uszy jej głos, który znał doskonale. Obejrzał się i doznał uczucia, jakby otrzymał zniecka cios obuchem w głowę. Felka szła przytulona do jakiegoś mężczyzny, prowadząc szeptem poufną rozmowę. Przetarł oczy i to, co teraz ujrzał, po prostu przeraziło go. Zatoczył się na nogach jak pijany. Przywarł do muru, a oni, Felka i Brytan przeszli mimo. Byli tak zajęci sobą, że nie zauważyli go zupełnie.

Posuwał się, z sercem ściśnionym boleśnie, cicho

za nimi, chcąc przychwycić, choć urywane słowa rozmowy.

— Zamorduję ich obu! — postanawiał w duchu, ściskając przytem rewolwer w kieszeni. Tak haniebnie dał się nabrać. Wierzył w jej miłość, a ona zdradza go z największym wrogiem! Nic już nie rozumiał! Poco potrzebowała udawać zakochaną?... Przeklinał w duchu całą pleć kobiecą. Do takiej podłości i przewrotności, nie wierzył, aby kobieta była w ogóle zdolna.

Zatrzymał się, widząc, jak się żegnali. Słyszał wyraźnie teraz rozmowę. Głos Felci... „To już moja w tym głowa, że będziecie jeszcze najlepszymi przyjaciółmi. Co było, to już przeszło. Pójdziecie jeszcze razem na robotę.”

Przytulony do wnęki w bramie, Roman wstrzymał oddech, by dalej słyszeć. Rewolwer wpuścił głębiej do kieszeni, na swoje miejsce.

— Ty go kochasz i dlatego chcesz. byśmy się przeprosili! — zawołał Brytan głośno.

— Trudno! Jego tylko Kocham! Zapomnij o tym, co było między nami. Chcę, abyśmy byli tylko przyjaciółmi. Nie trzeba lepszych spółników, jakimi wy obaj jesteście.

— Nie wierzę, aby on chciał ze mną pójść do miasta. On myśli, że jestem jego wrogiem. — Odparł Brytan.

— Głupstwo! To samo on mówił o tobie. Wiesz, kiedy ganiłam twoją brutalność, bronił cię jeszcze. Nie raz powtarzał mi: — „Gdyby nie ty, Felcia, do

dzisiaj dnia bylibyśmy najlepszymi przyjaciółmi". — Tak, prawdę mówiąc między nami co on jest winien, kiedy ja go pokochałam, a nie ciebie.

— Nigdy mnie nie kochałaś? — usłyszał Roman pytanie Brytana, zadane głosem pełnym goryczy.

— Nigdy! To nie była miłość. Był to terror z wazszej strony przeciw mnie. Mój ojciec jest winien, że stałam się twoją kochanką. Zresztą ty masz żonę i dzieci, a on jest wolny. Jest przy tem inteligentniejszy od ciebie.

— Ale więcej siedzi w więzieniu, niż jest na wolności. Po co ci taki kochanek, którego pech stale przesładuje. Ja, jak sama wiesz, urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą. Lubię patrzeć, jak drudzy wyglądają z poza krat, a nie ja!

— Nie bądź takim pewnym siebie i tobie mogą się nogi poślizgnąć. Ciała więzienna i ciebie nie ominie.

— Ja nigdy nie będę siedział. Na „stój“ nie chodzę, a za kradzież nigdy nie wpadnę. Nigdy...

— Muszę już śpieszyć do domu. Pomówię z moim. Powiem mu, że ty chcesz przeprosić go i znowu razem chodzić do miasta. Pa!

Podawała mu rękę na pożegnanie i kiedy chciał ją ucałować, wyrwała mu, mówiąc:

— Całować ma prawo tylko Romek, ten, którego kocham.

Odwróciła się i pobiegła prędkim krokiem w kierunku domu.

Brytan stał jeszcze chwilę, jakby się wahał, czy

gonić za nią, czy też dać spokój, wreszcie machnął ręką i skręcił w ulicę Gęsią.

Roman nie zdążył dokładnie się zastanowić nad tym wszystkim, kiedy poczuł lekki zawrót głowy. Dziwne uczucie niepokoju ogarnęło go. Czyżby to było prawdą, co słyszał z jej ust. Ale jakim sposobem zetknęli się w tak późną nocną godzinę? Dlaczego, gdy ich zauważył, byli niemal przytuleni do siebie, a później jakby się odsunęli od siebie? Czyżby go zauważyli i odegrali przed nim zręcznie zaaranżowaną komedję? I może naumyślnie rozmawiali tak głośno, by mógł ich rozmowę słyszeć. Był rad usłyszeć z jej ust, że kocha go, a zarazem podejrzewał, że płata mu nowego figla. Nie ulegało wątpliwości, że to spotkanie nie było pierwsze ani przypadkowe.

Cóż miał robić? Narazie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak postąpi, kiedy przyjdzie do domu. Minęło kilka minut i zrozumiał, że z przyczyny tej kobiety czeka go wielkie nieszczęście. Uczucie to opanowało go całkowicie w drodze do domu.

Przed domem natknął się na Felcię. Stała przytulona wewnątrz bramy, w pozycji wyczekującej. Gdy go ujrzała, wybiegła mu na spotkanie.

— Ach jesteś już nareszcie, mój kochany! A ja miałam dziś dziwne uczucie. Lękałam się, że jesteś znów „zasypany”. Stale myślę tylko o tobie. Ach, tak! — zawołała nagle — gotowam byłam zapomnieć. Zgadnij kogo spotkałam przed chwilą?

— Skąd mogę wiedzieć? — odparł Roman, dzwoniąc do bramy.

Dozorca otworzył furtkę, kłaniając się nad wyraz uprzejmie. Był bardzo zadowolony z tej pary, bo płaciła mu regularnie tygodniówkę za to, by dawał zawsze znać, zanim otwiera wśród nocy furtkę dla policji. Roman nie był wyjątkiem w tej kamienicy. Niektórzy lokatorzy tego domu byli znani policji, która z tego powodu odwiedzała ich często w nocy. Chodząc po schodach, Felcia zaczęła mu opowiadać, jak ją Brytan zaatakował na ulicy, jak nie chciała z nim rozmawiać, jak błagał ją, aby go wysłuchała i t.d.

Po wysłuchaniu cierpliwie jej przydługiego i niby to szczerego wyznania, Roman odparł zirytowany:

— POCO ty mi o tem wszystkim opowiadasz? Woleę iść spać, niż słuchać ciebie, jak zalewasz! Ja tobie i tak nie wierzę.

Felcia momentalnie zerwała się z miejsca.

— Ty mi nie wierzysz, a ja poświęcam się dla ciebie! Porzuciłam ojca, zerwałam z Brytanem, wszystko dla ciebie! A kto cię wyrwał z Pawiaka, jak nie ja? O ile ty myślisz, że dlatego, iż Lipek złożył za ciebie kaucję, zwolniono cię, to grubo się mylisz! Ach, żebyś ty wiedział, jaką ofiarę złożyłam, by ciebie zwolniono...

— Nic nie rozumiem! — zawołał, chwytając ją za ramiona i potrząsając nią silnie. — Gadaj, co było!

— Nic nie było. To już mój interes. Nic mi się nie stało! Puść mnie — wołała płaczącym głosem.

— Nie puszczę, zanim mi nie powiesz, z kim

mnie zdradziłaś! Ja dobrze cię, zmijo, poznałem. Zdradasz mnie na każdym kroku, a tłumaczysz się, żeś to uczyniła dla mojej wolności!

— Nie to, nie to, co ty myślisz! Nie na taką ofiarę dla ciebie się zdobyłam. Nie zdradziłam cię nigdy z innym. Uspokój się, ja ci wszystko opowiem!..

Puścił ją. Upadła na kanapę, zanosząc się od płaczu.

— Tak mi opowiadasz! — zawołał, chcąc już ją uspokoić.

Nic nie pomagało. Felcia płakała, albo udawała, że płacze. Trwało to tak długo, aż zasnął nie mogąc się doczekać jej wyznania.

Rano oświadczyła mu słabym głosem, że czuje się chorą i prosi go, aby wezwał doktora. Uczynił to natychmiast. Doktor oświadczył mu poufnie, że jej nic nie jest. Przepisał jakieś najzupełniej zbędne pigułki. Poprosiła go też, aby pozwolił jej udać się do ojca, którego długo, jak mówiła, nie widziała.

— Czuję się bardzo źle. — mówiła — Kto wie, co ze mną może być. Najgorszy ojciec zawsze jest jednakiem ojcem.

Pozwolił, postanawiając sobie w duchu, że będzie ją śledził, dokąd właściwie się uda. Nie wątpił już wcale, że kobieta ta potrzebuje „zmiany dekoracji”. Doszedł do przekonania, że czeka go z jej strony jakieś, bliżej nieznanne jeszcze, nieszczęście.

Ubrała się w najlepszy strój. Przy lustrze stała dłużej, niż zwykle, tłumacząc Romkowi, że strasznie źle wygląda. — Wstyd pokazać się przed ojcem.

mówiła — z taką chorobliwą twarzą, — na co Roman wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— Widzisz, kim ty jesteś? — mówiła z wyrzutem. — Śmiejesz się z mojej choroby. Zobaczysz, że lada dzień umrę!

— Zrób to jak najprędzej, moja kochana! Jak nie, to cię i tak zabiję. Pamiętaj, o ile się przekonam, że jesteś fałszywa dla mnie, zamorduję! Pójdę do więzienia, ty zaś do grobu!! Pamiętaj!!

Felcia spojrzała na niego takimi oczyma, jakby go po raz pierwszy ujrzała. Usiadła obok i powiedziała żałośnie:

— Ty mógłbyś mnie zabić?! Nie wierzę wcale, byś był zdolny do zbrodni.

— A dlaczegoż to? Czy ty mnie uważasz za takiego tchórza?

— Nie wiem, ale myślę, że na tyle nie jesteś zepsuty, abyś mógł zamordować człowieka.

Powiedziała to tak kokieterycznie, a zarazem z wyrzutem w głosie, że mimowoli porwał ją w objęcia.

— Już zdrowa jestem zupełnie! zawołała, śmiejąc się. — Wcale nie chcę iść do ojca. Zresztą czort go wie, czy on naprawdę jest moim ojcem! Zgadnij, dokąd chciałam pójść?

— Do Brytana, nieprawdaż? — Spojrzał przytem jej prosto w oczy.

— Zgadłeś, — odparła bez namysłu, — ale nie po to, aby cię zdradzić! Chciałam go tu sprowadzić, by cię przeprosił.

— Powiedz ty mi, — zawołał Romek już poważ-

nie — dlaczego ci tak zależy, aby nastąpiła między nami zgoda? Przyznaj się, ciągnie cię z powrotem do Brytana?

— Co znowu? Skąd te domysły? Chcę was pojednać jedynie dlatego, byś dobrze zarabiał. Ten twój Lipek — to marny złodziej! On nie jest dobranym spółnikiem dla ciebie. Chcę tylko twego dobra. Ty i Brytan, to dobrana spółka.

— A nie będziesz romansowała z nim?

— Daję ci słowo honoru, że nigdy! Ale i ty daj mi słowo, że nie będziesz mnie nigdy podejrzewał. Będę tylko grzeczną dla niego. On nie jest przecież winien, że mnie kocha. Musisz to wziąć pod uwagę, że łączyły nas kiedyś bliskie stosunki. Nie jesteśmy frajerami, aby z tego powodu czuć żal jeden do drugiego.

— Jak koniecznie chcesz, mogę to uczynić. Ale przeczuwam, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

— A ja ci zaręczam, że wszystko będzie dobrze. Brytan mi mówił, że ma pewną robotę, przy której można się zбоgacić.

— Znam tę robotę, — odparł obojętnie.

— Przestałbyś chodzić raz na zawsze z twoim Lipkiem, ja go nie znoszę!! — powiedziała w uniesieniu.

— Nie lubisz go, co? Ha... ha... ha... Lipek poznał się na tobie odrazu.

— Dostyc tych żartów. On mnie wcale nie interesuje! Twoją wolność masz do zawdzięczenia nie Lipkowi, lecz Brytanowi. Kiedy dowiedziałam się, co za-

szło, nie zważając na to, że Brytana nienawidzę, pobiegłam zaraz do niego. Brytan postawił mi warunek.

— Jaki to był warunek, jestem bardzo ciekaw?!

— Że musisz, po twoim zwolnieniu, być jego spólnikiem.

— I to wszystko? Nic więcej?

— Tak! — odparła, spuszczać oczy.

— Mniejsza o to! — zawołał Roman, tłumiąc w sobie gniew. — Ale pamiętaj, nie myśl czasem, że jestem takim głupcem, jak tobie się wydaje. Chcę się przekonać, jak daleko sięga twoja bezczelność i podłość. Marsz! Do Brytana! — zawołał, wskazując ręką drzwi.

Felka stała chwilę niezdecydowana, poczem zawołała:

— Jak nie chcesz, to nie. Mnie tam wszystko jedno, tylko nie gniewaj się na mnie.

— Marsz po Brytana! Wiele razy mam ci to powtórzyć! — krzyczał już, okropnie wzburzony. Dyszał ciężko, zgrzytając przy tem zębami. Felcia przestraszona, wybiegła za drzwi.

ROZDZIAŁ XII.

Rozgniewany sam na siebie, zaciskał szaleńczo pięści. Bliski był płaczu i szarpał paznokciami swoje ciało. — Co ja ze sobą zrobiłem?! — lamentował. W gniewie począł ciskać wszystkim, co mu do rąk popadło w ścianę. Gdy wyczerpał ostatek sił, upadł na tapczan, krzyczał, wyzywał samego siebie najgorszymi wyzwiskami!! Przeklinał swój słaby charakter, który podawał się wpływowi pierwszej lepszej napotkanej kobiety. Dźwięczały mu w uszach słowa Irki, która razu pewnego, spotkawszy go na ulicy, rzekła doń: — „Jesteś chwilowo mi niepotrzebny, ale gdy zechcę, to przyjdiesz znów do mnie.” — Była pewna tego, że Roman żadnej kobiecie nie zdoła się oprzeć. Ja, — wyrzucał sobie — który nie raz zaglądałem śmierci w oczy, na widok kobiety topnieję jak wosk. Nienawidził teraz wszystkich kobiet na świecie. Wierzył Felci iż pragnie jego przyjaźni. Starał się być jej wiernym, a ona zdradzała go z Brytanem, do którego strzelała i jednocześnie, jak twierdziła, czuła nienawiść. Domyslił się źródła tej nie-

nawiści. Nienawidziła go za to, że stał się obojętnym do niej. Nienawidziła go, że nie porzucił żony i dzieci dla niej. Była to nienawiść, zrodzona z miłości do niego. — Ona go kocha — uświadamiał sobie gorzko, — a ja jestem tylko dla niej zabawką. Zabawką przyjemną i służącą do wywołania w Brytanie zazdrości!

Co robić teraz, co robić?! — biadał. Jak ja będę śmiał Brytanowi w oczy spojrzeć. On jest w porządku. Ona go kocha, a ja zawiniłem przeciw niemu, zabierając mu Felcię. Postanowił zagrać w otwarte karty. Zapyta ją w obecności Brytana, kogo woli, jego czy Brytana. Niech powie! To będzie dlań służyło za najlepszy dowód. Kiedy usłyszy z jej ust, że ona kocha Brytana, natychmiast odejdzie i poprzysięgnie sobie, że odtąd będzie omijał każdej kobiety, tak, jak trędowatego omijają ludzie zdrowi. A może ona jest niewinna i moje podejrzenia są fałszywe — pocieszał się jeszcze w duchu, jak tonący, który chwyta słomkę, widząc w tym ratunek.

Upłynęła jedna godzina, potem druga. Felcia nie wracała. Zaczął się poważnie niepokoić. Może popełniła samobójstwo, dlatego że śmiał ją podejrzewać niesprawiedliwie. Chwycił kapelusz, palto i wybiegł na poszukiwanie. Na schodach natknął się na Lipka.

— Dokąd tak śpieszysz?

— Ach, to ty! Słuchaj, nie widziałeś przypadkiem Felci?

— Co się stało?

— Ale powiedz, czy widziałeś?!

— Nie mam już innego zajęcia, jak twoją Felcię pilnować! — odparł szyderczo, co Romana trochę zdziwiło.

— Nie wymagam, abys ją pilnował, ale dlaczego mi tak ładnie odpowiadasz?!

— Bo nienawidzę tej kobiety. Pamiętaj, umykaj od niej, póki czas! Ta kobieta zaprowadzi cię do Mokotowa. Pamiętaj, brachu!!!

— To nie twój interes! — odparł zły, zbiegając po schodach na ulicę. Lipek podążył za nim.

— Gdzie tak lecisz, warjacie! — zawołał, łapiąc go za ramię.

— Puść!

— Nie puszczę, aż powiesz dokąd?!

— To mój interes! — raz już ci powiedziałem.

— A ja ci mówię, że wpierv cię nie puszczę, aż nie objaśnisz, dokąd tak pędzisz? Patrz! — pokazał mu lusterko. — Nie umyłeś się nawet, ani nie założyłeś kołnierzyka. Wyglądasz, jakbyś w polu orał. Gdzieś się tak wybrudził?

Silnym szarpnięciem chciał wyrwać się od niego, lecz Lipek trzymał go za ramię. Tym razem ścisnął go tak silnie, że wrócił do przytomności.

— Dokąd idę? — zawołał, jakby dopiero co go ujrzał. — Idę szukać Felci. Pokłóciłem się z nią dziś, jak nigdy. Wybiegła z domu po Brytana i już dłuższy czas, jak jej niema. Boję się, by sobie coś złego nie zrobiła!

— Ach, ty durniu jeden! Ona prędzej tobie zrobi

zło, niż sobie. Ale, co to ma znaczyć? Co mówisz o Brytanie?

— Ona chce, bym na nowo przystał z nim do spółki. Brytan postawił to za warunek, kiedy dał pieniądze na kaucję. Dała mu więc słowo honoru, że ten warunek spełni. Nie mogę przecież jej przymuszać, by nie dotrzymała złodziejskiego słowa honoru.

— Żal mi ciebie brachu! Oni czyhają na twoją zgubę. Ja ci to mówię. Miej się na baczności!

— Skąd ty wiesz?

— Jestem pewny tego. Brytan chce cię usunąć z drogi. Słyszałem z pewnego źródła, że mają razem wyjechać do Argentyny. On chce się zemścić nad tobą i dlatego chce z tobą spółki.

— Ale sam słyszałem, kiedy wczoraj wracałem od ciebie, jak rozmawiali ze sobą. Oni nie spostrzegli mnie. — Tu opowiedział przyjacielowi, co słyszał śledząc Felkę z Brytanem.

Lipek wybuchnął śmiechem.

— Ona jest tak wyrafinowana, zresztą jest córką Bryłki. Oni ciebie, widocznie, wpierw dostrzegli i umyślnie rozmawiali w ten sposób, aby ciebie wykiwać.

— Tak mówisz?

— Jestem tego pewny. Pamiętaj, nie ufaj nigdy kobiecie, bo w każdej tkwi przewrotność i zdrada!

— Kiedy ją kocham! — wybuchnął. — Tobie dobrze tak mówić, bo nigdy nie kochałeś.

— Skąd ty wiesz, że nie kochałem? — odparł,

gorzko się uśmiechając Lipiek. — Może kochałem jeszcze silniej, niż ty swoją kochasz. Stałem się dla niej złodziejem, by jej dogodzić we wszystkim, a ona podła, później przysięgała w sądzie, by mnie zgubić! Ot, czem są kobiety! Ja nieraz tęsknię za ich towarzystwem, ale powstrzymuję się. Niech mi się zdaje, że jestem w więzieniu i muszę żyć bez nich.

Pociągnął go spowrotem do domu.

— Tu na ulicy nie mogę z tobą mówić! — rzekł. — Chodź na górę, a ja cię przekonam, że dla twojego dobra masz tę kobietę porzucić i to jak najprędzej.

— Daj mi spokój! — prosił go Roman. — Idź sobie! — krzyknął, widząc, że gość rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Roman nienawidził morałów, które były zwracane pod jego adresem. Tembardziej nie chciał ich słyszeć od człowieka, którego uważał za bardziej ograniczonego od siebie. Wolał w samotności rozmyślać teraz nad tym, co ma czynić, aniżeli słuchać pouczeń Lipka.

Okazało się jednak, że Lipiek nie był wcale takim głupcem, jak się Romanowi wydawało.

— Pozwól, że spowrotem położę się do łóżka. Chcę spać — zawołał gospodarz, — a ty idź sobie.

— Zwarjowałeś. Dopiero przecież wstałeś!

— Widzisz, kiedy mnie sumienie gryzie, wtedy najlepszym lekarstwem dla mnie jest sen. Nie myśli się wtedy, ani nie pamięta. Ach, to życie jest prze-

kleństwem! Dlaczego nie zdechłem w więzieniu? — mówił Roman, a w głosie jego przebijała głęboka gorycz.

— O. brachu, bój się Boga! Co ty wygadujesz?! Najgorszemu wrogowi nie życzę, aby zdychał w więzieniu. Konasz, wołając matki, ojca, dzieci lub najbliższych sobie, a tu nikogo z nich, jak niema tak niema. Wybij sobie te kobiety z głowy, przebolisz, zapomnisz, tak jak ja zrobiłem. Zresztą nie brakuje kobiet na świecie. Będziesz ich miał dość, jeśli zechcesz.

Romek patrzył na przyjaciela z nietajonym podziwem.

— Wcale nie wiedziałem o twoim talencie krasomówczym, — zawołał, szyderczo się uśmiechając. — Pomiąłeś się z powołaniem.

— Przystępcami są niemal wszyscy ludzie, — krzyczał już teraz podniecony bardzo Lipek. — Jeden mniej, drugi więcej czyni przestępstw, ale czynić, to czynią wszyscy. Więzienia nie mogą wszystkich pomieścić. Silniejsi chwytają słabszych i pakują tam! Bóg widzi wszystko, ale nic nie mówi.

— Przestań lepiej filozofować — przerwał mu Romek. — Poradź mi lepiej, gdzie odnaleźć Felcię.

— Na co ci ona? Twoja Felcia jest „wredna“, chytra i zdradliwa jak węż. Mnie też chciała wziąć w swoje obroty. Ale ja nie frajer...

— Kłamiesz! — krzyknął Roman wściekły.

— Nie żołądkuj się, bracie! Wszystko ci powiem.

Kiedy ciebie „wychlano“, postanowiłem zarobić forszę, by cię wyrwać. Musimy wzajem się wspomagać, bo dziś ty, jutro ja wpadam. Na szczęście robota mi się udała, jeszcze lepiej, niż przewidywałem. Za pierwsze pieniądze (kupiłem ci wałówkę, potem zastawiłem „blitwody“ w kilku lombardach. Wiesz, lepiej jest zastawiać brylanty w lombardach i nie wykupywać, niż mieć do czynienia z paserami. Jeden tylko pierścionek z brylantem zostawiłem dla twojej kochanki. Nie dlatego, że chciałem jej się przypodobać. Zrobiłem to dla ciebie, brachu. Uważam cię za najlepszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałem, — uśmiechnął się.

— Wiem o tym. Ale powiedziałaś, że chciała cię wziąć w swoje obroty?..

— Tak. Jeżeli nie wierzysz, mogę to jej powiedzieć w oczy. Zapraszała, abym usiadł na łóżku przy niej, gdy leżała cała rozebrana. Kazała mi rolety spuścić, niby dlatego, że światło dzienne razi ją... Potem, widząc, że nie zabieram się do rzeczy, wstała leniwie, siadając na krawędzi łóżka. Kazała mi znów rolety odsłonić. Słuchałem jej we wszystkim i powstrzymałem się, żeby jej nie dotknąć. Czułem, że gdybym to uczynił, przepadłbym już. Później rzuciła naumyślnie podwiązkę pod łóżko i poprosiła, bym ją wy dostał. Widząc, że się nie śpiesze, zawołała: „Idiota!“ Nic nie odparłem i wyniosłem się za drzwi. Na schodach doleciał mnie głośny rumor przesuwanych w gniewie krzesel. Od tej pory omijam ją, jak węża.

— Porządny chłop z ciebie! — krzyknął Roman. — Ja na twojem miejscu nie wytrzymałbym... A może nie jesteś wcale mężczyzną?

— No, no, tylko liczyć się ze słowami! — zawołał Lipek urażony. — Jestem wiernym spółnikiem, a charakter złodziejski nie pozwala mi przyjacielowi przyprawiać rogów.

— Więc poradź, jeśli jesteś oddanym mi przyjacielem, co mam teraz czynić?

— Bardzo prosto! Plunąć na wszystko i basta! Zabierz wszystko, co nakupiłeś dla niej, i kopnij do diabła to ścierwo!! Niech idzie do swojego ojca, albo do Brytana!

— Nie wypada tak postąpić. Co „chłopaki“ na to powiedzą?

— Ona jest znana; nikt ci nic złego nie powie. Moja w tym głowa!

Roman zaczął nerwowymi krokami przemierzać pokój. Nie mógł się pogodzić z myślą, by się rozstać z nią na zawsze. Czy kochał ją naprawdę, tego sam nie wiedział. Ale nie wyobrażał sobie życia bez tej kobiety. Przypomniawszy sobie, jakim sposobem go zdobyła. Nie mógł wprost uwierzyć, aby zdolna była do zdrady!.. Analizował w myślach powody, które mogły skłonić ją do tego by nawiązać z nim stosunek miłosny. Ot, kaprys kobiety i nic więcej! — dopowiedział sobie w duchu. — A może więcej, niż kapryś! — Nagłe zwątpienie wstąpiło weni. — Muszę mieć dowody! namacalne dowody!! Sam trzymałeś się zasady: „nikogo nie posądzaj, aż naocznie się nie prze-

konasz". Żadnych dowodów jej zdrady nie mam. Przypadkowe spotkanie z Brytanem też jest ewentualnością, której chwilowo nie można zaprzeczyć. Ach tak — przypomniał sobie. — Powiedziała mi, że zwróciła się do Brytana o pomoc, kiedy byłem uwięziony na Pawiaku i że on postawił jej jako jedyny warunek moje ponowne zawarcie z nim spółki. Czy jest możliwe, by Brytan nie wykorzystał ówczesnej sytuacji i nie postawił także innego warunku... Ależ nie! — tłumaczył sobie zaraz. — Po pierwsze, poco jej było przyznawać się do tego? Po drugie, gdyby chciała tego zguby, nie starałaby się go uwolnić z więzienia! A może jeszcze nie był czas ku temu?! Przecież i tak poważny wyrok mu nie groził w czasie gdy przebywał na Pawiaku. Może nie oplotało się jej. Chce go wpa-kować na kilka „wiosenek" conajmniej! Ale co jej z tego przyjdzie? Nie mógł znaleźć na to odpowiedzi. Nie przymuszał jej przecież do tego, aby współżyła z nim. Może odejść, kiedy jej się tylko spodoba.

Podczas gdy Roman tonął w rozmyśleniach, Lipek liczył i rachował zawzięcie, aż wreszcie zaczął:

— Słuchaj, brachu. Powiedz ty mi, wiele tak wszystkiego odkiwałeś w więzieniach?

— Poco potrzebujesz to wiedzieć?

— Jednakże odpowiedz...

— Przeszło siedem wiosenek.

— Więc dobrze. Policz wiele to miesięcy, tygodni, godzin, minut i sekund byłeś pozbawiony najdroższej wolności! Powiedz mi, czego więcej żałowałeś, wolności, czy tego, że cię pozbawiono kobiety.

— Marne porównanie, brachu! Jak człowiek jest na wolności, to i baby nie brak. Zresztą, gdyby nie kobiety, mniej by więzień żałował wolności.

— Musisz teraz zapanować nad sobą i powiedzieć sobie — od dziś zrywam z Felcią! Złodziej musi mieć silną wolę — mówił Lipek głosem, nieznośnym sprzeciwu.

— A ty masz silną wolę?

— Tak. Zawsze. Dałem sobie słowo, że nic z kobietami nie będę miał wspólnego i słowa dotrzymuję. Nawet twoją Felcią nie dałem się skusić!

— Kiedy ona mnie kocha! — bronił się Romek.
— Udowodnij mi, że ona mnie zdradza, a wtedy zerwę z nią bez wahania.

— Zrobiono! Daj grabę! Umyj się prędko i chodź ze mną. Pokażę ci, gdzie twoje niewiniątko melinuje.

Roman popatrzał na niego podejrzliwie.

— Ty kryjesz coś przede mną? Wiesz, gdzie ona jest?! Gadaj mi zaraz!

— Nic ci nie powiem, tylko chodź! Trzeba mieć w głowie trochę oleju aby się nie dać tak bujać. Wstyd jest, aby taka Felka ciebie, Romku, frajerowała! — wykrzywił pogardliwie usta.

Roman umilkł zawstydzony. Wołał już nic nie mówić.

ROZDZIAŁ XIII.

Gwizdek fabryczny przeszył gwar uliczny, oznajmiając przechodniom południe. Roman szedł machinalnie za Lipkiem, zatopiony w swych myślach. Nie mówili nic do siebie. Roman pragnął, aby ta droga, prowadząca do odkrycia zdrady Felci, trwała jak najdłużej. Lękał się, nie wiedząc sam czego. Był nawet zły na Lipka, że pragnie ich rozłączyć. Dziwny jest charakter ludzki! Lubi nieraz by go okłamywano i nie chce poznać suchych faktów rzeczywistości!

Lipek zatrzymał się, gdy dotarli do piętrowego budynku przy mało ruchliwej ulicy. Roman rozejrzał się z ciekawością. — Czvbzy ona była tu z Brytanem? — przemknęła mu myśl przez głowę. Nie zdążył znaleźć odpowiedzi, gdy Lipiek zawołał:

— Widzisz, co tu jest?

— Widzę! Pokoje umeblowane.

— Tak. Ale nie dla przyjezdnych gości?... Jest to hotel, tak na pozór, a w rzeczywistości jest tu... wiesz już co... — szepnął mu do ucha.

— Więc co z tego? Przecież mieliśmy iść Felci szukać, a nie tu stać beczynnie.

— Poco masz szukać? — odparł ironicznie. — Jak jej tu nie będzie, zaprowadzę cię w porządniejsze miejsce.

— Jak ty śmiesz?! — Roman chwycił oburzony Lipka za klapę.

Lipek spokojnie odparł.

— Nie denerwuj się, idioto! Zachowaj trochę nerwów na później i opuść moją klapę.

To mówiąc, odepchnął go od siebie tak „delikatnie”, że Roman aż się oparł o ścianę.

Patrzeli na siebie jak dwa rozcietrzewione koguty, gotowe do skoku w każdej chwili.

— Jeśli chcesz, bym wszedł z tobą, to oddaj spluwę, którą masz przy sobie — odezwał się wreszcie Lipek.

— Masz! — zawołał Romek zrezygowany — i chodź prędzej! O ile tve zarzuty okażą się nieprawdziwymi, to popamiętasz mnie! — pogroził mu pięścią.

— Ja tam prawdy nie szukam! — odparł zimno Lipek. — Tylko chcę ciebie ochronić przed nieszczęściem.

Zadzwoił do drzwi, widocznie, znanym tylko jemu sposobem. Drzwi momentalnie się otworzyły i bez pytania wpuszczono ich do środka.

Numerowy, młody chłopiec, o chytrym łobuzerskim spojrzeniu, podobny w ruchach i z powierzchowności bardziej do kobiety, niż do mężczyzny, przywitał Lipka poufale, z czego Roman wyniosko-

wał że ci dwaj znają się dobrze. Ręki jednak Lipek mu nie podał.

— Słuchaj, Kaziu! Czy ta kobieta z pod 14-go jest w domu?

Kazik nic nie odrzekł, uśmiechnął się jeno chytrze, przyglądając się Romkowi, który okazywał wielkie zdenerwowanie.

— Mów, nie bój się! — Lipek wsunął mu banknot do ręki.

Chłopiec rozejrzał się ostrożnie.

— Kiedy... sam właściciel opiekuje się nią. Nie mogę — zaskomlał błagalnie. Banknot jednak przyjął.

— Mogę stracić posadę. Zlituj się pan nademną!

— Masz jeszcze forsy i gadaj!

Młodzieniec wahał się przez chwilę i wreszcie zdecydowszy się ostatecznie, przybliżył się do Lipka i szepnął tajemniczym tonem:

— Ach, co to za kobieta; paluszki lizać!! — cmoknął wargami. — Ale jest teraz zajęta... — rzekł, patrząc na podnieconego Romana.

Roman nie czekał dłużej. Pobiegł po schodach na górę, szukając pokoju 14. Lipek kilkoma susami dogonił go.

— Ani kroku naprzód, słyszysz! Wszystko zepsujesz! Wróć natychmiast, jeżeli nie chcesz zgubić siebie i mnie!! Chodź ze mną z powrotem!
co ten smarkacz wygaduje.

— Ale miałeś mnie przekonać?! To jeszcze mało,

— Chodź ze mną, nie gorączkuj się! — Chcąc nie chcąc, Roman zawrócił.

Stanęli przy bramie domu, naprzeciwko i czekali. Tak postanowił Lipek. Stali godzinę, dwie i nic. Roman zaczął się niecierpliwic. Chłód także dokuczał mu dotkliwie.

— Może tylnym wejściem uciekła! — zastanawiał się głośno.

— Stój i bądź cierpliwy! — mitygował go Lipek. — Ona tędy musi wyjść. Ale pamiętaj nic nie mów. Zostaw mnie to wszystko.

Zapadał już zmrok. Świateł ulicznych przybywało z każdą chwilą. Dwaj przyjaciele stali wytrwale na posterunku z istic złodziejskim uporem. Byli głodni, ale nie myśleli wcale o jedzeniu. Romana najwięcej bolało to, że dał się tak oturmanic. Wstydził się za nią; wstydził się i za siebie, jako oszukany kochanek, któremu „ukochana“ rzucała resztki uczuć, nienasyconych jeszcze na ulicy. Rad był niezmiernie, że narzeczcie poznał prawdę. Rad był — pomimo że prawda ta była okrutna. W chwilę później opanowały go wątpliwości. — A może Lipek sam się myli, że to ona jest lokatorką numeru 14-go. Może...

Nagle Lipek ścisnął go za rękę. Roman spojrział... Na schodkach przy wyjściu stała Felcia. Przez chwilę rozglądała się wokoło, poczem, ukrywszy głowę w kołnierzu futra, lekko zbiegła na chodnik.

Lipek starał się Romana powstrzymać, lecz ten jednym silnym szarpnięciem wyrwał mu się z rąk i pobiegł za majaczącą w oddali postacią kobiecą. Ko-

bieta wsiadła na rogu ulicy do dorożki, zanim Roman ją dogonił. Wskoczył także do dorożki, polecając dorożkarzowi jechać śladem tej pierwszej. Dorożkarz, mimo szczerzej chęci, nie mógł za nią nadażyć. Bił konia, cmokał, pociągał lejce, lecz koń, jakby na złość, odmawiał posłuszeństwa. Rzucił dorożkarzowi zapłatę i zeskoczył, szukając gorączkowo talkówki, by móc dalej ścigać niewierną kochankę. W tej chwili nadbiegł zziębnięty Lipka i zanim Roman zdążył się zastanowić nad tym, co ma dalej czynić, stracił swój obiekt z oczu.

Cała jego złość skrupiła się na Lipku.

— Odknaj się, przyjacielu! Na jaką cholere włożysz się za mną! — krzyknął zirytowany.

— Co chcesz uczynić, wariacie!

— Co to ciebie obchodzi? Oddaj mi spluwę i idź sobie! Jak będę cię potrzebował to przyślę ci zaproszenie.

— Spluwy nie dostaniesz! — odparł zimno. — Głową muru nie przebijesz, brachu! Kogo ty ganiasz głupcze! Brak dziwek na rogu! Gdzie jest twoja ambicja? Ona potrzebuje nie jednego kochanka!... Puść ją kantem, posłuchaj mnie!

— Mówię ci, odknaj się ode mnie, cwaniaku! To wcale nie była Felcia! — wołał w rozpacz. — Ty mi tylko wmówiłeś, że to ona! Nie jestem wcale pewny tego! — krzyczał Roman, nieświadomy tego, co mówi.

— Masz rację, to nie ta Felcia, za którą ją uwa-

załes. To jest Felcia, córka tego przeklętego Bryłki, kobieta, która jeszcze nie jednego mężczyznę zgubił... Nie warto sobie nią głowy zawracać, wierzaj mi!

Roman nie odpowiedział nic. Szedł napozór spokojnie obok przyjaciela. W głowie błędziła wciąż jedna i ta sama myśl: — Zabiję ją i siebie! — Nie warto żyć, kiedy okazuje się, że ten, którego się uważało za najlepszego przyjaciela, jest największym wrogiem! I rzeczywiście obrzydło mu życie tak, że był doprawdy gotów w tej chwili największe głupstwo popełnić. Znał siebie doskonale. Wiedział, że choć nie po raz pierwszy doznaje rozczarowania ze strony kobiety, jednak wystarczy kilka kokieteryjnych gestów jakiejś napotkanej przypadkowo na drodze życia kobiety, aby on popadł całkowicie pod jej władzę. Przypisywał najgorsze swe nieszczęścia kobietom, a jednak czuł się zbyt słaby, by oprzeć się ich pokusom.

Lipek szedł za nim krok w krok. Roman musiał zółć wezbraną w nim na kimś wylać. Inaczej byłby oszalał... Lipek był właśnie tym kozłem ofiarnym. Rozumiał stan psychiczny Romka doskonale. Był prawdziwym przyjacielem. Wołał znosić jego obelżywe słowa, a nawet szturchańce, których mu Roman nie szczędził, aniżeli pozwolić przyjacielowi popełnić nierozważne czyny, za które Roman musiał by potem ciężko pokutować za kratami. Po długich perswazjach Romek zrozumiał wreszcie, że ta kobieta nie warta jest tego, aby nią ręce i sumienie paskudzić.

ROZDZIAŁ XIV.

Następnego dnia wstał bardzo ponury poranek. Niebo było tak pochmurne, że w sklepach musiano zapalić światła. W taki dzień ludzie mało wychodzą na ulicę w obawie przed katarem. Mimowoli w taki dzień duszę każdego człowieka tłoczy jakby ciężki ołów.

Po nocy spędzonej z rozpaczą w knajpie, Roman czuł się bardzo źle. Pogoda jeszcze bardziej przyczyniała się do tego przygnębienia. Wódka przyniosła jedynie to, że uczyniło mu się lżej w kieszeni, lecz nie na duszy. Głowa go bolała, oczy kleiły się do snu. Obawiał się iść do domu, przeczuwając że znów czeka go niespodzianka. Pogodził się z myślą, że Felcia jest dla niego nazawsze stracona. Nie chciał stanąć oko w oko z nią i powiedzieć jej wszystko, co wie. Wstydził się za nią, że jest taką... Mógłby jeszcze usprawiedliwić jej stosunki z Brytanem, który, bądź co bądź, zbudził w niej kobietę. Takich mężczyzn kobiety prędko nie zapominają. Ale nie mógł przebaczyć jej życia ulicznicy, które, jak wywnioskował, przypadło jej do smaku.

Lipek nie odstępował go ani na krok. Należał on do tych ludzi, którzy dążą z uporem do celu. Chciał do końca wytrwać na posterunku przy zerwaniu z przewrotną Felcją.

— Czego chodzisz za mną jak strażnik! — zawołał Roman z irytacją w głosie. — Ja sam trafię do domu. Idź już do diabła!

— Nie trzeba gorszego diabła, niż ty jesteś, brachu! — rzekł, śmiejąc się jak pijak. — Idę z tobą, położymy się spać, a wieczorem, wiesz, walimy na tę robotę, którą już przeszło tydzień odkładamy z dnia na dzień. Zdaje mi się, że „Kluska“ może nas uprzedzić. Widziałem, jak się szwendał koło tego interesu z Czarnym Józkiem.

— Nie chcę więcej kraść! Odknaj się odemnie! — wybuchnął rozłoszczony. — Zostaw mnie w spokoju!

— To już jest co innego. Nie chcę cię przymuszać do tego. Ale...

— Bez żadnych „ale“! — odparł Romek wygrywając mu pięścią.

— No, zważaj na skręty, brachu! Wiesz, jestem trochę pod gazem, jak i ty, i możemy się paskudnie pobić.

Stanęli naprzeciw siebie, gotowi do walki.

Silne uderzenie pięścią zważyło Romana z nóg. Jednakże zerwał się prędko i stanął w pozycji obronnej.

Ludzie otoczyli ich patrząc z zachwytem, jak „ładnie“ biją się. Cicho, zręcznie, jakby to była wal-

ka na pokaz, a nie zmagania na serio. Wtem jakaś kobieta krzyknęła: — Panowie, policja idźcie! — Momentalnie zwolnili się z uścisku i wbiegli do najbliższej bramy.

— Tu do mnie! — wołał Lipek. — Prędeży! Tu jest „przechodniak“!

Pomógł Romanowi wdrapać się na parkan, ocierając rękawem krew, która waliła mu z nosa.

— Niech cię szlak trafi! Walisz ręką, jak młotem — rzekł do Romana, śmiejąc się. — Ale to nic, wołaj od przyjaciela dostać w nos, niż pocałunek od policjanta!

— Patrz, jaki ślip mi podbiłeś! — odparł Romek. — Daj grabę, brachu!

— Wiesz, to ci nawet do twarzy — odrzekł Lipek, podając mu rękę. — Co teraz lżej ci, powiedz prawdę?

— Lżej, brachu, daj buzi! Jesteś dobrym przyjacielem. Ale trochę za „rzytelnie“ biliśmy się. Franzy mieli śliczne widowisko.

— Ale gdzie ten „skieł“ się podział. Musimy uważać, abyśmy nie wpadli wprost jemu w objęcia! — przestrzegął Lipek.

— Poczekamy tu, w korytarzu z dziesięć minut i walimy do domu! — zawołał Roman. — Radzę ci tę spluwę moją gdzieś tu zamelinować, a wieczorem ją zabierzemy. Czasami djabeł nie śpi i policjant może nas odnaleźć.

— Masz rację! — odparł Lipek i nie namyślając

się długo, otworzył wytrychem drzwi, prowadzące do piwnicy, i za chwilę wrócił.

— Teraz, gdy wszystko jest w porządku, możemy już iść. Ale powiedz mi, brachu, co będzie, jak Felcię zastaniemy w domu?...

— Ach, Felcię... Ona już dla mnie nie istnieje.

— Pewny jesteś tego?

— Zupełnie pewny. Umiem być mężczyzną, jak trzeba.

— Przysięgnij!

— Powiedziałem i basta! Ale i ty daj mi złodziejskie słowo honoru! Nie powiesz nikomu z naszych, gdzie Felcię zastaliśmy. Wstyd mi poprostu, że dałem się tak sfrajerować, uwierzywszy w jej miłość.

— Zrobiono! Masz grabę i przysięgam na swoją matkę, że o ile zerwiesz z nią, to nie pisnę nikomu nawet słowa. Ale, zdaje mi się, że jednak dużo chłopaków wie już o tym.

— Niech wiedzą! Ale ty nic nie grepsuj. Zrozumiano!!

— W porządku! Mnie nie potrzebujesz kilka razy powtarzać. Walimy do domu. „Kimać” mi się chce i nochal mnie boli tak silnie, że nie mogę wytrzymać!

Była godzina poranna. Ulicami przewalało się mnóstwo ludzi. Dwaj przyjaciele unieśli kołnierze palt, aby nie spostrzeżono śladów ich „przyjacielskiego uścisku”. Krew przymarzła Lipkowi do twarzy tak, że nie było sposobu jej usunąć przed przybyciem do domu.

Gdy Romek odemknął drzwi od swego mieszka-

nia, stanął jak wryty. Pokój wyglądał, jakby go opuściło przed chwilą kilku kolegów „po fachu”, po przeprowadzeniu intensywnej „czystki”. Lipek wkroczył pierwszy, patrząc ze współczuciem na kolegę. Roman rzucił się na tapczan, wyczerpany i złamany psychicznie i na ciele. Domyślili się odrazu, co się stało. Felcia, w czasie nieobecności kochanka, sama się wyniosła, zabierając nie tylko swoją garderobę, ale także i rzeczy Romana. Te wszystkie wypadki podziały na Romana niezwykle deprymująco. Zmęczony ciągłym myśleniem, padł na swe posłanie i z miejsca zasnął.

ROZDZIAŁ XV.

Nad wieczorem przebudził się. Był zły i przygnębiony. Wszystkie części ciała go bolały, po pijackiej nocy i wrażeniach dnia. Wstał w okropnym humorze. Nie mógł znieść głośnego chrapania Lipka, który wcale nie miał zamiaru wstawać. Przebudził go „delikatnie“, a on obrócił się na drugą stronę, zwiększwszy tempo chrapania.

Roman nie mógł tego znieść. Wstał i rozejrzał się naokoło, szukając tego, co jego ukochana raczyła mu zostawić. Dopiero teraz przekonał się, z kim miał do czynienia. Rzeczy, które nie przedstawiały żadnej wartości pieniężnej, spaliła w piecu. Dowód tego znalazł w postaci niedopalonych kawałków bielizny i guzików od marynarki. Zemściła się na nim, nie wiedząc sama dlaczego to czynił. Natomiast zostawiła mu brudne damskie fatałaszki, jakby naigrywając się z niego. Ten widok doprowadził go do szału. Chwycił garnek, który miał pod ręką i rzucił nim w ścianę. Lipek przerażony zerwał się na równe nogi, a z ust jego wydobył się głuchy jęk przerażenia i bełkot jakiegoś przekleństwa.

— Czego tak na mnie „lipujesz”? — zawołał Roman. — Śpisz, psia krew, od rana i nie wyspałeś się! Patrz, co ta podła zostawiła mi w prezencji! — W gniewie rzucił Lipkowi paczkę, zawierającą kłęb podartych pończoch damskich prosto w twarz.

Lipek teraz już na dobre odzyskał przytomność umysłu. Przetarł oczy i zamiast go pocieszać, zawołał:

— Bzika dostałeś, jak widzę! Nie ma rady. Ty wiesz, w takich razach mamy jedyne lekarstwo.

— Jakie lekarstwo?

— Pójdę i przytacham flachę wódki i zagrychy. Tak mi się wcinąć chce i w gardle drapie, po przepitej nocy, że nie mogę ci teraz nic poradzić. Przebudziłeś mnie w taki sposób, że inny na mojem miejscu ze słabymi nerwami byłby zwarjował. Czy ty wiesz, brachu, że ja byłem sześć miesięcy pod obserwacją w Tworkach. Widziałem gorszych jeszcze bzilków, niż ty. — Lipiek uśmiechnął się głupkowato.

— Przestań żartować, bo ci łeb rozwałę! Czy ty nie widzisz, co się dzieje?

— Dlaczego mam nie widzieć. Ślepy, dzięki Bogu, nie jestem! Czy to pierwszy raz widzę, jak wygląda okadzone mieszkanie. Myślę, że dla ciebie nie jest to nowina...

— Przestań, mówię ci! Naśmiewasz się z mojego nieszczęścia!

— Jakie nieszczęście! — zawołał Lipiek poważnie i z rękoma w kieszeni stanął mu naprzeciw. — Szczęście, frajerze, że ona zabrała „czuchy” i odcze-

piła się od ciebie! Mogło być gorzej z taką! Kupisz sobie wszystko nowe... — rzekł drwiąco. — Jakby cię ona wpakowała na kilka wiosenek do mamra, byłoby stokrotnie gorzej. Tam możesz bić tylko głową o mur, z rozpacz, a nikt cię nie usłyszy. Na wolności, za forszę da się wszystko naprawić. A forsy, Bogu dzięki, u frajerów nie brak jeszcze!

Lipek ma rację — pomyślał Roman — Mogło być gorzej. Ale ja muszę się zemścić — krzyknął nagle. — Niech wie, że nie jestem takim głupcem, jak ona sobie wyobraża. Pod ziemią ją odnajdę! Ach, jakie wstrętne jest to życie złodziejskie! Dla tej podłej kobiety kradłem, ryzykując życiem, aby jej dogodzić we wszystkim. A ona...

W pokoju zaległa na chwilę cisza.

— Wiesz co Lippek, — zawołał nagle Roman — Podejrzewam, że Brytan maczał rękę w tym. On ją namówił do tego, by mnie okradła!..

— Nie wierzę. Brytan nigdy nie zrobiłby tego. Zdaje mi się raczej, że ona „tropnęła” się o naszej wizycie w umeblowanych pokojach. Ten szczeniak mógł nas sprzedać. Zemściła się na tobie, że odkryłeś jej miejsce schadzek. Ona była pewna siebie, gdyż tam przychodzą sami bogaci frajerzy.

— Wszystko przez ciebie! — wybuchnął Roman na nowo. — Ja bym ją dogonił, gdy umykała doróżką. Ty wszystkiemu jesteś winien.

— Lepiej dla ciebie, że nie gonisz, mogłaby cię kazać aresztować. Powiedz mi, czy ona wie o twoich robotach?

— Nie; takim głupcem jeszcze nie jestem, abym kobietom opowiadał, gdzie się wybieram na robotę.

— Przypomnij sobie dobrze, brachu! Są chwile, kiedy kobiecie nie można odmówić. W takich momentach mogłeś być zbyt szczerym i wyklepać się. Każda kochanka złodzieja lubi mieć swego chłopca w ręku.

— Próbowwała nieraz wchodzić ze mną w różne rozmowy, a nawet filozofowała niezgorzej o złodziejach i złodziejstwie. Głowę bym dał za to, że ona nie byłaby zdolna do takiej podłości. Nawet teraz nie rozumiem jeszcze, dlaczego tak postąpiła...

— Bardzo zwyczajnie, mój przyjacielu! Rozważ ten wasz stosunek na zimno, a przekonasz się, że grała tylko rolę zakochanej. Było jej wygodnie z tobą. Ubierałaś ją ładnie, dawałaś jej, czego tylko zapragnęła. Mogła też na twoje konto puszczać się na prawo i lewo. Masz poważanie u naszych. Chciała też bardziej przykuć do siebie Brytana, którego, moim zdaniem, także nie kocha prawdziwą miłością, tylko chce go oderwać od żony i dzieci, a później to samo uczynić, co z tobą. Zresztą, cóż jej to szkodziło, że żyła jakiś czas z tobą? Nie jesteś przecież brzydkim chłopcem.

— Co pomoże ta cała gadanina? — odparł Romek zirytowany. — Poradź lepiej, gdzieby ją teraz można było odnaleźć? Ty znasz wszystkie meliny w Warszawie.

— A może jest u ojca?

— Nie, — odparł Romek. — Ona z ojcem gnie-

wąfa się i wcale tam nie chodziła od chwili, kiedy strzeliła do Brytana? I jeszcze jedno.. Jak wytłumaczysz mi te strzały do Brytana? Gdyby go kochała, nie chciałyby go przecież zamordować...

— Przypuszczam, że ona wiedziała o schadzkiach Brytana z Irką. Była zazdrosna i dlatego to zrobiła. Zresztą chciała ci udowodnić, że jest całkowicie po twojej stronie.

— Może i masz rację! Ale nie mogę zrozumieć, co jej do głowy wpadło. W pierwszych dniach, kiedyśmy się pobrali, była bardzo skromna, nawet na krok z domu nie wychodziła.

— To był „wcięt” z jej strony. Chciała sobie zaszkodzić twoje zaufanie. Zresztą już i tak długo wytrwała przy tobie!

Głośne pukanie do drzwi przerwało rozmowę.

Lipek i Romek jednocześnie zawołali: — Kto tam?

— Proszę otworzyć!

— Policja! — szepnął Romek do przyjaciela, który już zdążył okno otworzyć. — Zapomniałeś, że jesteś na czwartym piętrze! — dodał, odgadując zamiar Lipka.

Lipek zamknął okno. Pukanie do drzwi rozległo się znów.

— Otworzyć! Jak nie, to my sami otworzymy!!

— Ale kto tam, proszę powiedzieć?!

— To ja, Bryłka. Otwórz, ty cholero! Nie poznajesz swego?

Obaj przyjaciele wybuchnęli śmiechem. Roman otworzył drzwi. Bryłka, ubrany w swą świąteczną

marynarkę, wpakował się do pokoju, a za nim, niepewnym krokiem wsunął się Pechowiec.

— Co za goście.. Witam! — zawołał Lipek, zapraszając, aby usiedli.

Bryłka odchrząknął kilkakrotnie, poczem zażył tabaki. Pechowiec naśladował go wiernie we wszystkim starając się na nich nie patrzeć zupełnie. Lipek ledwo powstrzymywał się od śmiechu.

— Hm... hm... — pomrukiwał Bryłka, rozglądając się po mieszkaniu.

— Czym mogę służyć teściom? — zapytał Roman ironicznie.

— Dlaczego się tak wyśmiewasz? — odparł Bryłka urażony. — Przyszedłem do was w bardzo ważnej sprawie.

— Co się stało? Mówciel — zachęcał Roman, widząc, że Bryłka patrzy nieufnie na Lipka. — To jest mój spółnik. Nie trzeba go się obawiać.

— Znam, znam go dobrze! — pokiwał smutnie głową Bryłka. Wyglądał przytem tak nieszczęśliwie, jak go Roman jeszcze nigdy nie widział.

— Mówcie już, co zaszło?

— Więc ty nic nie wiesz?

— Owszem, wiem, że córka wasza jest podłą kocią.

— Ty tak nie mów! — wybuchnął gniewem Bryłka, wyprostowując swoją pochyłą postać i wymachując groźnie kijem w powietrzu. — To moje dziecko! rozumiesz, smarkaczu!

Pechowiec, chowający się ciągle za Bryłką, tak-

że usiłował przybrać groźną postawę, co wyglądało nader komicznie.

— Mówcie już, czego chcecie, do licha! Jeśli nie, to wyrzucę was za drzwi — zawołał zniecierpliwiony Roman.

Starzy bojaźliwie spojrzeli na siebie, siadając znów na swoje poprzednio zajmowane miejsca.

— Kto mi dziecko zgubił, jeśli nie Brytan i ty?! — mówił Bryłka przez łyży. — Pomóż mi odnaleźć córkę.

— Tak, pomóż nam! — podchwycił żałośnie Pechowiec. — Moja Irka, moje najdroższe dziecko... — biadał, sapiąc jak miech kowalski.

— Nic nie rozumiem! Czyście bzika dostali?! — zawołał oszołomiony Roman. — Co mnie obchodzi wasze Felki i Irki?... Ja ich w kieszeni ze sobą nie noszę!... Jak widzę, znów szukacie do mnie „sołdackiej pretensji”. Felka okradła mnie i uciekła, a Irki nie widziałem już od dawna. Wynoście się stąd... Ale już!...

— Zlituj się nad nami! — błagał dalej Bryłka. Pomóż nam je odnaleźć! Dziś wieczorem uciekają z Brytanem do Argentyny!

Ta wiadomość podziałała tak, jakby Romana uderzono obuchem po głowie. Wszystkiego się spodziewał ze strony Brytana i Felci. Ale nie tego, co usłyszał z ust jej ojca. Lipek tak samo zrobił wielkie oczy.

ROZDZIAŁ XVI.

W pokoju przez dłuższy czas panowała niezmaczona cisza. Bryłka zwiesił beznadziejnie głowę i zalewał się cicho łzami. Pechowiec spluwał raz po raz na podłogę i gryzł niecierpliwie paznokcie, patrząc ukradkiem na Romka. Ten ostatni chciał im coś poradzić, zapobiec temu co miało nastąpić, pomóc tym nieszczęśliwym ojcom, którzy sami pchnęli swe córki na drogę występku. Lecz nie był w stanie niczego wymyślić.

W tej chwili nie myślał o sobie, jako o zdradczym i okradzionym doszczętnie kochanku. Widział przed sobą ludzi bardziej od niego nieszczęśliwych.

Stała mu przed oczyma postać spokojnej i uległej żony Brytana, obarczona kilkoma dziećmi. Co ona teraz zrobi?... Podły Brytan, kiedy był w domu, dawał na utrzymanie rodziny, a teraz pozostawił ją, pogardzaną, jako żonę złodzieja, nad którą nikt z tak zwanych uczciwych ludzi się nie zlituje. Żona Brytana, w trosce by się dzieci nie dowiedziały, co za ojca mają, dusiła wszystkie zgryzoty w sobie. Mężowi

nigdy nie czyniła wyrzutów z powodu awantur miłosnych, jakich często był bohaterem. On cenił to milczenie, dając jej za to na utrzymanie.

Roman spojrział na bezradnych starców i złość go ogarnęła. Któż pchnął Felcię w ramiona Brytana, jak nie ten sam Bryłka, wstrętny ojciec-paser, handlujący swą córką. Siedzi teraz bezradny jak dziecko, i błaga go o pomoc. Kto wytoczył mu „dyntojrę“ o zgwałcenie córki, jak nie on, — buntował się coraz bardziej. Ten drugi, Pechowiec, jest niemniejszym łotrem od swego kompana. Chciało mu się teraz napluć w ich wykrzywione bólem, starcze i zwiędłe występkiem twarze!! Co oni chcą teraz od tego, którego chcieli otumanic dla swoich brudnych celów?!!

Myśląc o tym wszystkim, był teraz rad, że jego „familiyjne“ stosunki skończyły się. Mogło być stokroć gorzej, — pomyślał — aniżeli jest. Brytan, który stale chełpił się swoim „złodziejskim charakterem“ i gardził alfonsami, sam teraz ucieka z dwiema „przy-swojonymi“ kochankami do Buenos Aires! Ach, żeby go teraz dostać w ręce! Roman był gotów ponieść karę śmierci, byleby ukarać tego wstrętnego łotra.

Różne myśli tłoczyły się po głowie Romana, których niepodobieństwem było usunąć. Myśli natrętne, chcące zguby człowieka... Chyba djabeł, (w którego nie wierzył zresztą) bierze w takich chwilach człowieka w obroty, by go zniweczyć!...

Czuł, że potrzebuje coś zdziałać, nie dla siebie i tych występnych ojców, ale dla głodnych trojga dzieci i ich nieszczęśliwej matki, to jest żony Bryta-

na. Skarżyła się zawsze przed nim, że nieszczęśliwa miłość pchnęła ją do wyjścia zamaż za Brytana.

Siedział oparty o krawędź łóżka, skrzyżowawszy nogi i dumał. Żaden pomysł nie przychodził mu jednak do głowy. Nie mógł się zdobyć na żaden konkretny wysiłek.

Wzrok jego padł na starców, którzy siedzieli bezwolnie, jak dwa tłumoki, i nie mógł powstrzymać się od śmiechu... Bo w istocie było się z czego śmiać... Bryłka, były katorżnik i paser, i Pechowiec, znany międzynarodowy włamywacz, za którym policja przez długie dziesiątki lat się uganiała, by go unieszkodliwić, siedzą teraz, jak bezradne dzieci, prosząc go o pomoc!!!... Jego, którego uważali zawsze za głupszego od siebie, niemal za frajera.

Romek znał dobrze psychologię i skłonności ludzi tego świata, w którym sam się obracał. Siedzą teraz tu i błagają go o pomoc, skromni, nieporadni, istne baranki... Jutro, lub za tydzień mogą mu wsunąć sztylet pod żebro, nieraz bez uzasadnionej przyczyny. Wiedział doskonale, że ci ludzie posiadają niekiedy nadzwyczajny talent aktorski. Każdy przestępca, do których się przecież i on zaliczał, musi być poniekąd artystą. Musi umieć udawać, inaczej nie może egzystować! Wiele to razy on sam, schwytany na gorącym uczynku, odgrywał rolę gospodarza domu, znajomego, czasem konsula z poselstwa, względnie innych wpływowych postaci. Więc też i oni odgrywają przed nim rolę nieszczęśliwych ojców, a jutro wytoczą mu „dyntojrę“, aby „sprawiedliwości“ stało się

zadość! Znał dobrze tę „sprawiedliwość złodziejską” i „sędziów” wymierzających ją. Ci „sędziowie” najczęściej rekrutują się z fanatycznych zwolenników monopola spirytusowego.

Przesunął mu się w pamięci w błyskawicznym filmie cały okres czasu od chwili, kiedy poznał zdradliwą Felcię. Przypomniawszy sobie jej zachowanie się wówczas, gdy była w jego towarzystwie. Musiał przyznać, że pierwszorzędna artystka dramatyczna mogłaby zazdrościć jej talentu do udawania zakochanej. Grała doskonale swą rolę kochającej kobiety. Irka zaś kreowała rolę „Cnotliwej Zuzanny” przed ojcem. Ten Brytan to jednak cwany lis — myślał Roman z podziwem. — Doskonale rozumiał, że szczęście, którym się cieszył, nie siedząc w więzieniu, może się odmienić. Zrozumiał, że złote czasy dla „warszawskich tuzów” zaczynają się kończyć. Nie będzie mógł broić bezkarnie na lewo i prawo. Brytan pomyślał teraz o wygodniejszym i bezpieczniejszym fachu. Felka i Irka, pożądające silnych wrażeń, najpewniej skłoniły go do wyjazdu do Argentyny.

Nie mógł zrozumieć w tej chwili, jak Brytan mógł na to przystać. Znając charaktery Felki i Irki, Roman był przekonany, że zależało im tylko na tym aby Brytan towarzyszył im do Argentyny. Potrzebowały po prostu człowieka obeznanego w świecie. Gdy będą na miejscu, wykpią go w żywe oczy. Felcia jest niezmiernie sprytna; zgotuje Brytanowi nie gorszą zemstę, niż to jemu wyrządziła.

Felcia należała do tych kobiet - wampirów, któ-

re gdy przestają kochać, nie puszczają swojej ofiary, zanim nie unieszczęśliwią ją okrutnie. U takich kobiet miłość przechodzi w nienawiść. Roman pocieszał się w duchu, że nie musiał być jej zupełnie obojętny, skoro zemściła się na nim.

— Niech diabli wezmą taką miłość, — zawołał głośno, lecz dalsze słowa przerwało mu ciche pukanie do drzwi.

— Co to dzisiaj się dzieje? — zawołał Lipek przerażony. — Teraz to już napewno policja. Ładne towarzystwo tu zastaną, niema coli!.. A ty też — zwrócił się do Romka z wyrzutem, — zamiast działać, siedzisz zamyślony, jak filozof.

Pukanie wzmoгло się. Zza drzwi doleciał płaczliwy głos, chlipiącej kobiety. Płacz dziecka tłumił jej wołania.

Roman momentalnie poznał ten głos. Zerwał się natychmiast, biegnąc do kuchni i odemknął drzwi. Żona Brytana, z dzieckiem na ręku, rzuciła się do niego, wołając błagalnie:

— Romku drogi, ratuj!

W tym momencie zauważyła siedzącego Bryłkę. Na ten widok, zatoczyła się na nogach, tak, że Lipek ledwo zdążył schwycić dziecko, które wysliznęło się z jej rąk.

Przyszła jednak momentalnie do siebie, a wtedy upadła do nóg Bryłki i płaczliwie zawołała:

— Złutuj się nad moimi dziećmi. Jesteś przecież także ojcem!

Bryłka zerwał się nagle, jak opętany i począł

biegać po pokoju, wrywając sobie włosy z siwej głowy.

— To ja wszystkiemu jestem winien! — wołał. — Ja złamałem tej kobiecie i sobie życie. Nie spodziewałem się, że tak daleko zajdzie u nich.

Kobieta szlochała na głos. Dziecko rwało się do objęć matczynych, krzycząc i płacząc naprzemian.

— Przestańcie wszyscy beczeć, bo naprawdę sprowadzicie tu policję na kark! — wołał zrozpaczony Romek, nie wiedząc już co czynić.

Lipek, stojący przy oknie przez cały czas i obserwujący spokojnie przebieg rozmowy, teraz postąpił kilka kroków naprzód i ujął starego Bryłkę za ramię. Ten zmienił nagle postawę, i pochylając głowę na bok, zapytał słodkim głosem:

— Chcesz mi coś powiedzieć przyjacielu?... Radź, dziecko, co mam robić! Ja wszystko uczynię, aby uratować matkę z dziećmi!

To oświadczenie brzmiało w uszach Lipka sztucznie i fałszywie.

— Tobie radzić, ty stary draniu! Zdychaj dla mojej przyjemności, to cię jeszcze kopnę na dokładkę!...

— No, no! — ujął się Pechowiec za przyjacięciem. — Ty tak ładnie nie mów! Zapominasz się...

— Co? Nie dasz mi mówić, ty stary pętaku! Ty nigdy porządnym złodziejem nie byłeś! Jabym was obu powiesił na jednej gałęzi.

Starcy patrząc na groźną postawę, wściekali się ze złości, ale nie odważyli przeciwstawić się mu.

— Niech pani się uspokoi! — zwrócił się Lipkę

łagodnie do kobiety. — My postaramy się zrobić, co będzie możliwe. Płacz nic tu nie pomoże. Złodzieje cierpią przez kobiety, to i kobiety muszą cierpieć przez złodziejów — dodał, uśmiechając się szelmowsko.

— Ale ja jestem matką! — wybuchła. — Ja nie należę do waszych kobiet!

— Właśnie dlatego natychmiast idziemy odnaleźć Brytana. Przeprowadzimy go żywego, lub umarłego do domu i do dzieci.

— Nie róbcie mu tylko krzywdy! — błagała.

— Głupia baba! — zawołał już Lipka zdenerwowany. — Jeszcze się lituje nad takim mężem. Tfu!

Obrócił się na pięcie i władczym głosem zawołał pod adresem Romana:

— Ubieraj się prędko i jazda!

Nie zapomniał też o Bryłce i Pechowcu, którzy patrzyli jeden na drugiego bezradnie, nie wiedząc, czy mają stąd odejść, czy też iść z dwoma przyjaciółmi.

— A wy marsz stąd! Szukajcie sobie waszych córeczek na własną rękę. Radziłbym wam udać się w tej sprawie do policji obyczajowej... Tam ją raz dwa odnajdą — kpił Lipka.

— Ty złodzieju jeden! — zawołał Pechowiec urażony. — Moja Irka nie jest taką kobietą!..

— Twoja Irka jest gorsza, niż ta, co stoi na rogu! Jazda stąd! Już was tu niema!!

Starcy poczęli bojaźliwie spoglądać na drzwi. Groźna postawa Lipka zrobiła swoje. Pechowiec

pierwszy skierował się do wyjścia, pociągając za sobą towarzysza.

Za drzwiami dopiero poczęli się odgrażać nagłos. Lipek chciał wybiec i ich tam „poszturchać” trochę, lecz Roman zabronił mu tego czynić.

Okazało się, podług słów żony Brytana, że wartościowych rzeczy z domu Brytan ze sobą żadnych nie zabrał. Kobieta powiedziała, że zostawił nawet tysiąc dolarów i list, w którym prosi ją o przebaczenie. Podała Romanowi ten list do przeczytania. Brzmiał on następująco:

Kochana Maniu!

Niech mnie krew zaleje, niechaj zdechnę w więzieniu, o ile jest nieprawdą, to co niżej napiszę. Wiem, że byłem zawsze podłym dla Ciebie. Za Twoją miłość do mnie, złodzieja, odplącałem Ci zawsze krzywdą. Zdradzałem Cię na prawo i lewo. Nie gardziłem żadną kobietą. Brałem wszystko, co popadło do rąk... Ale przysięgam Ci, kochana duszko, że nie robiłem to dlatego, by Ciebie drażnić. Mam już taki cholerny charakter! To nie moja wina. Mimo wszystko, pamiętałem o dzieciach i o Tobie. Nie przypuszczałem nigdy, że będę na tyle podłym, aby Cię porzucić wraz z dziećmi i uciec do Argentyny.

Kochany gołąbku mój! Ciebie jedną tylko kocham, a z temi kobietami wyjeżdżam tylko dla interesu. Zważ sama, mnie u w Warszawie zaczyna się ziemia palić pod nogami! Dobrze

czasy skończyły się. Kraść i siedzieć w więzieniu ani mi się chce, ani mogę! Ja nie wytrzymałbym jednego tygodnia tam za kratami... Ty sama najlepiej o tem wiesz! Nie myśl też, mój aniołku, że ja kocham Felcię. O, nie! Ja jej nienawidzę. Muszę krew z niej wytoczyć, tak jak ona ze mnie wytoczyła, strzelając do mnie. Ciotka Basia w Buenos-Aires, o której Ci nie raz wspominałem, ma tam kilka „domków”. „Towar”, jaki zabieram ze sobą, idzie tam na wagę złota. Felcia i Irka są wymarzoną „towarem” dla Argentyny. Wyjeżdżam tylko na parę lat, aby zrobić tam majątek, a przez ten czas policja o mnie zapomni. Gdy przyjadę, założę uczciwy interes, o czym ty całe życie marzysz i będziemy żyli jak Bóg przykazał. Wychowuj dzieci w sposób, jaki sama uważasz za najlepszy. Uważaj dobrze na Halinkę! Dziewczyna cała podobna jest do mnie i tu właśnie sękl! Wiem, że źle robię, wierząc kobietom, które zabieram ze sobą. Kto wie, czy one u celu podróży nie każą mnie zaaresztować, aby się uwolnić odemnie. Felka jest do wszystkiego zdolna. Ale trudno! „Ten kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi”.

Pieniądzy dostaniesz odemnie zawsze więcej, aniżeli listów. Obawiam się, by Felcia nie zwąchała że do Ciebie piszę. Może pożałuję swego kroku, ale już trudno! Lubię wszystko, co pachnie ryzykiem. Pokłoń się Romkowi

i powiedz mu, że powinien mi być wdzięczny, że uwolniłem go od tej diablicy, Felci! On bardzo źle wyszedłby na tym romansie. Pocałuj dzieci i nie myśl źle o mnie! Przekonasz się, że jeszcze wszystko będzie dobrze. Całuję Twoje cudne oczka...

Twój wariat.

— Więc takie buty! — krzyknął Lipek zdziwiony. — Taka Felka, psiakrew, co narobiła. To jedno mnie tylko dziwi, jak Brytan mógł się dać tak przez nią strajlować. Przecież on jest chłop nie w ciemię bity. Głowę daję, że ona go puści kantem, kiedy tylko przyjadą do Argentyny. Ona za cwana hydra, aby miała chcieć zarabiać na niego. Ona chce się tam tylko dostać, a wówczas pocznie się puszczać na własną rękę... Da mu kopniaka od pierwszej chwili, kiedy on zechce od niej forsy. Irka to samo uczyni. Niech zwarzuję, o ile ja nie mówię prawdy.

Romek chciał mu coś powiedzieć na usprawiedliwienie Brytana, jednak Lipek nie dał mu dojść do słowa.

— Przymknij się lepiej. Nie jesteś lepszy od niego. Mieć taką porządną kobietę i uciekać z dziewczkami... Zabiłbym go bez wahania, gdyby tak postąpił z moją siostrą! Nie jesteś wcale lepszym od Felki — plunął w stronę Romana, — kiedy mogłeś ją wziąć za kochankę!

— Jak widzę, za dużo już się rozzuchwaliłeś. Jak mamy co robić, to jazda. Grepować daremnie języ-

kiem nie warto. Idziemy! — powiedział energicznie Roman.

— Niech pani idzie do domu! — pocieszał ją Lipek. — Przyprowadzimy zaraz Brytana. Gwarantuję.

— Ty trochę zagalopowałeś się, brachu. Nie obie-
cuj za wiele! Brytan musi być już w Berlinie.

Kobieta znów zanosła się płaczem.

Lipek pchnął Romka przed siebie, sam zaś podą-
żył za nim.

ROZDZIAŁ XVII.

Panował trzaskający mróz, przejmując chłodem aż do szpiku kości. Romek nosił cienką jesionkę. Futro jego, Felcia także sprzątnęła. Było mu bardzo zimno. Na samą myśl o futrze zadrżał z podniecenia w przypuszczeniu, że może ich jeszcze zastać. Roman nie obawiał się stanąć oko w oko z Felcią, lub ze swoim rywalem. Wstydził się poprostu pokazać przed nimi w roli rogakza i okradzionego kochanka, jakim teraz był w ich pojęciu. Prosił niebiosą w duchu, aby było już po wszystkim. Żał mu jednak było kobiety, matki dzieci Brytana. Nabierając odwagi, kroczył za niestrudzonym Lipkiem, który jak pies gończy wahał po wszystkich melinach i innych miejscach schadzek, dopytując się o uciekinierów. Był tak przejęty swoim zadaniem, że nie chciał nawet słyszeć o propozycji Romana, aby wstąpić „na jednego”. Roman odczuwał już silny głód. a Lipek słuchać nie chciał o posiłku.

Zaczepiał znanych mu koleżków i koleżanki. Zaglądał do przejeżdżających dorożek. Wpadł poprostu

w jakąś manię podejrzenia. W każdej napotkanej taksówce czy dorożce, podejrzewał, że to właśnie „ich” wiozą. Krzyczał na Romka, strofował go, kiedy ten zatrzymywał się przed jadłodajnią, gdzie miał ochotę wstąpić. Romkowi stało się już wszystko obojętne. Zrezygnował już dawno ze znalezienia zbiegów. Na pocieszenie powtarzał sobie w duchu zdanie, przeczytane w liście Brytana: — „Pokłoń się Romkowi i powiedz mu, że powinien mi dziękować za to, że uwolniłem go od tej diablicy, Felci.” — Może i ma rację...

Przystanął nagle na odgłos śmiejących się przechodniów. Wydało mu się naraz, że odróżnia głos Felci. Chciał postąpić kilka kroków naprzód, lecz Lipek powstrzymał go i pociągnął za sobą.

— Tu, w tym podwórku! Chodź! Tam dowiem się wszystkiego.

— Czego mnie tak popychasz, — zawołał Romek zirytowany, że kompan spłoszył mu złudzenia. — Nie jestem twoim „konikiem”, że tak rozporządzasz mną. Idę coś zjeść. Nie zwracaj mi głowy. Mam dość poszukiwań wiatru w polu! Brytana już dawno w Warszawie niema.

— Chodź — ryknął mu Lipek nad uchem, nie zważając wcale na jego opór.

Nie było jednak sposobu, by oprzeć się temu nakazowi. Rozkaz był rzucony tak energicznie i tonem tak bezwzględny, jakby całe życie zależało od niego.

Weszli razem do bramy odrapanego domu, na-

przeciw placu Kercelego. Przed domem tym spacerował policjant, rozmawiający sam ze sobą. Talk im się przynajmniej zdawało. Był odziany grubo, tak, że ledwo się ruszał. Skorzystali z chwili kiedy miał uwagę zwróconą w innym kierunku i prześlizgnęli się za jego plecami.

Lipek zadzwonił do drzwi, w ciemnym korytarzu. Nikt nie odezwał się. Zadzwonił drugi raz i trzeci, ale nadaremnie!

— Co za piorun! — mówił Lipek zdziwiony. — Niemożliwe, aby nikogo w domu teraz nie było! Oni muszą tu być i dlatego nie otwierają!... Zadzwonię jeszcze raz, i o ile nikt się nie zjawi, otworzę sam drzwi.

— Może to nie tu — usiłował powstrzymać jego zapał Roman.

— Co, ty mnie będziesz pouczał! Tu mieszka największy „macher“ w Warszawie. On o wszystkim wie. Jestem pewny, że nikt inny, tylko on wyrobił im „lewe grypsy“ na wyjazd. On robi wszystkim złodziejom papiery.

Lipek walił teraz w drzwi z wszystkich sił. W sąsiednich drzwiach pojawiła się służąca. Patrzała na nich z nietajonym przerażeniem.

— Czego panu... wie sobie życzą? — wybełkotała.

— Chcemy do właściciela tego mieszkania.

Dziewczyna jeszcze bardziej wytrzeszczyła oczy, potrząsając głową.

— Tego pana zabrała dziś policja. On był fałszerzem wiz i...

Nie zdążyła dokończyć tych słów, gdy Lippek pociągnął Romana za sobą.

Policjant, iak już się teraz domyślali, był tu postawiony w celu obserwowania tego domu. Miał chęć ich zatrzymać. Jednak, widać nie wyglądali tak podejrzanie, skoro ich przepuścił. Dopiero później, kiedy byli już w pewnej odległości, krzyknął: — Stój! — wobec czego przyjaciele przyśpieszyli kroku i wmięszali się w tłum przechodniów.

Romek, strasznie oburzony na Lipka czynił mu wwrzuty podniesionym głosem:

— Na jaką cholere — krzyczał — wleciesz mnie ze sobą! Tych nas dziś prześladowe i wpadniemy w ręce policji i to bez żadnej z naszej strony winy! Gdyby teraz ten policjant nas zatrzymał, bylibyśmy wmięszani w aferę fałszerstwa dokumentów zagranicznych!...

Nagle Roman starał. Powziął decyzję.

— Nie idę dalej! — powiedział stanowczo i skierował swe kroki w przeciwnym kierunku od tego, w jakim szli dotychczas.

— Pożalujesz tego!... — posłyszał za sobą groźbę Lipka. Nie słuchał już, co mu przyjaciel dalej mówił i wszedł do pierwszej napotkanej po drodze kawiarni.

Zjadł kilka ciastek i wypił gorącą herbatę. Zmarznięte członki poczęły ożywać. Czuł poprostu, jak zimno ustępuje, a błoga ciepłość ogarnia go całością.

Po chwili wszelkie jego zmartwienia ustąpiły i wrócił spokój. Żałował już swego postępowania z Lipkiem. — Przecież on jest w tą całą aferę wmięszany bezinteresownie!.. A ja wołałem tu wstąpić na posiłek, zamiast ścigać zbiegów. — Żal mu się zrobiło wiernego przyjaciela, który ujmuje się za jego i żony Brytana krzywdę. Prawdziwy „złodziejski charakter” ma ten Lipek! — zdecydował w duchu.

Z żalu do siebie, że tak nietaktownie postąpił, przywołał kelnera, pytając, czy można tu zalać roślaka... Kelner uśmiechnął się chytrze i odparł:

— Nie tylko to może pan u nas dostać... — Kelnerka, stojąca obok, na jego pytanie zalotnie i zachęcająco uśmiechnęła się doń.

Roman wstał i skierował się do gabinetu, służącego widać za „miejsce odpoczynku” dla trzech pięknych kelnerek, gdy nagle stanął, jak wryty!.. Przetarł oczy, w przeświadczeniu, że wzrok go zawodził... Przed nim stał, w całej swej okazałości, jego dostoiny „profesor” Grylek. Ten sam, który go „wykształcił” i pchnął na drogę występku. Patrzeli na siebie, niezdecydowani, czy mają się przywitać, czy też udać, że się nie znają. Grylek pierwszy chwycił Romana w objęcia, poczem pchnął go do obiecującego gabinetu.

— Siadaj, brachu! — zawołał, najwidoczniej uradowany niespodziewanym spotkaniem.

Roman przyglądał mu się przez chwilę bacznie, a potem zapytał:

— Co ty tu robisz? Któżby się spodziewał, że my tu jeszcze się spotkamy...

— Jakto, co ja robię... Nie widzisz, że jestem właścicielem tej kawiarni...

— Ach, tak. Rozumiem. Jesteś zarazem i właścicielem tych dziewcząt!...

— Trudno, brachu! Lepiej, niż zawsze kraść i siedzieć! Kawiarnia jest tylko, kapujesz, dla pozorów. W moim lokalu same lepsze frajerstwo bywa.

— Dawno masz ten świetny interes? — zagadnął Roman, nie bez ironii.

— Drugi rok. Po przewrocie w Rosji, dla mnie nie było tam miejsca. Jedno z dwojga pozostało mi: czmychnąć zagranicę, lub zakasać rękawy i zostać „smoluchem”. Wolałem jednak zwiać zagranicę. Byłem jakiś czas w Niemczech, a teraz jestem tu, jak widzisz. Czy poznałeś mnie? Jak ja wyglądam po tylu latach?

— Wyglądasz, jak prawdziwy alfons!

— No, no! Ty już zaczynasz... Jak widzę, jesteś jeszcze taki hardy, jak byłeś u mnie.

— Za to ty się zmieniłeś, przyjacielu! Utyłeś i wyłysiałeś. Wyglądasz teraz, jak chiński mandaryn.

— Kpij sobie zdrów. Gdy doczekasz moich lat, to i ty wyłysiejesz! Chcesz zobaczyć moją siostrę?

— Ona także tu?

— Naturalnie! Cały interes ona właśnie prowadzi. Gdyby nie ona, już bym dawno na psy zszedł! „Koniki” zmądrzeli i nie chcą kraść dla starych złodzieiów. Ach, racja... Nie nazywaj mnie, jak dawniej!!

Jestem tu zameldowany na „lipę”. Pamiętaj, że nazywam się teraz Alosza Gurkiewicz. A ty co porabiasz?

— Ja korzystam cały czas z twoich lekcyj...

— Kradniesz?

— Co mam robić!... Alfonsem być nie mogę i nie chcę! Siostry także nie mam takiej, jak ty, aby kierowała interesem. Muszę przeto kraść.

— Czego ty tak krytykujesz moją siostrę? Hanka, nieboszczka, była złą dziewczyną?...

Na dźwięk tego imienia Romek drgnął. Stała mu przed oczyma Hanka, jak żywa. Przypomniał sobie swój pierwszy romans. Widział ją w tej chwili, jak leżała otruta, jej pogrzeb i inne zbliżone do tych wizji, obrazy...

— A matka twoja jest także z wami? — zapytał.

— Dawno już zmarła! Takich matek nie ma dużo! Pamiętajsz, jak ona opiekowała się wami?

— Pamiętam! pamiętam... Szkoda tylko, że nie zmarła, zanim ją poznałem!...

— Jak widzę, spotkałem cię w złym humorze. Czy nie jesteś zadowolony z twego życia. Komu masz do zawdzięczenia, że cię wykierowano na samodzielnego człowieka, jeśli nie mnie!...

Na te słowa, Roman skoczył z miejsca, jakby go zmija ukąsiła

— Przeklinam ten dzień, tę minutę, kiedy cię poznałem, draniu jeden!... Przeklinam ciebie i całe

twoje pokolenie, że wydało na świat takiego ohyd-
nego łotra, jakim ty jesteś, łajdak!!..

Nie zdążył dokończyć tych słów, gdy gospodarz zatknął mu usta ręką. Zmarszczył przytem groź-
nie czoło, ściągając brwi, jak to miał we zwyczaju.

— Zdradzić mnie tu przyszedłeś! — syknął
przez zęby. — Uważaj!.. Nie myśl, że już wyszedłem
z fasonu! Ja potrafię jeszcze dziś pokazać swoim
wrogom, co umiem!!..

ROZDZIAŁ XVIII.

Roman silnie pchnął go od siebie, że aż zatoczył się na ścianę. Grylek wyglądał w tej chwili bardzo śmiesznie: Stał przed Romanem, jako podżyły już człowiek z łysiną, ze zmarszczoną twarzą, na której można było wyczytać występny tryb życia, i otyłym brzuchem. Poczłł teraz, widocznie, nad sobą przewagę Romana, gdyż począł go błagać, aby go nie obrażał. Nie był to już dawny, groźny Grylek, „profesor“, który uczył go, jak dobierać się do cudzej własności!... Był on raczej teraz przedwcześnie zniechęconym starcem, zdany na łaskę swojej występnej siostry, którą Roman znał dobrze i nienawidził nie mniej niż jej brata.

— Czy ja byłem nie dobrym dla ciebie? — zagadnął Romana Grylek tak łagodnym głosem na jaki go tylko stać było. — Sam przecież wtedy przystałeś do mnie. Gwałtem nikt cię nie przymuszał, abys „męlinował“ u nas! Miej pretensję do Hanki, którą kochałeś i dla której zostałeś złodziejem, a nie do mnie!...

— Nieprawda! Hanka nie była winna wcale! To

ty obiecywałeś mi złote życie z kradzieży!... Byłem młodym i niedoświadczonym chłopcem. Podsunałeś mi twoją siostrę, Hankę, którą ty, siostra i twoja wstrętna matka przymuszaliście do tego, do czego nie była zdolna... Ona, mimo, że pochodziła od was, miała piękną duszę. Nie chciała brnąć w błoto, do którego pchałiście ją całą siłą. Wreszcie musiała wam ustąpić. I tylko przez was popełniła potem samobójstwo. Co sobie myślałeś, przeklęty alfonsie, że ucieszę się tobą, gdy cię zobaczę?!... Gdybym się nie bał wyroku, położyłbym koniec twemu nędznemu życiu!...

Podniecony swymi słowami, wy dobył rewolwer z kieszeni, podrzucając go energicznie w górę i bawiąc się nim. Grylek, blady nie do poznania, śledził z niepokojem każdy jego ruch, bojąc się usta otworzyć, by zaprotestować przeciw zarzutom sobie stawianym. Obawiał się, widać, aby ktoś z kelnerów nie podsłuchał ich rozmowy. Nagle drzwi się otworzyły i ukazała się w nich otyła kobieta. Była mocno wypudrowana oraz uszminkowana. Roman poznał ją odrazu. Spojrzała na brata, poczem zatrzymała wzrok na Romku.

Przywitał ją pogardliwym uśmiechem.

— Ach to ty! — Zrobiła krok w jego kierunku.

— Stać zdaleka! — zawołał.

— Co? Nie poznajesz mnie?... Jestem siostrą twojej Hanki!...

— Właśnie dlatego, że poznaję was, proszę trzymać się zdaleka odemnie!

— Nie rozumiem!

— Nie trzeba wcale, abys mnie zrozumiała.

— Co się stało? — zwróciła się do brata, który stał oparty o ścianę i krzywił się, jakby miał niedyspozycje żołądka.

— Przyszedł klócić się z nami!... Ale to nie! Po-
dajno coś do wypicia!

— Czego się tak rozporządzasz! — krzyknęła pod adresem brata. — Możesz sobie sam przynieść!

Przysunęła się bliżej Romka, wzięła się pod boki i zawołała:

— Wyrosłeś na ładnego, przystojnego mężczyznę. Biedna Hanka nie doczekała się tego. Dlaczego gniewasz się tak na nas? Czy można wiedzieć?

— Nienawidzę was!

— Bardzo pięknie! Ale za co?...

— Za to, że przez was jestem gnany, jak dzikie zwierzę! Od momentu, kiedy was poznałem, ani jednej dobrej chwili nie miałem w życiu!... Głód, nędza, więzienie nie opuszczają mnie, a wszystko z waszej winy. Przez waszą rodzinę, psiakrew, całe życie cierpię!! — wybuchnął, wymachując groźnie rewolwerem.

Głośne zachowanie się Romana spowodziło pensjonariuszki.. Stały w drzwiach gabinetu, rozglądając się z przerażeniem

— Może zawołać policjanta? — zawołała ta sama, która wpietw zachęcała Romana by zajął gabinet.

— Marsz stąd! — krzyknął Grylek. — To nie do

was należy! Ten pan jest moim szwagrem i was to nic nie obchodzi!!!

— Jeszcze dobrze, że nie przedstawiasz mnie za swego ojca! — zawołał Romek z sarkastycznym uśmiechem. — Twoim szwagrem?... Cały korpus kadecki składał się z twoich szwagrów...

— Jesten! zmuszona pana wyrzucić! — zawołała siostra Grylka. — Jak pan śmie!...

— Ty stara jędzo! Wyglądasz teraz, jak mała w połogu! — irytował się coraz bardziej Roman. — Zapomniałaś już, jak ty i twoja mamusia sprzedałyście Hankę dwum rosyjskim oficerom za sto rubli w złocie'....

— Ja wszystko pamiętam — odparła cynicznie. — Pamiętam jak byłeś goły, a my z litości zabralim ciebie do domu i wyszykowali na człowieka. Gdyby nie mój brat i matka, która zaopiekowała się tobą, zdechłbyś pod parkanem z głodu!! Tak się nam za nasze dobro odwdzięczasz, ty pętaku!

Grylek, znając awanturniczy charakter Romana, wypchnął swą siostrę za drzwi, sam zaś zwrócił się do niego błagalnie:

— Chcesz mnie dziś zgubić, trudno! Ale myślę, że nic z tego nie będziesz miał. Tylko tyle że policja zaaresztuje mnie przez ciebie. Błagam cię, idź stąd! Myślałem, że zabawimy się, jak przyjaciele, a ty wyjeżdżasz z pretensjami! Gdyby nie ja, tak samo byłbyś tym złodziejem. Każdy ma swoje przeznaczenie.

— A jeśli stąd nie pójde, co mnie uczynisz?...

— Złutuj się — błagał Grylek. — Gadaj co odepnie chcesz?

— Chcę ci resztę zębów powybić!

— Co będziesz miał z tego?..

— Czy z wszystkiego trzeba mieć jakieś materialne korzyści?..

— Oszalałeś chyba, kiedy tak mówisz do mnie!! Stałeś się jeszcze większym awanturnikiem, niż byłeś kiedyś! Chcesz się zabawić z dziewczynkami, to gadaj! Humor ci zaraz się poprawi! — zawołał bezczelnie.

— Ty przeklęty łotrze! Pluję na ciebie i na twoje dziewczynki!!!!.. Dzisiaj chcę się zabawić z tobą i twoją kochaną siostrzyczką.

— Nie wielką będziesz miał przyjemność! — silił się na dowcip. — Uspokój się, przyjacielu! Gadaj, co ci dolega, że jesteś taki wyprowadzony z równowagi?.. Żałuję już, że się pokazałem przed tobą!

— Ja też żałuję, że cię nie spotkałem gdzieś w kacie!... Wpakowałbym ci tam ołowiu do mózgowicy!.. Tak! Niezmiernie żałuję..

— Co ci złego zrobiłem?

— Mało jeszcze?! Uczyniłeś mnie kateką na całe życie! Muszę się nad tobą zemścić!..

— Opamiętaj się, człowieku! Czego chcesz ode mnie?... Przecież jesteś na wolności a nie w więzieniu. Kraść i być na wolności — zdaje się — nie jest tak źle. Więc czego narzekasz?

— Ty nie wiesz, Grylek?..

Roman nie zdążył dokończyć, kiedy były „profesor“ zawołał błagalnie:

— Błagam cię, nie nazywaj mnie „Grylek“! Chyba nie chcesz mnie wpakować do kryminału... Nazywam się Alosza.

— Niech będzie Alosza!... Czort z tobą! Czy ty wiesz, że przesiedziałem po więzieniach długie lata? Dopiero kilka miesięcy temu pożegnałem Mokotów.

— A co ja temu winien?

— Jesteś winien wszystkiemu: za to, że nauczyłeś mnie krąść; za to, że źle nauczyłeś mnie, kiedy więcej siedzę w więzieniu, niż bywam na wolności. Jestem marnym złodziejem! A ty byłeś marnym nauczycielem!!..

— Zartujesz?...

— Wcale nie jestem usposobiony do żartów! Zabieraj się ze mną, mam coś z tobą do pomówienia!

— Czy nie możemy tu pomówić? — zapytał tchórzliwie.

— Nie! Zabieraj się i chodź! — rzekł Roman stanowczym głosem.

Grylek wpił się oczyma w Romka i zagadnął go:

— Dokąd to chcesz mnie prowadzić?

— Chcę z tobą załatwić dawne porachunki! Chcę cię wynagrodzić za naukę! — odparł Roman szyderczo.

— Nie pójdę! Rób, co chcesz!

— Nie pójdziesz, powiadasz!... Jak widzę, stałeś się nie tylko alfonssem, ale i tchórzem. — To mó-

wiąc, Roman wymierzył rewolwer w kierunku swego „profesora”.

— Masz strzelać, to strzelaj! — zawołał Grylek nieswoim głosem — i nie groź mi! Prędszej strzelaj!! Zołączymy, kto jest tym tchórzem, ja czy ty! No, czemu nie strzelasz?

Roman odpowiedział wolno:

— Nie strzeliłem jeszcze dotychczas, gdyż pamiętam twoje nauki. Pamiętasz, jak pouczałeś mnie: — „Strach przed śmiercią, jest groźniejszy, niż sama śmierć!” — Dlatego chcę, byś doznał trochę tego strachu!...

Grylek zbladł, jak trup i padł bezwładnie na kanapę. Roman przybliżył się do niego. Był nieprzytomny. Nie mógł przecież strzelać do zemdłego, nieprzytomnego człowieka... Plunął mu tylko w twarz i skierował się ku drzwiom. Głośny chichot dobiegł jego uszu.

— Czemu nie strzelasz?... Czemu nie strzelasz?... Ty tchórzul... — Roman zawrócił prędko, lecz gospodarza już nie było. Roman domyślił się, że Grylek go nabrał. Stary złodziej wiedział dobrze, że Romek nie złamie prawa złodziejskiego, zakazującego strzelać do nieprzytomnego kolegi po fachu. Odprowadzony szydenczymi, a zarazem bojaźliwymi spojrzeciami całego personelu, znalazł się znów na ulicy.

ROZDZIAŁ XIX.

Była już późna godzina wieczorna. Ulice były zavalone śniegiem. Romek kroczył z rozkoszą po miękkim, przypominającym puch, śniegu. Złościły go miotły stróżowskie, zgarniające śnieg. Wszak psuły naprawdę śliczny widok. Mróz trochę zelżał, lecz jednak było mu bardzo zimno. Wtulił głowę w kołnierz. Przemyślał teraz spokojnie swe nagłe spotkanie z Grylkiem. Był teraz rad, że nie przelał krwi, do czego zawsze czuł wstręt. Ten człowiek był jego złym demonem. On go zachęcał do złego i uczył występku, a jednak w ostatniej chwili rozmyślił się. — Dobrze się stało, — pomyślał, — że „profesor” udał nieprzytomnego. Dzięki temu jedynie Roman wybrnął z całej sprawy z honorem. Plunął i machnął ręką, jakby chciał odpędzić od siebie natrętą myśl o tej całej sprawie. Przypomniał sobie teraz Lipka. Co też on mógł dokonać przez ten czas?... Trzeba go odnaleźć, ale jak?...

Na ulicy śniegu coraz więcej przybywało, sprawiając mu tym wielką radość. Obsypany cały śniegiem

szedł bez celu po pustych ulicach Warszawy. Chciałby całe życie tak kroczyć po tym puszystym śniegu... i zapomnieć o smutnej rzeczywistości.

Położenie Romana było niezmiernie trudne. Pieśniadze były na ukończeniu. Nie miał nawet zmiany bielizny. Felcia zniszczyła go duchowo i materialnie. Dreszcze go przeszły całego, że znów dziś czy jutro skazany będzie na walkę o egzystencję, która nie przedstawiała się w jasnych barwach. Trzeba było walczyć z całym światem, z wszystkimi ludźmi, by móc żyć takim trybem, jakim jest życie złodzieja... Inaczej wcale sobie nie wyobrażał swego bytu. Wiedział dobrze, że nie wystarczy móc ukraść!.. Nie wystarczy zmylić czujność ofiary, mistrzowskie władanie wytrychem, ani odwaga, lub zimna krew... To marne życie, które wiódł, wymagało coś więcej... Wymagało walki z całym społeczeństwem... Walki z czujnym okiem władz bezpieczeństwa publicznego... Wstrętne i ciężkie jest życie ludzi nocy... Każdy kęs chleba, każda wypita butelka wódki i chwila miłości kobiety — wszystko jest okupione śmiertelnym strachem i długimi latami żywota w żywych grobowcach!.. Czyż może komuś zaimponować taki tryb życia?... Romek nie miał wcale pociągu do tego „lekkiego chleba”, jak to sobie wielu ludzie mylnie z gruntu wyobrażało.

Nie chciał kroczyć tą drogą!... Drogą pełną wybojów i pułapek, drogą prowadzącą do otchłani ludzkiej, skąd już niema ratunku... Ta droga, to coś sto-kroć gorszego, jak śmierć. Ludzie za srogo osądzili

jego — przestępcę, przypisując mu niechęć do pracy i chęć do lekkiego zysku. Czyż konsekwencje, wynikające z tego „lekkiego życia“ popłaca ryzyko — myślał. — Każdy człowiek wie, jak strasznie pogardzany jest przez wszystkich taki „lekki ptak“. Jak jeszcze straszniejsza jest jego kara... Przesłstwo popełniane częstokroć na skutek nieświadomości i głupoty, często mści się, przymuszając przestępcę do ciągłego już kłócenia po tej drodze...

Romek siebie zaliczał do tego właśnie rodzaju ofiar z przypadku. Chciał się kiedyś zemścić na koleźce, który zabrał mu ukochaną, którą Romek kochał pierwszą, gorącą miłością, — więc pchnął go scyzorykiem. Na myśl mu nawet nie przyszło w owej chwili, że za to grozi więzienie. Napiętnowano go, jako zbrodniarza i skazano tylko na rok więzienia. Sąd orzekł, że uczynił to, pod wpływem rozstroju psychicznego i dlatego otrzymał taki łagodny wymiar kary. Jednak nosił już na sobie piętno wyrzutka społecznego. Piętno, które miało już zostać na nim na całe życie.

Nie było dnia, żeby Romkowi na myśl nie przychodziło więzienie. Myślał o karze, zanim udawał się na „robotę“, nie zapominał o niej podczas „roboty“. Los i otoczenie pchały go po tej zdradliwej drodze występku i poniżenia. Widział przed sobą tylko jeden szlak życiowy: żyć życiem drapieżnego zwierza, ścigany w dzień i w nocy przez policję.. Takie życie nie mogło go uszczęśliwiać. Nie chciał prowadzić nadal tę nieszczęśliwą wegetację... Tylko

konieczność przykuwała go do tego świata i jego ludzi... Był, we własnych oczach, jakby trędowatym, przeznaczonym na zagładę...

Więzienia — w jego mniemaniu — były stokrotnie gorsze, niż wyspa trędowatych. Trędowaci nie są pozbawieni obcowania ze sobą, mogą komunikować się wśród siebie, wygadać się dowoli, narzekać na swe życie. Mogą przebywać na wolnym powietrzu i pływać się w słońcu dowoli. Więźniowi to wszystko jest zabronione... Więzień cierpi duchowo i fizycznie. Tęsknił nieraz za własnym cieniem, którego w ponurej celi nie zawsze można dostrzec... Więzień jest żywą mumją, którą owinięto w ubiór więzienny.

Błąkał się teraz po ulicach Warszawy, zatopiony w myślach. Jak odnaleźć zagubionego Lipka... — oto pytanie, które go obecnie silnie absorbowało. Roman zaglądał tu i ówdzie, dopytując się o przyjaciela. Miał do niego urazę. Lipek nie powinien był się wtrącać do tej całej sprawy. Gdyby nie przyrzeczenie, dane przez Lipka, być może że żona Brytana sama prędzej by odnalazła swego męża. Roman postanowił wstąpić jeszcze do jednego mieszkania, przy ulicy Pańskiej, gdzie odbywała się „giełda złodziejska”. Tam mógł najwięcej się dowiedzieć, o sprawach które go interesowały. W melinie tej wiedziano o wszystkim, co się dotyczyło świata złodziejskiego wielkiej Warszawy.

Tu, w ponurych dwóch pokojach, gdzie królowała wszechwładnie „zasłużona” meliniarka „Chuda Mańka” gościli ludzie z różnych gałęzi „fachu” złodziej-

skiego, poczynając od kurykrada, a kończąc na kasiarzu. Wiedzano tu o bolączkach i uciechach ludzi świata przestępczego. Chuda Mańka znała na pamięć rodowód, zdolności fachowe, stan materialny i rodzinny każdego przestępcy. Potrafiła wyliczyć z pamięci imiona wszystkich kochanek, które nawaliły złodziejom, (jak ona mówiła) podczas ich pobytu w więzieniu. Czyn taki Chuda Mańka uważała za ostatnią podłość. Wiedziała kto jest „zarobiony”, a kogo pech prześladuje. Pożyczała też pewne sumki na „zły dzień”, a kiedy ten został „zarobiony” należała do „doli”. Wykładała też pieniądze na „pewniejsze roboty”, do których była spółniczką. Opiekowała się niektórymi więźniami z tych tak zwanych „zasłużonych”, troszcząc się dla nich o wałówki. Jednym słowem była „opiekunką i matką najniezwyklejszych ludzi na świecie”, jak nieraz sama mawiała. Była nieprzeciętnie bogobojna. Bez Boga nie czyniła żadnego przedsięwzięcia. Kładąc się do snu, wzdychała do Boga... Wstając rano, modliła się nabożnie, choć przerywała nieraz modlitwę „niemodlitewnymi słowami” zwróconymi pod adresem gości, którzy nie byli jej posłuszni. Potrafiła nieraz i kogoś pobić, a nikt nie śmiał sprzeciwić się. Za każdym przekleństwem, rosyjskim zwyczajem, wypluwała trzykrotnie na ścianę, wściekła, że ją do grzesznego przerwania modlitwy doprowadzono.

Gdy udzielała komuś pożyczki „na dobry cel”, zawsze miała w zanadrzu takie mniej więcej kazanie:

— Synku drogi, nie zapominaj o tem, że od Boga zależy, aby cię pech nie prześladował... Jak zarobisz, dasz mi dziesięć procent dla biednych sierot po złodziejach, którzy „zakitowali” w więzieniu. Pamiętaj dziecko, zawsze o tem, że trzeba biednego wspierać. Nie każdy biedny może sam ukraść. Pan Bóg dał ci talent, abyś go nie marnował... Wszystkie pieniądze zarobione nie trzeba wydawać na wódkę i dziewczynki. Trzeba też pamiętać o biednych. Oni także potrzebują jeść... Frajera nigdy nie oszczędzaj. Zabieraj mu co możesz. Frajer nad tobą nigdy się nie zlituje, a zawsze cię wytyka palcami. Jak świat światem. złodziej z frajerem nie byli przyjaciółmi. Pamiętaj, że grunt w życiu to jest forsa. Bez forsy marnie zginiesz...

Chudą Mańkę każdy znał jako „wredną” istotę. Wiedziano, że gdy wpadała w trans gadaniny, klepała co jej ślina na język przyniosła. Chwaliła się nieraz nawet, że miała dostęp do cara, kiedy mieszkała w Odesie. W gruncie rzeczy, chciała tylko pieniądze od naiwnych wyludzić. Dla oka tylko, od czasu do czasu podawała do więzienia kawałek chleba i kiełbasę.

Ta stara miała pieniędzy więcej, niż sama mogła ważyć. Wiedziała, że każdy złodziej gotów jest oddać wszystko za cenę wolności. To też każdemu obiecywała „wyrzbić” ją, na wypadek „wsypy”. Nie jednego otumaniała tymi obiecankami... Pończochy, przechowywane w łóżku, od którego ani na krok nie odstępowała, z dnia na dzień pęczniały od forsy.

Lokatorzy jej nie oszczędzali i przy okazji mścili się na niej. Udało się im okraść Chudą Mańkę aż trzy razy.

Romek powoli wszedł do bramy. Ogarnął go dziwny smutek kiedy wchodził po krzywych schodach, do meliny, na poddaszu. Zrobiło mu się żal samego siebie. Do jakich dziur, to wstrętne życie przy musza go aby przyłaził. Stał dłuższą chwilę przy drzwiach, skąd dołatywał głośny krzyk kłójących się o jakąś przegraną w „sztosa”. Krzyk męski i kobiety zlewał się ze sobą tak, że nic nie zdołał zrozumieć, prócz końcówek od przekleństw, używanych często w tych sferach.

Zapukał ostrożnie do drzwi, aby nie pomyślano, że to odwiedziny policji. Drzwi ostrożnie uchyliły się a z za nich wyjrzała znana mu twarz „szopenfeldziarki”.

— Cicho tam... — krzyknęła. — Romek idzie.

Momentalnie otoczono go kołem, a sama gospodyni usiadła na łóżku, rada, że Roman tu zawitał. Był tu po raz drugi dopiero. Nie znosił tej wstrętnej spelunki...

— Co słyhać. Romciu? — zawołał jeden z obecnych, który uważał siebie za bliskiego przyjaciela Romana. — Jak tam twoja Felka, co?

— To nie twój interes... — odparł, oglądając bacznie towarzystwo.

— Dlaczego nie?... Bardzo cię żałuję, że dałeś się tak w butelkę nabić... Żeby Romek był takim

frajerem... Wstyd mi za ciebie... — zakończył głosem, w którym Roman wyczuł kpiny.

— Przymknij się, Buryłol... — zawołała sama gospodyni, obawiając się, widać, awantury. — Roman przyszedł mnie odwiedzić, a nie was.

Kilka rąk chwyciło Buryłę za kołnierz i odrzuciono go na stronę. Dostał też porządnego kopniaka od tej kobiety, która poprzednio powitała Romana z szacunkiem w drzwiach

— Patrzcie go, jakim fetniakiem się zrobił... — zawołała. — Do kogo tak ładnie szczekasz... On by cię palnął w nos, to plułbyś z miesiąc kolorem...

Buryło tłumaczył się, że jest Romana przyjacielem i że bolą go niewymownie krzywdy kolegi.

— Ty patrz, aby ci nikt nie wlaźł w paradę. Niech cię głowa o innych nie boli... Romek ma sze-rokie plecy i nie da sobie w kaszę nadmuchać... — zawołał krępy, mały złodziejasek, patrząc z wielkim respektem na Romana.

— Siadaj, — zawołała gospodyni, podsuwając Romanowi krzesło przy samym jej łóżku, co miało podobno być wielkim zaszczytem. Zmierzyła taksującym wzrokiem jego paltko, skrzywiając bezzębne usta. Po chwili zaś zapytała:

— Jak ci się zarabia?... Czy to prawda, że twoja Felka ci „nawaliła“ i uciekła z Brytanem?...

— Ja was się o to zapytam? Specjalnie poto przyszedłem tu, by się dowiedzieć czy to jest prawda. Felkę już dawno wypędziłem, — mówił chepli-

wie — idzie mi tylko o Brytana... Szkoda jego żony i niewinnych dzieci.

— A to drań z tego Brytana! On i mnie też chciał... Ale ja nie głupia... — przechwalała się gospodyni. — Zwąchał u mnie forse, no i nie jestem jeszcze taka stara. Moja figurka każdemu mężczyźnie się spodoba... A ten Brytan, to kobieciarz, co się zowie...

— A z Romka to kiepski kobieciarz?... — wtrąciła zalotnie szopenfeldziarka, trącąc go przytem zalotnie ramieniem.

— Skąd ty wiesz? — odezwał się zjadliwie Buryło. — Romek gwizdże na taką przystojniaczkę, z krzywymi girami...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a mały złodziejaszek odezwał się:

— W jednym tylko miejscu napewno zgodziły się z nią „przekimać“... Zgadnijcie, gdzie...

— W pojedynczej celi mokotowskiego wzięcia! — zawołano jednogłośnie.

— Oho! Tam człowiek i stuletnią babę nie odrzuci... — wtrącił starszy człowiek, który cały czas tylko słuchał. — Jak ci wlepią z dziesięć wiosenek katorgi, jak ja miałem za kacapa, tobyś paluszki liżał od każdej „spódniczki“... Mogłaby być brzydka i stara, jak nasza meliniarka, co tu siedzi, aby tylko nazywała się kobietą.

— Ty, katorżniku!... A to swołocz!... Na kogo tak mówisz? Ja cię stąd każę wyrzucić!... Masz tobie, jeszcze będzie mnie uragał... Za moje dobre ser-

ce... Więcej cię do mojego mieszkania nie wpuszczę... — irytowała się meliniarka, trzesąc się aż z oburzenia.

Wszyscy śmieli się głośno, rozbawieni jej złością. Po chwili jeden z gości znów się odezwał drwiąco:

— Przecież nasza gospodyni jest jeszcze wcale młodą dziewczyną. Dlatego, że pamięta turecką wojnę, to nie należy jej jeszcze nazywać starą...

— Wynos się stąd! — ryknęła gospodyni.

— Żarty na bok!... — powiedział z udaną powagą. — Wolałbym mieć do czynienia z jej pończochami, co leżą tam wypchane w łóżku, niż z jej wdziękami..

Chuda Mańka zerwała się z łóżka, usiłując ich wypchnąć za drzwi. Moccwali się z nią żartobliwie tak długo, aż mały złodziejaszek wyciągnął jedną pończochę z pod poduszki. Jednakże nie zdążyli jej ukryć, kiedy gospodyni zauważyła to. Zrobiła taki krzyk, jakby ją ze skóry darli, wrywając przy tem swój skarb. Cały ten kawał obrócono zaraz w żart. Nikt z obecnych nie wątpił jednak, że gdyby gospodyni tego nie zauważyła, musiałyby pożegnać się z tą pończochą na zawsze.

Roman dłużej już tu nie bawił, gdyż zrozumiał, że tego co go interesuje, nie dowie się tu. Poza tem nie mógł znieść tych specyficznych dla wszystkich melin zapachów, jakie się tu unosiły w powietrzu.

ROZDZIAŁ XX.

Na miejskim zegarze już dawno wybiła północ. Tramwaje nocne były w ruchu, odwożąc nielicznych sennych pasażerów do domów. Konduktorzy tramwajów nocnych najlepiej wiedzą, co za rodzaj pasażerów wiozą po dwunastej w nocy.. Zdradliwy mąż, lub zdradzająca męża żona śpieszą zdenerwowani do domu, układając naprędce możliwe usprawiedliwienie ponieważ dokładne alibi w tych wypadkach jest bardzo trudne. prostytutka, powracająca z „targu” taksuje wzrokiem sennych pasażerów, rozglądając się za takim, kto mógłby jej dać jakiś zarobek. Zwolennicy rozczyntu alkoholowego, podchmieleni, leniwie przeciągają się i są przekonani, że odbywają podróż naokoło świata.. Kawalerowie księżycy śpieszą na „ostatnią robotę”, z nadzieją na zubożenie się, albo też powracają z wyprawy, zgorzkniali, czując żal do Boga i ludzi, że „robotą” się nie udało.

Roman wsiadł do nocnego tramwaju, sam nie zdając sobie sprawy, dokąd pojedzie. Dwóch pasażerów było tylko w tramwaju. Na pierwszy rzut oka

poznał w nich kolegów po fachu. Konduktor podejrzliwym spojrzeniem mierzył ich teki, które trzymali w rękę. Oni widząc to, wysiedli zaraz na pierwszym przystanku, najpewniej w obawie przed „porutą”. Roman, sam nie wiedząc dlaczego to czyni, podążył za nimi. Gdy go spostrzegli, uporczywie idącego krok w krok za nimi, wsiedli do dorożki i znikli mu z oczu. Błądził bez celu po opustoszałych ulicach, zaczepiany kilkakrotnie przez damulki nocy... Wreszcie zawrócił w stronę Dworca Głównego. Zrezygnował już z zamiaru odnalezienia Lipka. Chciał tylko, bez istotnej przyczyny, ot tak dla spędzenia czasu, wstąpić na dworzec. Czuł się zmęczony i niewyspany, był jednak do tego stopnia zdenerwowany, że zasnąć w żaden sposób by i tak nie mógł. Nie przypuszczał nawet, że los przygotował mu tu na dworcu znów przykrą niespodziankę... Miał tu wypić ostatni kielich goryczy, który zdradliwa Felcia przygotowała dlań.

Na dworcu był ruch, pomimo późnej godziny nocnej. Zarożło się jeszcze bardziej od pasażerów i walizek, kiedy z hukiem wpadł na peron międzynarodowy kurjer. Pełno tu było różnorakich twarzy... Lokomotywa dyszała, jakby ciężko zmęczona z dalekiej podróży. lub może... od ciężaru utrapień ludzkich, jakie przywiozła do stolicy. Hałas ludzki odbijał się o ściany dworca, zagłuszając wszystkie inne odgłosy. Ludzie pędzili gorączkowo jeden za drugim, śpiesząc się tak bardzo, jakby za chwilę miało nastąpić trzęsienie ziemi...

Romek stanął po środku hali dworcowej i zatonął w rozmyślaniach: — Dokąd też tak śpieszą ci ludzie?... Kto ich pogania?... Co te wszystkie postacie zmusza do tak intensywnego ruchu?... — Wszyscy oni dążą do żłobu... Do miski... Jeść chcą... — dał sobie samemu odpowiedź w duchu.

Obserwował kobiety. Były tu brzydkie i ładne... stare i młode... Mimowoli rozejrzał się w poszukiwaniu Felci, jakby przeczuwał, że ją tu spotka.

Z sykiem wpadł na peron jeszcze jeden pociąg, a dworzec napełnił się jeszcze większym hałasem, niż poprzednio. Wagony pasażerskie wypłuły całą swą zawartość masy ludzkiej. Każdy z pasażerów był zajęty tylko sobą. Przy przejściu, w tłoku, potracano się wzajemnie, wypowiadając czasem utartą formułkę przeprosin.

Kurjer Warszawa - Paryż miał odejść za kilka minut. Pasażerowie, przeważnie elegancko ubrani, zakupywali bilety przy okienku pierwszej klasy. Złodziejaszki, których Romanowi nie trudno było rozpoznać, nie próżnowali, jak zauważył. Różnorodny napisy umieszczone w widocznych miejscach „strzeż się złodziejów”, udaremniały w dużej mierze ich zamiary. Pasażer mimowoli napotykał wzrokiem na napisy, które uparcie przypominały, by każdy miał się na baczności.

Roman kupił bilet peronowy i spacerował sobie po peronie. — Ot... tak sobie... bez dobrych i złych zamiarów. Młoda para, która zapewne wybierała się w drogę poślubną, ściągnęła jego uwagę... Brylanto-

wa kolja i branzoleta na rękę rzucała błyski ogniste, drażniąc go do ostatnich granic wytrzymałości... To wystarczyło, aby jedyną myślą która teraz zaczęła zaprzętać jego umysł, była kwestia okradzenia nieznamomej. Zastanawiał się, w jaki sposób to uczynić... Czy kupić bilet i jechać kilka stacyj z nimi?... Nie... to się nie uda!... Frajer tak troskliwie opiekuje się nią, że będzie mu trudno do niej się zbliżyć... Na myśl mu przyszedł Lipek. Roman bardzo żałował, że niema z nim przyjaciela w tej chwili. On napewno znalazłby sposób „obrobienia” tej kobiety...

Konduktor nawoływał już pasażerów do wsiadania, a on stał bezradny. Nie mógł oczu oderwać od „skarbu”, którego właścicielka posuwała się majestatycznie po peronie, jakby liczyła kroki. Nie wiedział, czy ta kobieta była ładna, czy też brzydka... Nie obchodziło go to wcale... Jego wzrok i uwaga były skierowane jedynie na jej klejnoty, które swym blaskiem podniecały go, jakby naśmiewały się z jego bezradności...

Dama wsiadła wreszcie do przedziału. Jakże wielce się zdziwił gdy poczęła żegnać się ze swoim towarzyszem. Więc to nie był mąż... Ach, jaki ze mnie frajer... Zamiast kupić bilet, stoję i gapię się... — wymamrotał do siebie. — Minuta jedna pozostała do odejścia pociągu... nie zdążę już nabyć biletu! A może jechać na „gape”?... Uda mi się zaraz przed przyśtankiem ją „zrobić”... Jest noc, zapewne zdrzemnie się, co ułatwi mi sytuację.

Różne myśli zbrodnicze tłoczyły mu się do głowy.

Chorobliwa fantazja posunęła się aż tak daleko, że widział siebie, gdy dusi tę kobietę i zdejmuje z niej upragnione klejnoty, poczym wyrzuca ją dla zatarcia śladów przez okno wagonu. Cały drgnął na tę myśl, wyplunął kilkakrotnie, jakby chciał w ten sposób wyrazić swój wstręt do podobnych „mokrych robót”...

Ostatni dwaj pasażerowie, mężczyzna i kobieta przeszli mimo. Zauważył tylko ich sylwetki. Drgnął... Wydało mu się, że zna te cienie. Pobiegł za nimi, chcąc się przekonać, czy nie doznał złudzenia... Jednak zanim dobiegł do nich, oni znaleźli się już w przedziale. Kobieta, w której odrazu poznał Irkę, ukazała się w oknie, witając Romana głośnym śmiechem. Pociąg powoli ruszył, na znak, dany przez dyżurnego ruchu... Roman uczepił się stopni wagonu, sam nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi. Konduktor krzyknął gniewnie i ściągnął go na peron. Roman wyrwał mu się z rąk i biegł za pociągiem, wpatrzony w okno przedziału. Szyderczy śmiech całej trójki odbił się o jego uszy. Pociąg jechał coraz szybciej, a przed oczyma mignęła mu jeszcze twarz Felci, która, jak mu się wydawało machnęła jeszcze przez okno chusteczką... i wszystko, jak zjawą zniknęło mu z oczu.

Stał przez dłuższą chwilę na peronie, zapatrzony w dal, skąd dolatywał jeszcze odgłos znikającego pociągu. Chwycił się za głowę tak, jakby się obawiał aby mu nie pękła z nadmiaru bólu, jaki ją w tej chwili rozsadał. Funkcjonariusz kolejowy, który

ściągnął Romana ze stopni wagonu, podejrzewając, że chce się rzucić pod pociąg, zażądał teraz aby Roman się wylegitymował. Roman słysząc żądanie kolejarza, odrazu odzyskał przytomność umysłu. Naturalnie, że wołał przed nim się wylegitymować, niż przed policją, którąby, w razie oporu, kolejarz zawezwał.

W drodze powrotnej z dworca Roman biegł napół przytomny. Chciał jak najprędzej znaleźć się w swojej melinie i ułożyć się do snu. Spać... spać... — wołał do siebie, — spać, by zapomnieć o rzeczywistości. Widział ciągle przed sobą piękne i jednocześnie zdradliwe oczy Felci. — Jaki idjota ze mnie... — myślał rozgorączkowany. — Trzeba mi było wsiąść do przedziału i zemścić się za moją krzywdę... Przypomniał sobie teraz, że naładowany rewolwer miał przy sobie. Zły był aż do wściekłości sam na siebie, że nie zrobił użytku z broni, którą tak się chełpił przed Lipkiem. Nawet wówczas, gdy biegł za pociągiem, mógł jeszcze zemścić się i strzelić do nich przez okno wagonu... Szedł cichymi ulicami Warszawy, a mróz, który mocno dawał mu się we znaki, ostudził nieco stan gorączkowego podniecenia, w jakim trwał.

Dochodząc już do domu, zupełnie odzyskał równowagę i zapomniał o krwawej zemście, którą przed kwadransiem planował. Nawet był zadowolony teraz, że nie popełnił głupstwa, za które przyszyłoby mu pokutować długie lata. Szedł ulicą Smoczą, napotykać, pomimo późnej pory, zakochane parki,

lub samotne kobiety, powracające z „polowania”.
Ulica była ciemna, oświetlała ją tylko biel śniegu,
na której przesuwały się podejrzane cienie...

ROZDZIAŁ XXI.

Upłynęło znów kilka dni. Zapomniał już o ostatnich wypadkach, które przyczyniły się do jego przygnębienia. Roman był tak bardzo zmęczony i złamany na duchu, że zapomniał nawet o Lipku, który od pamiętnej nocy gdzieś się zaprzepaścił. Roman dopytywał się o przyjaciela po melinach, u kolegów, nikt jednak nie mógł udzielić mu informacji o losie Lipka. Roman był już w strachu, czy przyjaciel swoją gorliwość w „zawodzie“ nie przyplącił życiem. Ta myśl nie dawała mu spokoju, a przytem nie znalazł w sobie tyle silnej woli, by móc o swym kompanie zapomnieć. Pomimo to jednak, zaprzysiągł sobie w duchu, że zerwie ze wszystkim, co ma łączność z światem przestępczym.

Kiedy kochanka go opuściła, otworzyły mu się oczy na wiele rzeczy, których do tego czasu nie dostrzegał wcale. Pojął teraz z straszliwą realnością, jak bardzo niebezpieczne życie prowadzi. Dotychczas bał się wyłącznie policji i więzienia; teraz rozumiał, że istnieją jeszcze większe niebezpieczeń-

stwa, których się należy obawiać... Są to pułapki zastawione przez kobiety... Zdał sobie teraz sprawę, że prócz rozkoszy i chwil zapomnienia, których kobiety udzielają, potrafią one jeszcze obdarzyć łatwowiernego czemś innym...

Ostatnie wypadki podziałyły niezmiernie deprymująco na Romana. Postanowił zmienić swój tryb życia. Znając swoją słabość do kobiet, omijał je starannie. Jednak niepokoju o Lipka nie potrafił się wyzbyć. Może jest aresztowany?... — myślał. — Albo leży gdzieś chory na melinie?...

Gdyby nie myśl o Lipku, Roman rozglądałby się teraz za uczciwą pracą, którą za wszelką cenę usiłował znaleźć. Pierwsze kroki w tym kierunku już porobił. Porzucił melinę, gdzie tyle mu przypominało zdradliwą Felcię. Był tak bardzo zasugerowany strachem przed kobietami, że obawiał się oddychać w tym pokoju, gdzie „ona” była.

Romek mieszkał teraz u porządnych ludzi. (Tak mu się przynajmniej wydawało.) Z zaliczki zaciągniętej u pasera, któremu obiecał „przytachać” łup, (a którego w duchu nabrał) zapłacił za trzy miesiące komornego z góry, co jeszcze więcej przekonało gospodynię o jego uczciwości.

Po całych dniach drżąc z przejmującego chłodu, włókł się bezwolnie po mieście w poszukiwaniu pracy. Wszędzie doznawał rozczarowania. Nikt nie chciał korzystać z jego usług, nie wiedząc kim jest. Widać, takich „niepotrzebnych ludzi” jak on, było bardzo wielu w Warszawie... Nikogo nie wzruszyła wcale

ładnie zmyślona historyjka, którą Roman skomponował, by wywołać litość u pracodawców...

Tak, — myślał Roman — tak jest na tym marnym świecie. Kradniesz dla zaspokojenia głodu, będziesz napiętnowany jako złodziej. Poprosisz o uczciwą pracę, popatrzą na ciebie zgóry, nie odpowiadając wcale na twoją prośbę. Nikogo nie wzrusza twoja nędza. Przecież ci ludzie nie wiedzą kim byłem, a odrzucają moją prośbę. Widocznie i frajerom nie lepiej się powodzi w poszukiwaniu zająęcia — pocieszał się w duchu.

Przypomniał sobie, jak pewnego razu był obecny w sądzie, gdzie sędzono „nowicjusza“ o okradzenie spiżarni. Oskarżony tłumaczył się, że do karalnego czynu zmusił go głód. — Chciałem nakarmić żonę i dzieci, proszę Wysokiego Sądu! — wołał wciąż na swoje usprawiedliwienie. „Dylator“ patrząc z pogardą na złodziejaszka, rzekł:

— Proszę Wysokiego Sądu! Gdyby ten człowiek przyszedł do mnie i powiedział, że jest głodny, sam bym mu dał to, co usiłował skraść u mnie.

Sędzia, widząc człowieka mądrzejszy od poszkodowanego, uśmiechnął się pod wąsem na tę udaną szczodrość. Sędzia nieraz pewno słyszał bezsensowne słowa o dobroci ludzkiej. „Dylator“ o którym mowa wyglądał raczej na człowieka, który nie tak łatwo udziela jałmużny bliźnim.

Ludzie stają się bezczelni, kiedy dotyka się ich własności — myślał Roman. — Był przekonany, że gdyby ten sam amator obcej spiżarni zgłosił się do

tego „dobrego człowieka“ i powiedział: „proszę mi udzielić trochę ze swoich zapasów, zamkniętych w spiżarni...” — to ów wspaniałomyślny człowiek popatrzałby na niego, jak na wariata. Gdyby zaś zagrał w otwarte karty i rzekł: „daruj to, o co proszę, bo jeśli nie, jestem zmuszony cię okraść...” — to wówczas z pewnością „dobry człowiek“ oddałby go w ręce władz bezpieczeństwa publicznego.

Dobrze jest prawić morały, kiedy się jest niezależnym od innych ludzi. Pensjonariusze wszystkich więzień na świecie byłiby uczciwymi ludźmi, kiedy staliby się niezależni..

Wkrótce obrzydły mu te bezowocne starania o pracę. — POCO pętać?... — mówił sobie, — kiedy nigdy uczciwej pracy i tak nie dostanę.. Romek na serio chciał się wziać do pracy i błagał o nią szczerze. Wreszcie postanowił zagrać w otwarte karty. Opowie pracodawcom całą prawdę o sobie. Może to poskutkuje?... — myślał, nie mając innego wyjścia.

W tym celu udał się do pewnej dużej piekarni. Szef, spasiony na świeżych bułeczkach obejrzał Romana krytycznym wzrokiem, zanim ten zdążył usta otworzyć Romek nie stracił jednak pewności siebie i zapytał:

— Czy mogę pana prosić o rozmowę w cztery oczy?

Gospodarz bojaźliwie obejrzał się wokoło i odparł:

-- Możecie tu gadać! Ja was wcale nie znam.

— Właśnie, właśnie, proszę pana... — odparł Roman uśmiechając się smutno. — Mam zamiar panu się przedstawić. Mogę to jednak uczynić na cztery oczy.

Gospodarz spojrział na niego jeszcze bardziej podejrzliwie i zawołał:

— Nie mam żadnych sekretów, proszę tu mówić!... To jest moja żona, a reszta — to wszyscy moi. Gadaj pan, bo nie mam czasu!...

— Nie mogę. Trudno. Jak pan nie chce mnie wysłuchać, to nie trzeba! — rzekł Roman, zabierając się do wyjścia.

Gospodyni, widać bardziej ciekawa od męża, zawołała za wychodzącym:

— A mnie nie może pan powierzyć swego sekretu?... — śmiała się.

— Niech idzie! — zawołał mąż z nietajoną niechęcią.

— A ja chcę wiedzieć... — odparła przekornie. — Niech pan pozwoli do mego pokoju!

Mąż, jak Roman zdążył już zauważyć, wściekły z obrotu sprawy, odprowadził ich oczyma, w których migotały ogniki złości. Roman był bardzo rad z tego, że kobieta się nim zainteresowała. — Kobiety są jednak zawsze litościwsze... — myślał.

— Niech pan siada! — Gospodyni podsunęła mu krzesło, mierząc go badawczym, aczkolwiek łagodnym, spojrzeniem. Nie zapomniała też o przekręceniu klucza w zamku, co napewno uczyniła mężowi naprzekór.

Usiadł naprzeciw niej. Dobrą chwilę badali się nawzajem spojrzeniami. Roman wywnioskował po pobieżnej obserwacji, że należała do tego rodzaju kobiet, które widzą człowieka, a nie płęć...

Wyglądała na lat trzydzieści, wysokiego wzrostu, zgrabna w ruchach, trzymała się równo jak struna. Oczami rzucała niespokojne błyski wokoło, jak za zwyczaj czynią ludzie o energicznym usposobieniu.

— Proszę mówić prędzej... Mój mąż niecierpliwi się za drzwiami.

— Proszę panią. Obawiam się, że kiedy usłyszysz pani, co ja za jeden, przełęknie się pani i nie zechce mnie wcale wysłuchać — odparł, siłąc się na uśmiech.

Kobieta skierowała na niego pytające spojrzenie. Wtuliła się głębiej w fotel i rzekła jakby do siebie:

— Więc co pan za jeden? Mów pan na litość boską, bo umieram z ciekawości...

— Jestem złodziejem, łaskawa pani...

Kobieta jeszcze więcej zagłębiła się w fotelu, okropnie przerażona i wykrzutusiła nieswoim głosem:

— Złodziej... złodziej... Co pan od nas chce?... Żartuje pan, to niemożliwe! Pan... złodziej...

— A dlaczego niemożliwe...

— Kiedy pan na takiego nie wygląda wcale...

— A jak ma podług pani „taki” wyglądać?...

— Ja sama nie wiem... — odparła naiwnie. — Pan nie wygląda na złodzieja...

— Czy złodziej jest innym człowiekiem, tak mocno wyróżniającym się od innych?

— Nie wiem. Ale pan nie jest złodziejem. Panu dobrze z oczu patrzy.

— Jednak to mi nie przeszkadza być złodziejem. A nawet korzystam na tym. Ludzie nie podejrzewają mnie i przeto jest mi łatwiej ich obrobić... — rzekł nawpół poważnie.

— Dosyć tych żartów! — przerwała jego wywoły. — Proszę mówić do rzeczy!

— Tak, moja pani, jestem stuprocentowym złodziejem, pomimo że na takiego nie wyglądam. Przyszędłem tu błagać o pomoc!...

— Na czem ma ona polegać?...

— Proszę o zatrudnienie w waszej piekarni. U was pracuje tylu ludzi, więc może i ja bym znalazł jakiegokolwiek zajęcie. Nauczyłem się w więzieniach piekarskiej roboty. Chcę uczciwie pracować.

— A jak długo siedział pan w więzieniu?

— O długo! Cztery lata...

— Cztery lata?... — spytała zdziwiona. — Czy można tak długo wytrzymać...

— Ten co nie może wytrzymać, to puszcza... — odparł Roman nie bez ironii.

— A dawno, jak zwolnili pana?...

— Nie dawno. Wczoraj dopiero... — skłamał.

— Wczoraj?... — powtórzyła, przy czym uśmiechnęła się zagadkowo.

— A niema pan rodziny?

— Nie, nie mam. Rodzice moi dawno pomarli.

— Siostr ani braci także pan niema?

— Nie.

— A skąd wy jesteście?

— Sam nie wiem... — odparł Romek nielogicznie.

Kobieta usiadła na brzegu fotelu, poprawiając nerwowo złotą branzoletę. Zamyśliła się na chwilę, zerkając z ukosa na Romana, poczem nagle powiedziała, zniżając głos:

— Narzeczoną macie? — Utkwiła przy tem wzrok w jakiś punkt sufitu.

— Nie, nie mam.

— Nigdy nie mieliście?...

Chwila namysłu. I zdecydowana odpowiedź:

— Miałem już niejedną kobietę...

— Hm...

Ktoś począł się dobijać do drzwi.

— Kto tam? — zawołała ze złością.

— To ja, otwórz! Czego tam tak długo siedzisz?..

— pytał niespokojnie mąż.

— Zaraz, zaraz... Zaczekaj chwilkę!... Nie denerwuj się! Nic mi się nie stanie...

Spojrzała na Romana ze współczuciem i rzekła:

— Ciekawam, czy to poraz pierwszy odsiadywał pan wyrok w więzieniu?...

— Siedziałem kilkakrotnie. Jestem recydywistą...

— Ach tak...

Zaległo przykre milczenie, które przerwał Roman:

— Obawia się pani teraz... — zamilkł.

— Nie. Ja tylko żałuję pana...

Był naprawdę wzruszony. Chciałby jej paść do nóg i wypowiedzieć się ze wszystkiego, co mu gniołło jak kamień sumienie, wyznać o wszystkim, co przeskadzało mu w rozpoczęciu nowego życia. Postanowił jednak poczekać z tym do chwili, gdy pierwsze wrażenie, jakiego wywarło na niej jego opowiadanie, minie. Obawiał się, że okazane przez nią współczucie rozprysnie się nagle.

— Proszę mi wierzyć! — mówił Roman gorączkowo. — Pragnę się nawrócić. Składam los mój w ręce pani... Pani zapewne też jest matką i zrozumie mnie, wychowanego bez matki i ojca... Błagam panią o pomoc...

Kobieta spoglądała nań litościwie.

— Doskonale rozumiem pana. Obawiam się tylko jednego...

— Nie ma pani czego się obawiać!.. — przerwał. — Wiem, co pani ma na myśli. Obawia się pani, że udaję, a potem skrzywdzę panią. Albo, że nie wytrzymam przy uczciwej pracy i znów „tam“ powrócę. Zaklinam się na pamięć matki, którą kochałem nad życie, że tym razem już nie wrócę!!... Przyznaję, że już nieraz postanawiałem zerwać z przeszłością... Nie natknęłem się jednak na takiego człowieka, który by zechciał mi podać rękę i wyciągnąć z bagna występku... Nawet mój jedyny brat odwrócił się ode mnie z pogardą...

— Więc ma pan brata?... — przerwała.

— Wstyd mi się przyznać do tego. Jak to lu-

dziom wytłomaczyć; brat rodzony nie chce podać ręki w potrzebie, a cóż dopiero obcy!... Niech pani się o nic nie pyta!... Poco pani te informacje, skąd pochodzę, kim byli moi rodzice?... Wystarczy chyba, że sam przedstawiam siebie w najciemniejszych barwach. Niech pani pomoże, abym mógł stać się nowym człowiekiem, błagam o to!... Niech pani będzie przeświadczona, że takiego dobrego uczynku nawet złodziej nigdy nie zapomni. Jeżeli nie chce pani, to pójdę sobie, skąd przyszedłem. Nie potrafię już dłużej zebrać u ludzi pomocy, u ludzi, którzy odtrącają mnie od siebie...

— Dlaczego pan do nas się zwrócił w tej sprawie. Myślę, że związek piekarski znalazłby dla pana pracę. Czy należy pan do jakiegoś związku?

— Powiedziałem pani, kim jestem. Mój „fach” związku nie posiada. Zresztą i w zrzeszeniu piekarzy już byłem.

— No i co?

— Nic.

— Jakto nic?... Myślę, że to był ich obowiązek zająć się panem.

— Owszem, pomogli mi wsparciem. Ale pracy dla mnie nie mieli. Zresztą złodziejem wszyscy pogardzają...

— Dlaczego pan stale podkreśla swoje złodziejstwo... Pan wydaje mi się być uczciwszym, niż ci, którzy na każdym kroku podkreślają swą uczciwość...

Kobieta zamyśliła się. Wstała z fotela i stanęła

przy oknie. Roman zauważył, że ocierała łzy, które natarczywie napływały jej do oczu.

Nagle odwróciła się do niego.

— Ale skąd pan tu trafił?... To mnie bardzo interesuje...

— Widzi pani, ślepy los natchnął mnie, aby do was się zwrócić. Straciłem już nadzieję na odnalezienie kiedykolwiek pracy. Postanowiłem zagrać w otwarte karty i wyznać kim jestem. Wlokąc się akkurat po tej ulicy, postanowiłem swoją myśl zrealizować. Wszedłem do pierwszej lepszej piekarni, którą napotykałem.

Kobieta łagodnie uśmiechnęła się, poczem stanowczym tonem zwróciła się do Romana:

— Nie chcę wywierać na pana nacisku, aby mi pan opisał swoją przeszłość. Zresztą rozumiem doskonale, co mogło się złożyć na pańskie wykolejenie.

— Bardzo rad jestem że trafiłem na tak bardzo wyrozumiałą i inteligentną osobę. Jednakże śmiem wątpić, aby pani aż na tyle mnie rozumiała.

— A jednak tak jest... Czytam to z pańskiej twarzy, że ładna buzia była zawsze przyczyną pańskiej zguby. Czy odgadłam?...

— Przyznaję, że tak, ale to jeszcze nie wszystko.

— Nieodpowiednie wychowanie mogło też wpłynąć ujemnie na rozwój pańskiego życia. O, znam dużo przyzwoitych domów, gdzie rodzice myślą, że wychowują wzorowo swoje dzieci, a sami, bezwiednie

oczywiście, tylko je psują... Pańscy rodzice, jak domyślam się, ten sam błąd popełnili...

— Zgadła pani... Pochodzę z bardzo dobrego domu, jak to ludzie nazywają, a jednak...

Szamotanie do drzwi powtórzyło się z podwojoną energią.

— Ani słowa, pomiętaj pan... — pogroziła mu zartobliwie palcem, poczem przekreśliła klucz w drzwiach.

Właściciel piekarni wszedłszy obrzucił ich podejrzliwym spojrzeniem:

— Jakoś za długo trwał ten sekret. — Tu zwrócił się do żony, która nie przestawała się uśmiechać do niego. — Co takiego dowiedziałaś się, moja kochana?..

— Ten człowiek jest bardzo nieszczęśliwy. Rodzice jego podczas rewolucji w Rosji zginęli. On uciekł ledwie z życiem z ognia przewrotu. Jego rodzice mieli dużą piekarnię w Rosji. Ten człowiek prosi o pracę.

Właściciel piekarni skrzywił usta i popatrzył na żonę, która oczyma błagalnie go prosiła, aby prośbie nie odmówił. Po chwili zapytał:

— A co wy umiecie?..

— Wszystko umiem! — odparł Roman, prostując się.

— Jak wszystko, to nic... Cukiernictwo umiecie?

— Nie, tego nie umiem, ale piekarską robotę znam doskonale.

— Świadectwo macie?..

— Skąd by miał świadectwo?... — wtrąciła się do rozmowy kobieta. — Kto mu miał udzielić świadectwa, bolszewicy, od których uciekł?..

Właścicielowi piekarni widocznie to rozumowanie trafiło do przekonania, bo po kilku chwilach namysłu, powiedział:

— Dobra... Dobra... Zobaczymy... Od kiedy chcecie przystąpić do pracy?

— Choćby i już!..

— Jesteście pewno głodnym! — zwołała właścicielka zakładu.

Roman zarumienił się mocno.

— Czemu się pytasz? — odparł, będący już zupełnie po stronie Romana, mąż. — Chorego pytają, a zdrowemu trzeba dać.

Żona zadowolona, że mąż przychylił się do jej prośby, pochwaliła go w obecności przybysza, mówiąc że ma nadzwyczaj dobrego męża. Romana zaś zaprosiła do stołu.

ROZDZIAŁ XXII.

W czasie jedzenia wypytywała się o dużo jeszcze spraw. Szlachetna kobieta interesowała się jego zamiarami na przyszłość. Prosiła, aby był najzupełniej wobec niej szczery i zwierzył się jak przed matką rodzoną.

— Nikt nie potrzebuje wiedzieć, kim byłeś! — tłumaczyła mu. — Mąż mój jest człowiekiem starej daty. Broń Boże, aby dowiedział się prawdy. Jest on gotów nawet i mnie podejrzewać. Robotnicy także nie powinni o niczem wiedzieć. Nie trzeba wdawać się z nimi zanadto. Czy macie znajomych, dawnych kolegów w Warszawie. Obawiam się, by nie przychodzili do was. Ktoś może ich znać i przez to wyda się wasze incognito. Ja w zupełności ufam waszym dobrym chęciom. Ale ludzie są podejrzliwi. Musicie się trzymać na baczności...

— Z całej duszy pani dziękuję!... — zawołał wzruszony, całując z uszanowaniem jej rękę. — Ale obawiam się, aby pani nie miała przykrości przeze mnie. Co do mnie, będę wierny jak pies, a pracować będę

jak wół. Jestem silny i mam chęć do pracy. Niech mi się zdaje, że pracuję w więzieniu, na piekarni gnany przymusowo do pracy. Myślę, że u pani mi będzie lepiej pracować niż tam!.. — gorzko uśmiechnął się.

— Obawiam się tylko... — szczerze zawołała po chwili namysłu — jednego... Ale bardzo przepraszam pana... Nie myślę wcale pana... Nie myślę wcale pana tem urazić...

— Proszę mówić. Jestem gotów wszystkiego od pani wysłuchać... i zanotować w pamięci.

— Widzi pan. Ja nigdy nie znałam podobnych panu ludzi. Znam ich na tyle, co wyczytałam z gazet lub z kryminalnych powieści. Nieraz myślałam o tych bohaterach, których tam przedstawiają w bardzo ujemnym świetle. Przyznam się, że na sam dźwięk słów: złodziej... bandyta... dreszcze po ciele mi przechodzą. Przepraszam jeszcze raz za szczerłość. Ludzie ci, o ile wiem, lubią lekkie życie, hulanki i zabawy z kobietami. Obawiam się, aby pana nie skusiło znów to życie. Przecież każdy wolałby lekko żyć, niż ciężko pracować. Tembardziej pan, który już to zakosztował... Czy nie będzie to ponad siły pańskie opanowywać skłonności?... Czy będzie pan mógł utrzymać w korbach siebie, zmuszając się do ciężkiego trybu życia robotnika?... Czy będzie pan mógł pohamować swoją porywczosć, którą, jak przypuszczam, pan posiada.

— Jaka pani jest szlachetna! — wybuchnął Roman, rozczulony niemal do łez. W myślach przesu-

nał się błyskawicznie obraz uciążliwej drogi życia...
— Ma pani zupełną rację. Ja sam obawiam się tego samego... Ale myślę, że przewyżczę siebie. Będę się starał wykorzenić z siebie zło, które zagnieździło się we mnie przez te lata, w czasie których tkwiłem w bagnie występku... Nic nie obiecuję... Postaram się stoczyć decydującą walkę ze sobą... Gdy zobaczę, że jestem na tyle złym i zepsutym, że niema widoków na poprawę, sam odejdę od was, zanim ktokolwiek spostrzeże moje złe skłonności... Znam siebie, to też wiem, że prędzej czy później opamiętam się i stanę do boju ze sobą!... Wiem, że zwyciężyć muszę!! Sam nie wiem, jak wytłomaczyć moje dotychczasowe życie. Ale wiem, że kiedyś z niem zerwę, by więcej doń nie powrócić... Czy decydująca chwila już nadeszła?... Nie gwarantuję... Jednak ręczę, że kiedyś nadejść musi...

— Jaki pan posiada rozwinięty umysł. Znać, że pan pochodzi z dobrej rodziny i nie jest pan analfabeta... Proszę dalej mówić... Proszę opowiedzieć mi coś o życiu tych ludzi i więzieniach. Jestem bardzo zainteresowana tem wszystkim, co pana dotyczy.

Roman, ulegając jej prośbie, począł mówić:

— Smutna to jest historia, proszę pani... Życie złodzieja nie jest tak powabne i zachęcające, jak ludzie na ogół sobie wyobrażają. Proszę sobie przedstawić życie pędzone w wiecznym strachu, gdy się jest stale gnanym przez policję i społeczeństwo!.. Co to jest za życie, proszę panią, kiedy w murach więziennych zabronione jest wyglądać na piękny

świat. Wieczorem, kiedy księżyc świeci, a w dzień, kiedy słońce grzeje, leży się w zamkniętej, dusznej żelaznej klatce. Jak zwierzę. Leży się w żywym grobowcu o głodzie i chłodzie... Nie pomaga płacz, ani narzekania... Głuche są grube mury więzienia na płacz więźnia. Czy może być na świecie coś gorszego od życia złodzieja, któremu stale przed oczyma, nawet podczas zabawy, staje wizja wstrętnych murów więziennych i krat żelaznych...

Zatrzymał się aby zaczerpnąć oddechu i po chwili ciągnął dalej:

— Proszę się dobrze zastanowić nad tem, co mówię, a przekona się pani, że podobni do mnie ludzie wymagają raczej współczucia, niż pogardy. — Być więźniem, to znaczy cierpieć... A cierpienie samo zasługuje już na miano człowieczeństwa... Łzy wylane przez więźniów całego świata, mogłyby wypełnić nie jedną otchłań...

Słuchająca wzdrygnęła się odruchowo.

— Rano, z dźwiękiem pobudki — mówił dalej Roman — zaczynają się dla więźnia tortury. W nocy zaś, gdy przymuszają do snu, tortury powiększają się jeszcze. Realność życia jest dla więźnia straszna, a sny jeszcze straszniejsze... O czem może śnić więzień, jak nie o okropnościach, przeżytych w ciągu dnia udręki więziennej. Nawet półgodzinna przechadzka na wolnym powietrzu, na podwórku więziennym, nie pozwala zapomnieć o tragicznej rzeczywistości. Powietrze więziennego podwórka jest przesycone gruźlicą.

Każde więzienie to piekło, skąd grzesznik nigdy swojemi pokutami nie utoruje sobie drogi do czyśćca. Daremne są wysiłki więźniów, by swojemi cierpieniami odkupić winy popełnione... Społeczeństwo jest niewyrozumiałe. Woli ono raczej odepchnąć, aniżeli przygarnąć z powrotem...

— Okropne... okropne... — przerwała mu kobieta. — Ciekawych rzeczy doprawdy dowiedziałam się od pana... Nigdy nie przypuszczałam, aby kara więzienna była tak straszna... Wie pan, mój mąż został skazany administracyjnie na miesiąc więzienia z zamianą na grzywnę. Wolę zapłacić, stracić nawet majątek, byleby tylko nie dopuścić, by mąż mój tam siedział.

Uśmiechnął się w odpowiedzi na wysnuty przez nią wniosek i odparł:

— Proszę panią. Dla takich, jak mąż pani więzienie nie jest straszne... Nie o takich więźniach myślałem.

— Ach tak, już rozumiem... — zawołała, rumieniąc się, z czego wywnioskował, że go zupełnie nie zrozumiała. Pojął, że ona go nigdy nie zrozumie. Trzeba to samemu przeżyć, aby te okropności ogarnąć umysłem.

— Bardzo panią przepraszam za moją gadatliwość... — zawołał nagle Roman. — Zapewne nudzę panią swojemi wywodami.

— Ależ wcale nie. Więc co ma pan teraz zamiar czynić. Jeżeli ma pan jakieś rzeczy, to proszę je przynieść. Ja panu dam miejsce, gdzie pan będzie

mógł zamieszkać. Są to bardzo porządni ludzie. Mieszkają już przeszło dwadzieścia lat w naszej kamienicy, i ani razu nie zalegali w opłacaniu komornego. Boję się tylko... Tam są dwie córki. Coprawda bardzo uczciwe dziewczęta, ale kobiety... A pan, domyślałem się, nie lubi kobiet... — roześmiała się.

Roman roześmiał się także, rozumiejąc ją doskonale. Zawahał się przez chwilę, czy skłamać, potem jednak odparł:

— Wolę pokoik, gdzie nie ma kobiet. Dostyc już mam tego dobrego. Muszę wyznać pani, że jedynie dzięki kobietom moje postanowienie zostania uczciwym człowiekiem spełza zawsze na niczym. Kobieta, to niebezpieczna zabawka, dla takich dzieci jak ja, droga pani...

— Jest pan bardzo dowcipny — śmiała się do brodusznie. — Dobrze, postaram się dla pana o miejsce bez kobiet. Myślę, że stara baba, to jest gospodyni, nie skusi pana...

— Za nic nie ręczę. Pies z głodu i muchy chwytają — dowcipkował.

Momentalnie zauważył zmianę na jej twarzy. Połapał się, że swoją poufałość posunął za daleko. Postanowił prędko naprawić błąd.

— Bardzo panią przepraszam. W sferze, w której przebywałem dotąd, przyzwyczałem nie liczyć się ze słowami. Bardzo panią przepraszam.

— To nic. Uważam, że pan w naszej sferze nabierze teraz lepszych manier. — Pogroziła mu pobłażliwie palcem.

Ucałował ją w rękę na pożegnanie z taką elegancją i uszanowaniem, na jakie tylko mógł się zdobyć. Tym niemniej, zrobił to nie tak, jak w jej środowisku to czynią. Zauważył, że cofnęła prędko rękę, jakby ją pies ukąsił.

ROZDZIAŁ XXIII

Na dworze był okropny mróz, ale Romek nie czuł go wcale. Miał tak doskonałe samopoczucie, jak jeszcze nigdy w życiu. Serce miał pełne różowych planów na przyszłość. Wydawało mu się, że żółte światło latarni mruga doń. Wszystko zdawało go się witać uśmiechem. Tłumy ludzi, które przewalały się ulicami, wyglądały teraz jakoś weselej niż zazwyczaj. Cały świat, kamienice, chodniki, przebiegające auta i dorożki weseliły się razem z nim. Takie przynajmniej odnosił wrażenie.

Myślał wyłącznie o szczęściu, jakie go spotkało. — Mam nareszcie uczciwą pracę! — wykrzykiwał w duchu. — Zerwę z haniebną przeszłością raz na zawsze! A potem... Co potem?... Nie znalazł odpowiedzi.

Radość jego zaczęła się zmniejszać, wraz z uczuciem chłodu, które poczęło go napastować. — Czy to jest cel dla mnie, aby zamknąć się w piekarni do pracy wyczerpującej i nielubianej — buntował go jakiś wewnętrzny głos. — W tych warunkach,

na jakich zostałem przyjęty do pracy, czy nie będę zmuszony pracować za trzech, aby wykazać swoją gorliwość i chęć nawrócenia się?...

Przypomniawszy sobie znów o swym przyjacielu, o którym wszelki śluch zaginął. Co się z nim mogło stać? — Jaki ja jestem podły — wyrzucił sobie. — Kiedy ja zostałem uwięziony, to Lipiek poszedł ryzykować dla mnie, aby mnie wyrwać. Może on teraz siedzi za kratą i czeka cierpliwie na moją pomoc.

Walka okropna toczyła się w nim. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie byłoby wskazane dla spokoju „złodziejskiego sumienia“ obejść teraz wszystkie meliny i dowiedzieć się czegoś o Lipku, aby w razie potrzeby ratować go. Potem weźmie się do pracy. Nie ufał sobie, że kiedy znów znajdzie się między „swoimi“, to będzie miał na tyle silnej woli, by wrócić do swej szlachetnej opiekunki. A może podsunie się koleżka z dobrą „robotą“, jak to bywa zwykle i Roman znów zapraśnie „poraz ostatni“ spróbować szczęścia. A gdyby okazało się, że Lipiek „kima“, to i tak musiałby się postarać o forszę, by go ratować.

Znów chmury zastąpiły chwilową radość. Nie był zdolny walczyć z natrętными myślami, wypełniającymi jego zbolewały mózg. Postanowił być neutralnym i czekać, które z jego ukrytych wewnętrznych „ja“ weźmie górę. Widząc, że to gorsze „ja“ poczyna górować, przyłączył się do lepszego „ja“ i postanowił zwalczyć wszelkie złe podszepty, które śpieszyły złej części jego osobowości na pomoc.

Roman postanowił plunąć na wszystko, nawet na Lipka i solidarność złodziejską. Pobiegnął prędko po rzeczy, które „kochana Felcia” raczyła mu pozostawić. Osobę gospodyni usiłował starannie ominąć, obawiając się, aby nie zatrzymała jego manatków, ponieważ mogła by mieć pretensję do niego, gdyż wynajęła mu mieszkanie na sześć miesięcy. Gospodyni była bardzo gadatliwą kobietą i nie taką głupią, za jaką ją Roman miał. Okazało się, że jej pierwszy mąż, z którym się rozwiodła, był znanym złodziejem. Romana prześladował taki pech, że nawet ci ludzie, których uważał za uczciwych, okazali się większymi złodziejami, niż on sam był.

Spakował czymprędzej swoje „czuchy” do walizeczki i prędko, jakby tu popełnił kradzież, wysunął się na korytarz. Śpieszył się... Pozostało mu już kilka susów po schodach do bramy... Wtem krzyk gospodyni dobiegł jego uszu.

— Czego tak uciekacie, panie Romanie!... Stójcie, coś wam powiem!..

Nie słuchał wcale i zbiegł do bramy.

Gospodyni biegła za nim wołając go głośno po imieniu. Chcąc uniknąć awantury, przystanął niechętnie.

— Czego pani tak ryczy? — zapytał opryskliwie.

— Jakto czego ryczę?... — zawołała głosem, w którym przebijała nietajona niechęć. Patrzyła przytem podejrzliwie na walizkę, jakby Roman tam przechowywał jej skradzione rzeczy.

— Czego pani chce? Zabrałem swoje rzeczy. Wyprowadzam się.

Kobieta wzięła się rękoma pod biodra, wystawiając nadęty brzuch naprzód i na całe gardło jąła rozprawiać między kumoszkami, które zdążyły się już zgromadzić na schodach.

— Masz tobie, hrabia wyprowadza się!! Słuchaj no ty, panie hrabio!! — drwiła zeń. — Czy ty myślisz, że nie wiem, coś ty za jeden?... Pokażno, czy do walizki nie zabłądziły przypadkowo też i moje rzeczy. Jesteś bardziej przyzwyczajony zagarniać obce rzeczy, aniżeli swoje własne... Ho... ho, znam się dobrze na takich ptaszkach!...

Romana zdziwił niezmiernie fakt, że baba odrazu tak się połapała co do jego „zawodu”. Korzystając z chwili gdy ona przerwała potok swej wymowy aby zaczerpnąć tchu, powiedział spokojnie:

— Zabrałem tylko swoje rzeczy. Czemu pani robi zbiegowisko na ulicy?

— Jak to czemu... A za sześć miesięcy kto mi zapłaci? Miałam jednego pana, który chciał u mnie wynająć pokój i zapłacić za cały rok zgóry. A teraz, co ja zrobię? Zapłacić za te sześć miesięcy i możeś sobie iść do diabła...

Roman plunął w jej stronę i zabierał się do odejścia. Zapłacił jej za trzy miesiące zgóry, a mieszkał tylko kilka dni. Czuł się wobec niej zupełnie corekt. Kobieta chwyciła jednak za walizkę i poczęła wzywać policji.

— Złodziej... złodziej... — ryczała, jakby ją ze

skóry obdzierano. Nie namyślając się długo, Roman wyrwał swoją walizkę z jej rąk i począł uciekać. Głośny śmiech gapiów ulicznych towarzyszył mu, kiedy wbiegł do bocznej uliczki. Na szczęście policjant odrazu się nie zjawił, zaś Roman poszedł, a raczej pobiegł przed siebie, ocierając się nieprzytomnie o spacerujących przechodniów.

Myśl o swoim zamiarze rozpoczęcia nowego życia jeszcze więcej go teraz nurtowała. Czuł się szczęśliwym na myśl, że oto nareszcie zerwie z brudem i wstrętnymi melinami. Zajście z gospodynią, którą uważał za porządną kobietę, jeszcze więcej dodało mocy jego chęci zerwania z dawnym światem. Mózg był pełen obrazów promiennej przyszłości. Fantazja pracowała usilnie, układając sobie życie w przyszłości. Nie sądził, ani przez chwilę, że buduje tylko domki z kart. Nie mógł przecież wiedzieć, że los nadal będzie dla niego nieubłagany i że spokoju nie zazna już w jakimkolwiek świecie by się nie znalazł.

Szedł rozpromieniony z sercem pełnym nadziei. Jest młodym i silnym mężczyzną. Chce pracować i posiada w życiu jasny cel. Cel, którym jest spokojne życie bez strachu o jutro. — Dosyć... — mówił sobie — tych cierpień i mąk w żywych grobowcach. Dosyć mam już tego szarego, brudnego chałata aresztanckiego, kajdan i niewoli... Dosyć!...

Gdyby tylko wiedział, gdzie się Lipek podział, czułby się doprawdy szczęśliwym. Myśl o Lipku znowu zajęła go tak bardzo, że zapomniał się i stanął

po środku ulicy. Zapomniał zupełnie o swoim postanowieniu i o tym dokąd dąży. Chłopak podsunął mu gazetę, zachwalając nagłos nowiny, jakie można tam wyczytać.

— Podkop do banku na ulicy Marszałkowskiej...
— ryknął Romanowi nad uchem.

Drgnął i mimowoli wyciągnął rękę po gazetę. Przejrzał oczyma nagłówek, zapominając o tem, że za gazetę trzeba zapłacić.

— Proszę o pieniądze — zawołał roznośiciel dzienników.

— A... pieniądze... — odparł wolno...

— Tak... pieniądze! — irytował się już chłopak, patrząc na Romana, jak na warjata.

Bez słowa wręczył mu gazetę z powrotem. Przypomniał sobie, że z tego wstrętnego życia, od którego teraz odchodzi, nawet kilku groszy na nabycie gazety nie wyniósł. Zachichotał na głos, drwiąc z samego siebie: — Tyłu ludzi okradasz, a sam nie masz grosza w kieszeni... Słomiany złodziej z ciebie był... Znów znalazł się w kręgu ciężkich myśli, z których wyrwał go poprzednio na chwilę monotony głos sprzedawcy gazet.

Myślał o tych nieznanym, zapewne już schwytanym złodziejach, którzy zrobili podkop na Marszałkowskiej. Mimowoli zastanawiał się, jaka to może być „robotą“, wiele tam mogło być forsy, jakim sposobem „zasypali“ się i t. d. A może i Lipek znalazł się między tymi niedołęgami... Myśl ta spokoju mu nie dawała.

Nogi same skierowały się w stronę ulicy Krochmalnej. Przygnębiony myślą o Lipku, zaczął spekulować.

Zajdę poraz ostatni do knajpy X... — myślał. — Tam dowiem się o wszystkim. Muszę zaspokoić swe sumienie wobec Lipka... i dowiedzieć się, co z nim się stało od chwili, kiedy oddaliłem się od niego. A może rozgniewał się na mnie i zerwał zupełnie znajomość ze mną.

Różne myśli towarzyszyły mu w drodze do meliny, będącej jednocześnie knajpą. Nie mógł się oprzeć wszechmożnej chęci, by tam wstąpić. Gnała go potrzeba dowiedzenia się, co zaszło z przyjacielem, a prócz tego pragnął poraz ostatni spojrzeć na tych ludzi, między którymi tyle lat spędził na wolności i w więzieniu.

Właściciel, niski człowieczek, na krzywych nóżkach, z czerwonym nosem, przywitał go od progu. W „lokalu“ było pełno gości. Jedni zajadali z apetytem przy brudnych stolikach, drudzy połykali kęsy jadła na stojąco przy bufecie, rozglądając się na wszystkie strony w obawie, najpewniej, przed obławą policyjną, która każdej chwili mogła nastąpić. Żona właściciela brudnymi łapami zdejmowała przysmaki z bufetu, rozdając je na wszystkie strony. Jedni brali na kredyt przyszłych ofiar — frajerów, których mieli okraść. Drudzy już zgóry mieli opłacone za owe delikatesy.

Ów właściciel był trzeciorzędnym paserem. Za „facyjenty“, które nabywał od swoich gości, płacił

wątróbkami, smażonymi rybkami i innymi specjami. Uchodził też za człowieka z „złodziejskim charakterem”. Był przeciwnikiem „dyntojr”, do których nigdy nie dopuszczał. Mawiał zawsze: — Złodzieje powinni żyć między sobą, jak dzieci jednej matki. POCO dyntojry?... — tłumaczył awanturnikom. — Można wypić i bez dyntojry. Sam był kiedyś poważanym złodziejem i patrzył na młode złodziejskie pokolenie krytycznym okiem.

Gdy dojrzał Romana, zbliżył się doń i zaprosił poufale do separatek, których tu było kilka. Patrzył na jego walizeczkę pożądlivym okiem, poczem niemal wyrwał ją z jego rąk. Chcąc nie chcąc Roman podążył za nim.

— Otwórz prędzej! Zerknę co to za „szorii” przytachałeś do mnie. Już dawno ciebie nie widziałem. Zarobiłeś?...

— Nie mam tu żadnej „szorii” dla ciebie.

— A to dlaczego?... — zapytał niemile zdziwiony.

— Tylko własne rzeczy tu mam.

Właściciel meliny spojrzał na Romana niedowierzająco i chytrze się uśmiechnął.

— Nie bój się. Zapłacę ci gotówką. Nie będziesz u mnie potrzebował odebrać wątróbkami za „facyjenty”.

— Jak pragnę wolności... — zawołał Roman. — Mam tu swoje łachy. Wybieram się na nowe mieszkanie.

— A poco tu do mnie przyszedłeś?... — zapytał już chłodno.

— Słuchaj! Mam do ciebie prośbę...

— Gadaj! Ty wiesz, że jestem zawsze gotów nieść pomoc naszym chłopakom. Co chcesz, mów! Ale, pokaż mi lepiej, co masz w walizce.

Chcąc zaspokoić jego ciekawość, Roman odemknął walizkę. Ten chytrze przerzucił rękoma rzeczy.

— Możesz zamknąć już. Ale doprawdy, nie chce mi się wierzyć, abyś w takich marnych łachach paradował. Przyznaj się. Nie wstydz się!... Czasami najlepszego złodzieja przyciśnie mortus... i buchnie co mu popadnie pod rękę.

— Idź do cholery!... Mówię ci, że to nie jest żadna „szoria”. Tak niśko jeszcze nie upadłem, abym kradł takie łachy. Rzeczy są moje własne. Moja Felcia tylko mnie to zostawiła. Rozumiesz teraz, stary idjoto!...

— No, tylko nie idjota... — obraził się. — Jak ty odkiwasz tyle lat w katordze, co ja, to własnych rąk nie udźwigniesz. Słyszałem, że córeczka Bryłki wystawiła cię do luftu. Gdyby nie kobiety... gdyby nie kobiety... — powtórzył, jakby do siebie.

— To co by było, gdyby nie kobiety? — zaciekawiał się Roman.

Meliniarz zamyslił się. Zapatrzył się na chwilę w jakiś punkt na powale.

— Gdyby nie kobietki, mój brachu, nie byłbym dzisiaj tem, czym jestem. Nie miałbym takiego bu-

raczkowego nochala. Kobiety nauczyły mnie kraść, bawić się, grać w karty i zagładać do kieliszka. Chciałbym teraz mieć tę forszę, co wydałem na wódkę i kobietki... Byłbym bogaczem...

— Na co ci pieniądze?... — spytał Roman i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. — Spełnisz moją prośbę, czy też nie?...

— Spełnię... spełnię... Gadaj, mój kochany. Tak, tak... gdyby nie kobietki, to byś i ty dziś do mnie nie zawitał — śmiał się.

Roman przemilczał ten docinek i zaczął:

— Znałeś Lipka, mego spółnika?...

— Kto Lipka nie zna?... — odparł pytaniem na pytanie.

— Powiedz mi, może wiesz, gdzie on teraz przebywa. Przemówiliśmy się kilka dni temu i od tej chwili nie wiem, gdzie on się podział...

— Lipek kiwa na Pawiaku od kilku dni — odparł obojętnie.

Gdyby Romana obuchem uderzono po głowie, nie zabołałoby go to tak, jak ta nowina.

— Pewny jesteś tego, co mówisz?... — krzyknął.

— Masz tobie... Ty wiesz, że „Piegarz” nie lubi zalewać. Zaraz... Kiedy to było... Nie przypominam sobie, we wtorek... czy w środę... Ode mnie poszedł na robotę z drugimi. Ty ich nie znasz. Na pewną robotę poszli. Lipek przyszedł dowiedzieć się o Brytana i Felcię. Wiesz, jak to jest przy kieliszku... Namówili go i zabrali ze sobą. Podobno „wychleli”

całą czwórkę w tramwaju. Zdaje mi się, że grozi im kilka miesięcy za „statki”, które przy nich znaleziono. Roboty nie zrobili i w mamrze będą kiwać. Ot, złodziejskie życie...

Roman odetchnął nieco z ulgą. Postanowił za wszelką cenę, posłać przyjacielowi zaraz wałówkę i wystarać się o jego zwolnienie.

— Słuchaj, stary! Kup u mnie to wszystko, co mam.

— Tak gadaj! — zawołał uradowany. — Poco było tak długo czekać? Ja wiem, że ty w takich „czuchach” nie paradujesz...

Wyciągnął chciwie ręce do walizki. Otworzył ją, wyrzucając zawartość na podłogę. Wykrzywił przy tem usta, jakby na skutek bólu zęba. Rzucił przy tem ukradkowe spojrzenia to na Romana to na wyrzucone ubranie.

— Takich „czuchów” nie spodziewałem się po tobie... — rzekł wreszcie. — Trzeba było to zanieść do gałganiarza, a nie do mnie. Jak widzę, zupełnie straciłeś gust. Nawet marny złodziejasek nie brałby takich fantów.

Na te słowa urągliwe i lekceważące, Roman zatrząsł się ze złości i z trudem powstrzymał się, aby nie uderzyć pasera za tę obelgę. Te rzeczy nie były jeszcze najgorsze. Lecz to była oklepana taktyka pase-rów, którą Roman dobrze znał. To też odezwał się po chwili, starając się nie tracić panowania nad sobą:

— Nie spodziewałem się, abys i mnie chciał wy-

kiwać. Patrz, jaki z ciebie stary „leser”. Mówiłem ci przecież wyraźnie, że te rzeczy nie pochodzą z kradzieży. Są moją własnością, rozumiesz!...

— Rozumiem... rozumiem... mój kochany — odparł z ironią. Ale jedno nie mogę zrozumieć, skąd do ciebie własne rzeczy... Czy złodziej ma kiedyś coś własnego?...

Roman nie miał zamiaru wysłuchiwać filozofii meliniarza, to też zabierał się do wyjścia, pakując swoją walizeczkę. Gospodarz, widząc to, powiedział:

— Mogę ci dać dwie gęsie wątróbki za twoje „facyjenty” — kpił. — O, jakie czasy nastały... — wziął się pod boki — że taki ważny złodziej, jak ty, kradnie takie szmaty. Powiedz mi, jakiemu stróżowi to skradłeś?

— Przestaniesz, bo ci łeb rozwalę!... — krzyknął Roman zirytowany do ostatnich granic. — Popamiętasz ty mnie, stary draniu, — pogroził mu zaciśniętą pięścią i skierował się ku drzwiom. Za chwilę odprowadzony urągliwym śmiechem meliniarza i kpinami pijanych gości, wyszedł na ulicę.

ROZDZIAŁ XXIV.

Roman szedł automatycznie po ruchliwych ulicach Warszawy. Wstydził się samego siebie, że tak nisko upadł. Nawet wstrętny paser gardził nim teraz. Był zły na siebie, że ubliżył swej godności i zaproponował Piegarzowi kupno rzeczy. Znał dobrze psychologię podobnych meliniarzy. Odrazu trzeba było domyśleć się, że Piegarz jest amatorem czegoś lepszego. Nabrał go specjalnie, aby pokazał wartość walizki, by móc później wyśmiać go. Paser dobrze wiedział, że te rzeczy nie pochodziły z kradzieży, a jednak naigrywał się. — Ach, jaki podły jest ten świat!... — wołał sam do siebie. — Każdy z „naszych“ cię uszanuje wówczas tylko, kiedy widać, że ci się dobrze wiedzie. — Przecież byli tam i tacy, którzy go dobrze znali, a jednak wyśmieli go, słysząc, o co idzie. Ach, gdyby nie ten Lipek, pracowałby już teraz w piekarni i nie poniżyłby się tak u Piegarza. Postanowił rzeczy sprzedać na Placu Kercelego i zaraz zrana zanieść za te pieniądze walówkę Lipkowi.

Sytuacja Romana była istotnie nie do pozazdrożczenia. Obiecał sobie dziś rozpocząć pracę i zerwać ze wszystkim, co go łączyło z dawnym życiem. Ale czy mógł wiernego kolegę w takiej chwili pozostawić bez pomocy?... Wlókł się z walizeczką w rękę, rozglądając się z przyzwyczajenia, czy nikt go nie śledzi. Gorzki śmiech go porwał, gdy zdał sobie sprawę ze strachu, ogarniającego go na widok każdego przedstawiciela władzy w mundurze. Musiał sobie uprzytamniać na każdym rogu ulicy, kiedy jego oczy stykały się ze świdrującym wzrokiem policjanta, że ma przy sobie tylko walizkę z własnymi rzeczami. Teraz myślał jeno o tym, gdzie spędzić noc, przyrzekłszy sobie w duchu, że od jutra rozpoczyna nowe życie.

Dawno już było po dziesiątej rano, kiedy Roman wrócił z Placu Kercelego, obładowany złodziejską wałówką dla Lipka. Walizeczka Romana zawierała teraz dwadzieścia funtów białego chleba i dziesięć funtów różnych wędlin. Starał się „zamelinować“ złodziejskim sposobem w chlebie trochę tytoniu. Cukier i herbatę także nabył. Wydał wszystkie otrzymane pieniądze, nie zostawiając sobie ani grosza. Podążył zadowolony z siebie i ze swego dobrego uczynku w kierunku ulicy Dzielnej. Przy więzieniu stał długi rząd mężczyzn i kobiet z wałówkami w rękach. Roman spotkał tu dużo znajomych. Jedną z kobiet, dobrze mu znana „szopenfeldziarka“ zbliżyła się do niego, podając mu przyjaźnie dłoń.

— A ty do kogo?

— Do kolegi — odparł, podając jej rękę. — A ty kogo odwiedzasz?

— Mojego Staśka. „Wychleli” go w tramwaju. Zakapował go spółnik.

— Tak, tak... Dzisiejsi spółnicy tak postępują — dorzuciła kobieta, stojąca obok. — Mojego chłopaka także spółnik „zasypał”.

— Tak, „kapusiów” nie brak — wtrąciła otyła baba, ubrana z wiejska. Wyglądała na żonę „hołociarza”.

— Czy Stasiak jest już po wyroku?

— Tak. „Wtrynili” mu sześć „miesiaków”. Byłby zupełnie wolny, tylko „odszcze kiwał” się na sądzie. To „morus” ten mój Stasiak... — mówiła z dumą. — Sędzia przygadał mu, aby się przyznał, gdzie ma schowane wytrychy, a on na to odparł: — Czy pan sędzia chce ich ode mnie kupić? — Sędzia za ten dowcip wlepił mu szóstkę.

— To frajer — wtrąciła się otyła kobieta. — Mój mąż złapał osiem wiosenek...

Złodziejki wybuchły śmiechem.

— Porządny złodziej takiego ochłapu nigdy nie dostanie — powiedziała znajoma „szopenfeldziarka”.

— Tylko chamy dostają takie wyroki.

— Masz tobie, jaka „szmentylegentika” — zawołała na głos otyła baba. — Mój Antek już w katordze „kiwał”, kiedy jeszcze ciebie na świecie nie było. Taki, co kury kradnie, dostanie mały wyrok. Po-

rządny „bandzior“ zawsze zarobi parę „wiosenek“ odrazu.

Szopenfeldziarka nie pozostała jej dłużna odpowiedzi:

— A ja rozkazałabym wszystkich „bandziorów“ posłać na „dyndówkę“. Jak się zabiera forszę u frajera, poco go jeszcze zabijać. Złodziejem być, to rozumiem, ale nie bandytą — mówiła z przekonaniem. — Przez bandytów to złodzieje są przegrani.

— A to ścierwo!... — rozkrzyczała się otyła baba. — Masz tobie, jaka fetniaczka. Gębę wymalowała jak szyld i piszczy. Tobie mieć alfonsa za męża, a nie porządnego „bandziora“.

— Chamka jakaś! — rzekła pogardliwie szopenfeldziarka. — Twój mąż napewno patyczkiem kogoś pogłaskał po głowie, a ty udajesz wielką cwaniaczkę. Zamknij „jadaczkę“. Jeszcze sieczkę masz we łbie...

Wszyscy oczekujący wybuchnęli głośnym śmiechem. Dozorca więzienny, utrzymujący porządek przed bramą, zawołał służbistym tonem:

— Proszę o spokój, bo nie dostaniecie widzenia.

Ta groźba poskutkowała. Baby zamilkły, rzucając sobie tylko ukradkiem nienawistne spojrzenia.

Poczęto wywoływać nazwiska osób przybyłych na widzenie. Ludzi przybywało coraz więcej. Roman poznał po zasmuconym twarzach niektórych kobiet, że nie mają wiele wspólnego z światem przestępczym.

— Patrz, — trąciła go ramieniem szopenfeldziarka, — co frajerstwa się tutaj nawaliło. Dziś po więzieniach jest ich więcej, niż złodziejów. Złodziej ukradnie parę „nachów“, to go wpakują do ula na parę lat. Frajer okrada Kasę Chorych lub inną rządową instytucję na tysiące, dostanie za to kilka miesięcy mamra. Nawet złodziejem go nie nazywają, tylko „defrudantem“.

— Tych „defrudantów“ jest po więzieniach wszędzie pełno. Nawet w więzieniu traktują ich lepiej od złodziejów — wtrącił mężczyzna, stojący obok i przysłuchujący się uważnie prowadzonej rozmowie.

Jakaś kobieta, nosząca żałobę, o wyglądzie przyzwoitym, odróżniająca się od wszystkich kobiet, czekających w kolejce, przysłuchiwała się całej rozmowie. Kobieta ta nerwowo szarpała swoją żałobną krepę, zwisającą z kapelusza i patrzyła na wszystkich zgóry. Wreszcie odezwała się:

— Defraudant, to nie złodziej, proszę państwa — rzuciła wyniośle, na co wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem.

— A co złodziej, to nie defraudant, proszę pani — mówiła z udaną grzecznością szopenfeldziarka.

— Złodziej krzywdzi tylko jednego człowieka i działa bez maski. Defraudant natomiast, okrada tysiące ludzi odrazu i udaje uczciwego człowieka. Defraudant to jeszcze podlejszy złodziej, bo wykorzystuje zaufanie, jakie ludzie mają w stosunku do niego. Złodziej musi się dobrze napocić i dużo strachu

przeżyć, zanim coś ukradnie. Defraudantowi ludzie sami kładzą pieniądze do kieszeni.

Kobieta w żalobie zsiniała ze złości. Po krótkim zastanowieniu, wyrzuciła dumnie:

— Nie życzę sobie mieć przyjemności dalszego dyskusowania z wami. Tfu... tfu... — wypluła przed siebie. — To dopiero mi wyborowe towarzystwo.

— Masz tobie. Nasze towarzystwo jej się nie podoba. Ale mąż pani czy też kochanek, musi za kratą tam być w naszym towarzystwie, co?... Ja powiem mojemu Staškowi, aby dał znać do tej celi, gdzie siedzi ukochany pani, żeby mu tam spuścili „manto”. Niech wie, co złodziej znaczy!...

Kobieta opuściła kolejkę, odchodząc na stronę, gdzie poczęła ocierać chusteczką załzawione oczy. Romanowi się żal zrobiło tej kobiety. Przybliżył się do niej, mówiąc jej uspakajająco, by nie przejmowała się pogrożkami szopenfeldziarki. — Ona tylko straszy, — mówił, — ale tam nic nie może uczynić.

Kobieta uśmiechnęła się doń wdzięcznie przez łzy i najwidoczniej chciała wszcząć z nim rozmowę, lecz Roman musiał właśnie wejść do gmachu więziennego.

Uradowany, że przykre czekanie już się skończyło, podał dozorca nazwisko Lipka, przystępując do wyładowania z walizki swych zapasów. Dozorca wysłuchał wszystkiego, co mu Roman mówił. Mechanicznie załatwiał swoje czynności, nie wzruszając się ani na trochę żałosnymi prośbami, którymi go zarzucano wprost... Roman podał całą zawartość walizki

przez okienko. Dozorca spojrzał nań, jakby go dopiero w tej chwili ujrzał i powiedział obojętnie:

— Taki więzień u nas nie siedzi.

Roman drgnął.

— Jakto... nie siedzi?...

— Jak mówię, że takiego niema, to niema. Jazda stąd!... A co pan podaje? — zwrócił się już do następnego petenta.

Pomocnik do przyjmowania wałówek, więzień, widząc konsternację Romana, zawołał nagłos:

— Więzień, o którego pan pyta został dziś rano po kawie zwolniony.

Roman nie namyślał się długo.

— Zabieraj to wszystko dla biednych więźniów! — krzyknął pod adresem uprzejmego więźnia i prędko oddalił się, zostawiając na miejscu nawet próżną walizkę.

Szopenfeldziarka wołała za nim, aby na nią zaczekał. Nie odwracając w jej kierunku głowy, przyspieszył kroku.

— ...Psiakrew — mówił w duchu, zaciskając pięści z tłumionej złości. — Co począć ze sobą?... — Stał znów niezdecydowany. — Odnaleźć Lipka?... Nie... nie mogę tego zrobić... On znów mnie wciągnie do dawnego życia... — Wstyd mu było, że przez cały czas nie odwiedził przyjaciela. Jak mu będzie śmiało w oczy spojrzeć. Czy on uwierzy, że Roman dopiero wraca z Pawiaka, gdzie zanosił dla towarzysza wałówkę, którą zdobył za cenę swych ostatnich „czuchów“.

W tej chwili Roman sobie przypomniał, że nie pozostawił sobie nic na śniadanie. Żołądek przypominał mu tę lekkomyślność. Machnął ręką, jak człowiek, który nie ma nic do stracenia i drepce dalej, sam nie zdając sobie sprawy dokąd.

Roman bił się z myślami. Chciał zerwać z swym dawnym środowiskiem, aby nikt nie miał mu nic do zarzucenia. Pragnął też jak najprędzej znaleźć się przy uczciwej pracy, do której winien był jeszcze wczoraj się stawić. Co ta szlachetna opiekunka pomyśli o nim, skoro on słowa nie dotrzymał. Wstydził się stanąć przed jej mądrym spojrzeniem, którym zapewne go obrzuci, gdy się zjawi. Obawiał się, by go nie posądziła, że z trudnością przychodzi mu zerwanie z dawnymi kolegami. Z drugiej strony pamiętał ciągle o Lipku i nie mógł się powstrzymać od pragnienia odszukania go i okazania mu radości, jaką odczuwa dlatego, że wierny przyjaciel znów cieszy się wolnością.

Na tych rozmyślaniach przeszło sporo czasu. Nie potrafiłby sobie wytłumaczyć, w jaki sposób znalazł się na Placu Teatralnym. Zegar ratuszowy wskazywał czwartą po południu. Stanąwszy na przystanku tramwajowym, naprzeciw ratusza, przysłała mu na myśl tłusta kiełbasa z wałówki, z którą tak wspomniałomyślnie postąpił. Świadomość zbliżającego się wieczoru zwiększyła uczucie głodu, do tego stopnia, że machinalnie przeszukał wszystkie swoje kieszenie. Nic takiego jednak nie znalazł, coby się dało zamienić na chleb. Wyrzucał sobie teraz swoją krótko-

wzroczność... Przecież mógł cośkolwiek z jedzenia zostawić dla siebie i nie cierpieć teraz głodu.

Stał w jednym miejscu, nie zwracając uwagi na chłód, przejmujący do kości. Świadomość trudnego położenia przykuła go do miejsca. Dzwonek tramwajowy co chwila odbijał się bolesnym echem o jego nerwy, uprzymniając mu z bolesną realnością, że tu jest tylko przystanek tramwajów, ale nie cel wędrówki.

Był w takim nastroju, że pragnął w tej chwili aby stało się coś nieoczekiwanego, jakieś nieszczęście nawet, któreby go wyrwało z apatii.

ROZDZIAŁ XXV.

Było już około jedenastej wieczór. Zimno i głód dokuczały Romanowi tak, że zęby poczęły mu szczękać jak w febrze. Promyk nadziei, który zabłysł zrazu, gdy stanął przed oświetloną szybą restauracji, zagasł, zamieniając się w rozpacz. Nie miał pieniędzy! Przed zamkniętymi drzwiami restauracji, kiedy już miał pchnąć drzwi, cofnął się. Zapachy różnych zakąsek wionęły mu w twarz. Jakby otrzymał policzek...

Stanął zneruchomiąły, nie wiedząc co czynić. Jego zgłodniały wzrok padł na wystawowe okno restauracji, gdzie pieczona gąska leżała na wielkim półmisku. Wpatrywał się w nią z uporem i zawiścią. Połykał ją wprost oczyma. Butelka „wyborowej” stała obok i kokietowała go zawzięcie. Naigrywała się z jego bezradności... Jakiś obdartus stanął obok i także pożerał wzrokiem tę samą gęś, którą Roman obrał za cel swych pożądań. Jakiś jegomość, pijany już widać, wytoczył się przez drzwi restauracji i zwałił się wprost na Romka. Spojrzeli sobie w oblicza.

Głośny okrzyk zdziwienia, zmusił niektórych przechodniów do odwrócenia głowy.

— Prędzej bym się djabła spodziewał... Jak się masz, brachu?...

— Jak się masz!... — odparł Roman, nie będąc jeszcze pewnym, czy wzrok go nie zawodzi. Nie zdążył się zastanowić nad tym niespodziewanym spotkaniem, kiedy silna ręka wepchnęła go w otwarte drzwi restauracji.

— Cały dzień cię szukałem, stary!... — krzyczał prawie Lipek, — Dziś rano zwolniono mnie z Pawiaka... Kelner!... — zawołał, nie dając Romanowi dojść do słowa. — Podaj prędzej pół butelki zaprawionej i zakąski... Co ty tak mizernie wyglądasz?... Wałówki nawet nie przytachałeś mi, draniu! Gdy ty byłeś „zasypany”, to ja nie zapomniałem o tobie, a ty psiakrew nie pokazałeś się nawet...

Roman chciał się przed nim wytłumaczyć, ale Lipek nie dał mu przyjść do słowa i wołał dalej:

— Nalej!... pij!... pij!... za moją wolność psiakręwt! Przez ciebie mogłem się wtrzyść na parę wiosenek. Szukałem Brytana i twoją Felcię, a dostałem się na Pawiak. Niech nagła krew zaleje takie życie!... — wołał, ściskając Romana po przyjacielsku.

— Uspokój się, przyjacielu, to ci wszystko opowiem... — prosił łagodnie Roman. Lipek, widząc jednak, jak jego towarzysz zmiata z apetytem zakąskę, zawołał:

— Jak widzę, brachu, jesteś trzy dni po obiedzie. Wcinaj!... Kelner, podaj no tę gęś, co stoi w oknie.

Dosyć już wyleżała się na półmisku, dawaj ją tu!!!

Marzenia Romana się zściły. Gęś znikła w oczach, podczas gdy Lipek pijacko mu się zwierzał. Opowiadał mu o wszystkim, bez składu i ładu, dolewając coraz sobie do kieliszka. Kiedy już Roman był nasycony jadłem, zawołał tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

— Chodź stąd!... Dosyć będziesz miał tej wódki na dziś. Zostaw forszę, jaką jeszcze masz, aby ci starczyło na kilka dni... Nie zapominaj, że Pawiak jeszcze istnieje i możesz tam powrócić...

— Gwiżdżę na Pawiak i na ciebie! — zawołał głośno Lipek. — Ja dziś hulam całą noc. Wszystką forszę, którą dostałem dziś od pasera, muszę przepić! Spodziewałem się „złapać” parę wiosenek, a tu jestem na wolności. Rozumiesz!... Wolny, jak ptak. Niech żyje wolność!!... — ryknął na całe gardło. — Niech żyje!...

Kilku gości obstało ich, zwabieni krzykiem Lipka. Roman musiał użyć całą siłę woli i pięści, by wyprowadzić Lipka z jadłodajni. Lecz ten ani myślał dać spokój. Na ulicy począł śpiewać nagłos ulubioną swoją piosenkę:

Świeci księżyc, świeci,
Naprzeciwko słońca,
Na moje nieszczęście
Nigdy niema końca...

Roman złapał go wpół, zasłaniając mu ręką usta.

Lipek wrywał się z pijackim uporem i śpiewał dalej; zniżając jednak nieco głos:

Nigdy niema końca,
I końca nie będzie,
Bom się dał zapisać
W warszawskim urzędzie.

W Warszawskim Urzędzie,
Ładne pomieszkanie...
Nie jeden zapłacze,
Kto się tam dostanie.

Ja się tam dostałem,
Nic mnie nie zrobili...
Co ja nie umiałem,
To mnie nauczylł.

Jeden mnie nauczył
Pisać i rachować...
Drugi mnie nauczył
Kraść i dobrze schować.

Prowadzą mnie do sądu,
Pomagaj ty mnie, Boże!...
Siostry, bracia stoją —
Nikt mi nie pomoże.

Dowidzenia, siostro!
Dowidzenia, bracie!
Sędzia mi zasądził
Nowe cztery lata.

Kilku gapiów ulicznych otoczyło ich wokoło. Widząc, że Lippek nie ma zamiaru przerywać swego występu, Roman zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, zanim policjant zdążył zaopiekować się nimi.

Romek polecił zawieźć się na jedną z melin, gdzie ułożył Lipka, po wielkim trudzie, do snu. Lippek śpiący i pijany nie przestawał śpiewać swej ulubionej piosenki.

Roman walczył teraz z sobą, czy pozostać także tutaj, czy też udać się do swej opiekunki. Wypita wódka dawała mu się teraz we znaki. W końcu zdecydował, że prześpi się tu. Uczyniwszy to postanowienie, położył się obok Lipka. Ten chrapał jednak tak donośnie, że Roman w żaden sposób nie mógł zasnąć. Meliniarka, spodziewając się dobrej nagrody, nie spała także, tylko czuwała nad Lipkiem. Przykładała mu kompresy zimnej wody, a on mamrotał coś nieprzytomnie przez sen.

Właścicielka meliny chciała się także zaopiekować i Romkiem, jednak, widząc, że jest przytomny, dała spokój. Romek zauważył wnet, że ona obszukuje delikatnie kieszenie od spodni Lipka. Nie mogła przecież wiedzieć, że przy opłacaniu taksówki, Roman zawczasu schował portfel Lipka przy sobie, w obawie by nieprzytomnego kolegę nie okradziono. Wiedział aż zanadto dobrze, że należy być ostrożnym w Warszawie.

Rano, gdy Roman otworzył oczy, dostrzegł, że Lippek jest zajęty piękną meliniarką. Ogarnęła go wściekłość na wszystko i na wszystkich. Wyskoczył

czymprędzej z łóżka i począł się gorączkowo ubierać.

Lipek i meliniarka udawali, że śpią. Kiedy jednak zobaczyli, że Roman zdecydowanie kieruje się ku drzwiom, otworzyli oczy, udając, że się właśnie w tej chwili budzą, a Lipek odezwał się:

— Dokąd uciekasz?... Dziś nie jestem już wstawiony i będziesz mógł mi opowiedzieć, co zaszło przez cały czas mej nieobecności. Odnowimy naszą spółkę...

— Dziękuję!... To zbyt wiele!... — wyrzucił z nietajoną złością i zastrzasnął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ XXVI.

W chwilę później biegł z wszystkich sił w kierunku ulicy, przy której mieszkała jego opiekunka. Była jeszcze wczesna pora. Ludzi na ulicach była znikoma ilość, to też nikt nie przeszkadzał Romanowi w kontynuowaniu biegu. Zdyszany stanął na rogu ulicy, oddychając ciężko. — Gdzie lecisz?... Głupcze! — zapytał sam siebie. — Jakto gdzie... — odpowiadał sam sobie w duchu. — Lecę, by raz na zawsze zerwać ze wszystkim. Nic mnie teraz nie wiąże z tym światem. Lipiek jest na wolności, a zresztą przy Lipku nie potrafię się wydzwignąć. Niech on tam czeka na mnie... — zaśmiał się w duchu. Portfel wsunął mu poprzednio do kieszeni. Niech się cieszy meliniarką, — myślał, — która go zapewne w niedługim okresie czasu doszczętnie ogoli z forsy.

Wolnym już krokiem wszedł do piekarni. Gospodyni jeszcze nie zastał. Gospodarz przywitał go podejrzliwym rzutem oka i pytaniem:

— Widzę, że nie śpieszno wam wcale do pracy. Gdzieście byli przez te dwa dni?...

— Chory byłem, proszę pana...

Gospodarz przyjrzał mu się uważnie i powiedział gwałtownie:

— Jak nie możecie pracować, to nie! Chorych ludzi nie potrzebuję.

— Już jestem zdrow i przyszedłem do pracy, proszę pana.

Właściciel piekarni nic już nie odpowiedział, gdyż musiał poświęcić uwagę klientom.

W kilka minut później weszła do sklepu jego żona. Zmierzyła Romana badawczym a zarazem współczującym wzrokiem. Nie pytała o nic, tylko poleciła Romanowi, aby zeszedł nadół do piekarni.

Nocna praca w piekarni była właśnie na ukończeniu. Czeladź śpieszyła się z odrabianiem reszty ciasta, przygotowując je do wsunięcia do pieca. Nikt nie zwrócił uwagi na Romana. Stał, ciekawie obserwując pracujących ludzi. Nagle poczuł uderzenie. To chłopak, śpiesząc się z deską, na której leżało kilka bochenków chleba, potrącił go niechcący. Czeladnik majstrujący coś przy piecu, zerknął na niego gniewnie, mrużąc coś pod nosem.

— Czego się tu pan pętasz pod nogami? — zawołał chudy czeladnik głosem, w którym Roman rozpoznał nutę obawy o konkurencję.

Nic nie odpowiedział, usuwając się w bok.

Czuł się bardzo niezręcznie. Nikt nie przywitał go tu przyjaznym spojrzeniem. Stał nieruchomo kilkanaście minut. Chciał właśnie wrócić do sklepu na górę, gdy usłyszał basowy głos samego majstra i jego ciężkie kroki schodzące po schodach na dół.

— Czemu stoisz tak niemrawo?... Jazda rozebrać się! Janek, chodź no tu! — zawołał na pucułowatego, młodego chłopaka. — Wydadz jemu ubranie, białą czapkę i fartuch!

Oczy kilkunastu czeladników, jakby na komendę, po słowach majstra skierowały się na Romana. Odrazu wywnioskował, że nie są do niego przychylnie usposobieni.

Przebrał się w piekarski strój, umył ręce aż po łokcie i na rozkaz majstra wetknął dłonie w olbrzymie bajty do wyrabiania ciasta.

Mąka i woda pod naporem wysiłku jego mięśniów zmieszały się w szybkim tempie i zamieniły w ciasto... Oczy współpracowników, utkwione w jego rękach, dodały mu sił, aby załatwić się z tą kupą mąki i zaprezentować obecnym swe umiejętności fachowe. Majster, stojący na boku i przyglądający się jego wysiłkom, klepnął go zadowolony protekcjonalnie w plecy i oddalił się.

Roman wykładał gotowe ciasto do odrabiania. Czeladnicy jeden za drugim obmacywali ciasto. Poznał po ich minach, że nie są zadowoleni, że tak dobrze wywiązał się z powierzonego sobie zadania. Współzawodnictwo wzbudziło w tych ludziach uczucie zazdrości.

— Czego się tak ruszasz, jak wół w karecie? — zawołał werkmistrz, kiedy Roman nie dość prędko podsunął mu kawałek ciasta do odrabiania. Roman zauważył, że werkmistrz umyślnie śpieszy się, aby on nie mógł nadażyć z robotą. Pocił się, sapał i gwał

z całych sił, aby Roman tylko nie nadażył. Robotnicy śmieli się zcicha, widząc jak „przybłęda“ zostaje w tyle. Zgniewała wreszcie Romana ta prowokacja i zawołał:

— Czego się pan tak śpieszy? Dostaniecie jeszcze ataku sercowego.

„Werkmistrz“ na te słowa, przestał wywijać rękoma. Utkwił błędny wzrok w Romana, poczem nagle krzyknął na całe gardło:

— A ty coś za jeden? Niema jeszcze godziny, jak tu pracujesz, a już pyskujesz. Znamy się na takich gościach, łamistrajku!...

Wszyscy w piekarni poczęli gniewnie pomrukiwać.

— Podlizał się majstrowi, a teraz chce nami rządzić... Nie uda ci się, bratku!!... Trafiała kosa na kamień!

Groźna postawa, jaką przyjęli względem niego, omal nie wywołała łez w jego oczach. — Czego ci ludzie chcą ode mnie? — myślał. — Dlaczego podejrzewają mnie, że chcę im szkodzić?... Czy na takiego wyglądam, aby to uzasadniało ciągłe podejrzewanie mnie o nikczemne zamiary?...

— Towarzysze! Czego wy ode mnie chcecie? Jestem bezrobotnym i chcę żyć. Nie przeszkadzajcie mi w pracy. W jakim celu rzucacie mi kłody pod nogi?... Czy jesteście pewni, że nigdy nie będziecie bezrobotnymi... — zawołał z żalem w głosie.

Te słowa zrobiły nadspodziewanie piorunujące wrażenie. Robotnicy oszołomieni, patrzyli teraz jeden

na drugiego, mocno zażenowani. Jeden z czeladników, w starszym już wieku człowiek, chudy jak szkielet, który od samego początku nie brał udziału w intrydze uknutej, (jak się Romanowi zdawało) przeciwko niemu, zbliżył się do przybysza z wyciągniętą przyjaźnie dłonią:

— Czy towarzysz ma legitymację związkową?

— Nie mam.

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony.

— Dlatego, że nie jestem tutejszy.

— A skąd? — zapytało kilka głosów naraz.

— Z Rosji.

— Z Rosji... — powtórzyli z jeszcze większym zdziwieniem.

— Uciekłeś od bolszewików! — zawołał starszy piekarz. — Rozumiem...

— Wcale nie uciekłem... — zaoponował.

— Tylko co?... — zdziwienie potęgowało się.

— To już moja osobista sprawa... — odparł.

— Ale trzeba należeć do związku — powiedział ów starszy człowiek. — A na jakich warunkach przystąpiłście tu do pracy?

— Nie wiem jeszcze.

— To gorzej. Właściciele chcą, aby na nich za darmo pracowano. Trzeba się było wpieryć umówić. Wy musicie brać taką zapłatę, jak każdy inny pracownik i nie psuć nam ceny...

— Nie mam zamiaru szkodzić komukolwiek. Jestem proletariuszem, tak samo jak i wy! — zawo-

łał, starając się to wymówić z naciskiem, aby nadać tym słowom należyte znaczenie.

— Doskonale! — odezwali się zgodnie wszyscy.
— Teraz już będzie między nami wszystko w porządku.

— Takich draniów łamistrajków, którzy prowokują robotnika, dziś nie brak. Myślałem, że i wy do nich należycie — odezwał się werkmistrz. — Ale teraz bardzo was przepraszam.

Podali sobie ręce, a praca już teraz potoczyła się normalnym biegiem, przy doskonałym nastroju wszystkich pracujących.

Po skończeniu zajęć, robotnicy zaprosili Romana na kufelek piwa. Jego opiekunka, widząc go między nimi w takiej komitywie, jakby się znali już lata całe, nie okazała zbytniego zadowolenia. Gospodarz zaś wyraźnie dał Romanowi odczuć swe niezadowolenie. Tego samego dnia, pod wieczór, pouczał Romana, aby nie zawierał z nimi koleżeństwa. — To dranie, — mówił, — których powinieneś starannie unikać.

ROZDZIAŁ XXVII.

Upłynął tydzień przy ciężkiej pracy w piekarni. Zaufanie towarzyszy pracy do Romana wzrastało z każdym dniem. Obiecali nawet wystarać się o to, by przyjęto go na członka związku piekarzy. W wolnych chwilach spał, lub czytał książki, w których szukał teraz odpływu dla swojej wybujałej fantazji. Czytając sensacyjne książki, wyobrażał sobie, że gra rolę jednego z bohaterów. Nie mógł przecież znaleźć zupełnego wyładowania energii w pracy fizycznej. Musiał dać odpływ swojej energii podczas czytania, widząc, oczyma wyobraźni, siebie, awanturującego się na szerokim świecie. Wystarczyło mu to w zupełności, aby utrzymać równowagę ducha w obecnym trybie życia. Starał się starannie omijać wszystko, co mogłoby go zetknąć z dawnymi kolegami po fachu.

Dziwna rzecz po prostu, że nie czuł wcale tęsknoty za dawnym towarzystwem. A nawet przeciwnie. Na samo tylko wspomnienie o dawnym życiu, które prowadził, doznawał przykrych dreszczy po całym

ciele. Żył teraz ciągle w strachu, aby ktoś z tych uczciwych robotników, którzy kolegowali się teraz z nim, jak równy z równym, nie dowiedzieli się o jego przeszłości. Przestrach go ogarniał na myśl o tym, że pewnego pięknego dnia odkryją, kim właściwie był. Wiedział dobrze z rozmów prowadzonych z nowymi kolegami, jaki wstręt ci ludzie pracy odczuwają do świata, który on pożegnał niedawno. Roman zastanawiał się nieraz, skąd się bierze ta nienawiść u ludzi, którzy, jego zdaniem, stoją przecież o jeden krok nad przepaścią. Niech no który z nich straci pracę i dach nad głową, a sam się nie zorientuje, kiedy i jak zostanie wepchnięty w szeregi wykolejeńców. Zresztą, kto dostarcza największej materjału ludzkiego dla „żywych grobowców“, jeśli nie proletarjat?... Z kogo rekrutują się szeregi tak zwanych ludzi występku w obecnych czasach, jak nie z tych ludzi, co potracili posady, a życie samo, pod groźbą głodowej śmierci, przymusiło ich, by wstąpili w te szeregi pogardzanych istot rodu człowieka. Prędzej, zdaniem Romana, dostaje się do więzienia stu pracowników, aniżeli jeden pracodawca.

Po skończeniu pracy, zmęczony fizycznie i psychicznie, Roman pada na swój barłóg, w ubraniu. Nie może jednak zasnąć. Myśli w dzień i w nocy o tym, żeby nie zboczyć z raz obranej drogi. Jego sposób prowadzenia się i omijania ludzi, musiał wywołać cień podejrzenia u kolegów i u majstra, który tyłeż wiedział o jego przeszłości, co i oni. Tylko jed-

na gospodyni na widok Romana uśmiechała się skrycie. Była dumna z tego, że Roman powierzył jej swoją tajemnicę i że ona potrafi nikomu jej nie wyjawic.

Po upływie tygodnia twarz mu się postarzała. Spowaźniał bardzo. Czuł, że wielka zmiana zaszła w nim na lepsze. Opiekunka nadal interesowała się nim z zupełną bezinteresownością. Zaopatrywała go w praktyczne i pożyteczne dlań wskazówki, jak się ma zachowywać, aby nikt nie dowiedział się nigdy o jego ciemnej przeszłości. Najwięcej obawiała się tego, by mąż nie zrozumiał wszystkiego. Mówiła niekiedy żartobliwie: — Mój mąż, gdy się dowie, jak się rzecz ma w istocie, to nas z pewnością stąd wygna. On jest bardzo podejrzliwy i gotów jest mnie posądzić o zdradę. — Na te słowa Romek odparł: — Nie chcę pani narazić na tak wielkie przykrości i wolę odejść zawczasu. — Ona, wzruszona tą jego decyzją, pochwaliła jego szlachetność i stanowczo zabroniła mu tego czynić.

Bywały takie chwile, kiedy myślał, że ona ma jakieś ukryte plany względem niego. Jako kobieta, podobała mu się ona bardzo, a jednak nie znajdował na tyle odwagi, by ją zaczepić. Jedno jej słowo wystarczało, aby jego niskie myśli w związku z nią zniknęły odrazu.

Ta kobieta potrafiła wzbudzać w ludziach szacunek dla siebie.

ROZDZIAŁ XXVIII

Pewnego wieczora Roman wybrał się na dłuższy spacer. Szedł zamysłony, nie patrząc wcale na przechodniów. Nikt go nie interesował i on także niktogo. Płatki śniegu igrały w powietrzu, obsypując chodniki i przechodniów. Odczuwał wielką przyjemność z brodzenia po mokrym śniegu. Był szczęśliwy, że może bez strachu błąkać się po ulicach, a zarazem minioną przeszłość mąciła ten spokój, do którego całą duszą tęsknił.

Wzrok jego padł na przejeżdżające z hałasem auta i dorożki. — Kto wie — pomyślał, — jakie straszne przestępstwo popełnia być może ktoś w tej chwili w tym mknącym, ładnym aucie, gdzie tak szczelnie zasłonięte jest okno... Kobięcy śmiech obił się o jego uszy... Nagle przypomniał sobie Felcię. Napewno w tym aucie podobna do Felci kobiet dusiła jakiegoś mężczyznę, wyciska od niego, co się da... Stał obok wystawowego okna cukierni na Krakowskim Przedmieściu i obserwował przechodniów, którzy mijali się z pośpiechem. Doład dażą i

śpieszą ci ludzie?... Czy wszyscy idą spełnić „niekarmalne” uczynki?... A może któryś z nich śpieszy do miejsca przestępstwa, o której nigdy gazeta nie wspomni i za którą ten człowiek nie poniesie zasłużoną karę. Wiele to przestępstw ludzie popełniają, o których nigdy opinia publiczna się nie dowie.

Im większe jest miasto i więcej tam ludzi, — filozofował sobie Roman, — tem więcej przestępstw tam popełniają. W wielkich masywnych, pięknych gmachach, wznoszących się dumnie ku niebu, dzieje się nieraz więcej przestępstw, aniżeli w małych zapadniętych i chyłących się ku ziemi domkach przedmieść. W apartamentach zasłoniętych drogimi, jedwabnymi firankami, mogą się dziać bardziej wyrafinowane zbrodnie, niż w ciasnych pokojach robotniczych.

Elegancka kobieta, ubrana podług wymagań ostatnich wzorów mody, stanęła obok Romana i poprosiła go o ogień. Spojrzał uważnie i drgnął. Ona też go poznała.

— Ach, to ty... Co słyhać?...

Nie dał jej na to odpowiedzi, wykręcając się na pięcie. Usiłował skrócić w najbliższą przecznicę.

— Czego tak uciekasz? Jeśli chcesz, to możemy się dziś przyzwoicie zabawić... — szepnęła mu kusząco do ucha. — Zabrałam dziś frajerowi na „podchód” kilkaset dolarów. Całe życie mnie popamięta... — roześmiała się.

— Odknaj się! — zawołał zirytowany Roman.

— Ja nie mam dolarów, a nawet i polskich pieniędzy nie posiadam.

Przyśpieszył kroku, skręcając w Plac Piłsudskiego. Ona także podążyła za nim.

Zatrzymał się nagle.

— Czego chcesz?... — zawołał groźnym tonem.

— Chcę ci pomóc. Poznaję po tobie, że jesteś mortusowy.

— Co to ciebie obchodzi? Odejdź!... bo zawezwę policjanta... — wyrwało mu się.

— Ha... ha... — wybuchnęła śmiechem. — Mnie straszysz policją. Nie wiem, kto się jej powinien więcej obawiać...

Odwrócił się od niej ze wstrętem i widząc, że ona nie zamierza opuścić go, wskoczył do przejeżdżającej dorożki i kazał się odwieźć do swego miejsca pracy.

Dorożkarz, jak Roman zdążył wywnioskować po jego minie, nie mógł zrozumieć, dla jakich powodów Roman wzbrania się przed towarzystwem tak pięknej i młodej kobiety. Cmokał wargami, kiwał głową niezadowolony. Zapewne myślał, widząc Romana obok niej, że dostanie suty napiwek.

Roman oddał ostatnie grosze za dorożkę i zabrał się prędko do pracy. Starał się zapomnieć o tej przygodzie. Jednak nie mógł pracować spokojnie. Był ogromnie zdenerwowany. Piękne oczy kusicielki prześladowały go, nie dając spokoju nerwom, skłonny podążyć za naporem zmysłów. Walka, która toczyła się w nim, podrażniła jego nerwy i umysł. Gnie-

wało go, że musi teraz tu pracować, zamiast wesoło spędzać czas w towarzystwie kapłanek wolnej miłości. Znow pociągało go to życie, które niedawno opuścił. Chorobliwa fantazja dążyła krok w krok za tę kobietą, przed którą uciekł. Chciał ciężką pracą i fizycznym wysiłkiem zmusić siebie, by myśleć wyłącznie o cieście, które wyrabiał.

Ten stan przygnębienia zauważyli koledzy w piekarni. Zauważył, że prowadzą szeptem rozmowę, która musiała dotyczyć jego osoby. To doprowadziło go do jeszcze większej wściekłości.

Wiedzą już kim jestem... — dokuczala mu uparta myśl w głowie. Nie mógł tego dłużej znieść i zbliżył się do nich. Równocześnie z jego zbliżeniem się, robotnicy oddalili się od siebie, co jeszcze więcej upewniło go w podejrzeniach. Wydawało mu się, że starszy majster jakoś drwiąco nieznacznie się uśmiecha. Roman uczył, że rumieniec oblewa mu twarz, kiedy oczy któregoś z kolegów śkicrowywują się na niego. Wreszcie nerwy nie wytrzymały naporu różnorodnych domysłów i Roman wybuchnął:

— Czego wy tak na mnie spoglądacie dziwnie?... Może znow zaczynacie mnie podejrzewać?

Robotnicy odpowiedzieli chóralnym śmiechem, co Romana jeszcze bardziej wyprowadziło z równowagi.

— Co za idjotyczne śmiechy! — krzyknął siniejąc ze złości. — Gwiżdżę na was, smoluchy!... Psia krew!... — wyrwało mu się nieopatrznie.

Obecni odrazu spowaźnieli.

— Jakto?... Ty nas nazywasz „smoluchami“?...
— wykrztusił poblady z wrażenia starszy majster. —
Aha!... teraz rozumiem już wszystko...

— Czego się tak drzesz, frajerze?... — Roman nie zauważył wcale, że zaczyna używać żargonu złodziejskiego, będącego całkowicie nie na miejscu wśród tych ludzi.

Wszyscy patrzyli teraz na niego, jakby mieli zamiar się nań rzucić, aby go wspólnie zdławić. Twarze ich wyrażały zdziwienie, łączące się z nienawiścią. Roman pojął, że jest zgubiony. Wyszledzili zapewne, kim jest, kiedy tak nagle przybrali względem niego wrogą postawę. Uważał ich już bowiem za swych przyjaciół, a tu naraz następuje tak wielka zmiana.

Zdecydował, że nie należy się załamywać.

— Co ty rozumiesz... — krzyknął w odpowiedzi starszemu czeladnikowi. — Gadaj, jak masz gadać nie bądź tchórzem!...

— Co tam gadać?! — powiedział jeden z czeladzi głosem, w którym brzmiała decyzja. — Słuchaj, ty jesteś prowokatorem... Wiemy już o wszystkim

— Kto!!... Ja prowokatorem?... Oszalesiście?...

— Poco tyle gadać!... — wtrącił się starszy majster. — Uciekaj lepiej stąd, pókiś cały. My prowokatorów między nami nie potrzebujemy. Wołałeś na nas „smoluchy“, bo ty jesteś burżujski synek. Szkoda, że udało ci się uciec z Rosji, a bolszewicy nie zrobili końca z tobą. Jesteś kontrewolucjonistą i dlatego uciekłeś. My już wszystko wiemy.

— Tak, my już wszystko wiemy... — powtórzyła reszta robotników. — Precz stąd!.. Zdrajców nie zniesiemy wśród nas!..

Romana śmiech pusty ogarnął. Zrozumiał już teraz, że gadatliwy gospodarz zwierzył się swym pracownikom z tego, kim jest Roman. Roman był rad, że tylko tyle wiedzą. Nie namyślając się ani chwili, powiedział:

— Kto wam to natrajłował, głupcy?...

— To już nasza rzecz — odparło kilka głosów naraz.

— Słuchajcie, towarzysze... — zaczął łagodnym tonem.

— Nie nazywaj nas „towarzyszami“. Jak świat światem, prowokator nie był i nie będzie naszym towarzyszem.

— Wysłuchajcie mnie naprzód, a potem będziecie krzyżeć...

— Niech mówi. — powiedział starszy majster. I tak nie damy się nabrać. My od pierwszej chwili wiedzieliśmy, że z tobą nie tak gładko pójdzie. Tyle bezrobotnych się kręci, a nikt im tak łatwo pracy nie daje. A ten — tu wskazał na Romana palcem, — cholera wie, skąd przybył, a już dostał pracę. A jak gospodyni opiekuje się nim!.. Ja zaraz zwąchałem, że tu pachnie jakąś prowokacją.

— Czy dacie mi mówić, czy nie?... — powiedział Roman, zniecierpliwiony już mocno.

— Niech mówi! Niech mówi!.. — ozwały się gło-

cy czeladników, ciekawych, jak on też wybrnie z tej matni.

— Nie pochodzę wcale z Rosji...

Kilka głosów przerwało mu dalsze słowa. Robotnicy oponowali przeciw jego słowom, wymachując zapapranymi ciastem rękami w powietrzu.

— Nowa trajła... Już nie pochodzi z Rosji. Daremnie się tłumaczysz... Oczu nam więcej nie zamydlisz... Mamy fakty...

— Ale winniście mnie wysłuchać, a później mówić. Jeżeli przekonacie się, że kłamię, wtedy pójdę sobie. Zaręczam wam, że jesteście na fałszywej drodze.

Spojrzeli nań uważnie. Roman mówił dalej z przekonującym spokojem:

— Powiedziałem umyślnie gospodarzowi, że pochodzę z Rosji, że uciekłem w obawie przed bolszewikami, którzy zamordowali moich rodziców. Opowiem wam prawdę, tylko dajcie mi słowo honoru, że wy nie będziecie prowokatorami, kiedy usłyszycie ode mnie prawdę.

— Między nami nie ma prowokatorów! — zawołano jednogłośnie. — Możesz mówić śmiało...

— Więc słuchajcie uważnie, a przekonacie się, jak bezpodstawne były wasze podejrzenia i jak bardzo mnie obraziliście nimi. Ja nigdy nie byłem „kapusiem”... to jest... chciałem powiedzieć... prowokatorem i nie będę...

Ugryzł się znów w język. Mimowoli posługiwał

się żargonem złodziejskim. Postanowił być nadal ostrożnym i ciągnął dalej:

— Opowiedziałem zmyśloną bajeczkę gospodarzowi, by dostać pracę. Nikt mi rodziców nie zamordował, tylko zmarli sami, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Wychowała mnie ulica. Cierpiałem głód i chłód jak każda sierota, który nie ma osoby, opiekującej się nim. Wałęsałem się po świecie, jak bezdomny pies, aż trafiłem do piekarni. Nie potrzebuję wam chyba opowiadać, co ja się wycierpiałem w terminie u piekarza, który napozór z litości przyjął mnie do pracy. Musiałem pracować po nocach w piekarni, a w dzień taszczyć kosze z pieczywem na rynek. Każdy z was wie przecież, jak nacierpi się terminator piekarski, aż pozwolą wyuczyć mu się zawodu. Musiałem rąbać drwa i niańczyć dzieci gospodarza. Ukradkiem spałem po dwie, trzy godziny na dobę. Co ja się nacierpiałem u tego pierwszego pracodawcy... Nigdy tego nie zapomnę... Padałem z nóg z nawału pracy, jaką na mnie zwałano. Moje miejsce wypoczynku było na piecu, wśród brudu i różnego robactwa. Nieraz upadałem zmęczony, wyczerpany do cna, w jakieś ciemnej sieni i zasypiałem, nie odczuwając wcale niewygody twardych desek, które wrzynały się w moje ciało.

Przerwał na chwilę tok opowiadania i powiódł wzrokiem po czeladnikach. Milczeli, zasluchani w jego opowieści.

— Zazwyczaj z tego twardego łoża — mówił dalej — przebudzał mnie kopnięciem w bok majster,

który odnajdywał najczęściej moją kryjówkę. Trzymając mnie za ucho, prowadził mnie do piekarni, gdzie starszy czeladnik wymierzał mi karę szpauzłem. Trwało to do tego czasu, aż doszedłem do rozumu... i pewnego poranka uciekłem obdarty i bosy, nie wiedząc sam, dokąd pójść.

— Niech je piorun trzaśnie te pijawki — gospodarzył... — zawołał jeden z czeladników, który cały czas przysłuchiwał się opowiadaniu z zapartym tchem. — Mnie tak samo męczyli, kiedy byłem w terminie. Ale ja nie byłem głupi i zaraz zwiąłem. Drugi gospodarz, u którego terminowałem, też był cholerę wart, ale jeszcze uszło. Opowiadaj dalej. Widzę, że mówisz prawdę!...

— Tak, prawdę mówi... — powtórzyli inni, którzy przysłuchiwali się jego zwierzeniom z niemniejszym zainteresowaniem. — Któż z nas, braci piekarskiej, na własnych plecach nie doznał tego wszystkiego... Oni potrafią nawet i małeletnie dzieci zameczyć pracą. Dotychczas mówisz prawdę, a dalej zobaczymy...

— Tak, tak; smutne to było życie... — ciągnął dalej Roman, udając że patrzy w dal, jakby wywoływał wspomnienia już okryte pyłem czasu. Opowiadał zasłuchanym kolegom, że męczył się kilka lat w różnych miejscowościach i u różnych chlebobawców. Przekonał się, że każdy pracodawca chce jaknajwięcej pracy zeń wydobyć i jaknajmniej za nią zapłacić. Bolało go, gdy widział, że ludzie pracują w pocie czoła, nie zarabiając nawet na życie. Zaprzysiął w duchu

zemstę [klasie posiadającej. Gdzie tylko mógł, szkodził jej, aż dostał się do więzienia.

— Do więzienia... — w głosie robotników przebijają współczucie.

— Rybki połknęły haczyk — pomyślał Roman w duchu. Zrobił odpowiednią pauzę, aby słowo „więzienie” nie przebrzmiało odrazu, poczem ciągnął dalej:

— Więzienie... Jakże łatwo wymówić to słowo... Ale nie łatwo tam żyć... Zresztą, ja tam nie żyłem wcale... Z chwilą, kiedy mnie tam wtrącono, doznałem wrażenia, że ludzie przestali istnieć wraz ze mną. Nie będę wam opowiadał o wszystkich więzieniach, gdzie siedziałem i cierpiałem. Jedno tylko więzienie dało mi się tak we znaki, że nie zdolny jestem wam tego opisać.

— A długo tam siedziałeś... — zapytano znów jednogłośnie.

— Nie długo. Sześć lat tylko...

— Sześć lat, do jasnej cholery!... To niemożliwe... Żaden człowiek w więzieniu sześciu lat nie wytrzyma. Bujasz... — zawołał starszy majster.

— Wytrzyma, wytrzyma i więcej... — odparł jeden z czeladników. Czy Janek nie dostał dziesięć lat za politykę?... A Antek, ten, co pracował na Powązkach, nie dostał osiem lat?... Słyszałem, że podobno, są tacy ludzie, którzy dostają wieczne więzienie też.

— Dostać to można i trzy razy po wieczne więzienie, ale sztuka to wysiedzieć! — odparł starszy

majster z przemądrzałą miną. — A za co siedziałeś w więzieniu, o ile można wiedzieć?...

— Przecież nie za kradzież — uśmiechnął się jeden z czeladników — za to ja wam ręczę... — roześmiał się.

— No, no, ty tylko nie bądź taki pohopny!... — powiedział ktoś z obecnych, patrząc nieco podejrzliwie na Romana. — W życiu różnie bywa, można siedzieć i za kradzież zupełnie niewinnie.

— Ja nie siedziałem za kradzież, możecie być o to spokojni... — powiedział Roman śmiało, starając się słowo „kradzież“ wymówić gładko bez zajknięcia się. — Siedziałem nie poraz pierwszy, lecz wszystko za politykę.

— Dobrze. Wierzymy ci, że siedziałeś za politykę. Ale chcemy dowodów, rozumiesz?... Udowodnij nam, że nie pochodzisz z Rosji i, że siedziałeś w więzieniu.

Roman podszedł do swego ubrania i wyjął z niego swój dowód osobisty. Przedstawił im także kartę zwolnienia z więzienia, którą dotąd przechowywał. Po przejrzeniu dowodów Romana, robotnicy jednogłośnie uznali, że przybysz stoi wyżej od nich wszystkich. Ściskano mu po przyjacielsku dłoń i przepaszano, zapewniając, że jutro zaprowadzą go do związku piekarskiego i że będzie przyjęty na członka zrzeszenia. Oni gwarantują za to... — mówił jeden z przejęciem.

Roman, chcąc upewnić swych kolegów, że nie skłamał, powołał się na znane powszechnie tak zwa-

ne „grube ryby“, którzy siedzieli z nim w więzieniu. Czeladnicy słysząc, że Roman przebywał w więzieniu wraz ze znanymi działaczami partyjnymi, nabrali dlań takiego respektu i przywiązania, że byli gotowi za nim nawet w ogień skoczyć.

Podczas powyższej rozmowy, która trwała dość długo, ciasto podrosło w bajtach i było gotowe do odrabiania. Każdy czymprędzej zabrał się do pracy, by powetować stracony czas. Romanowi praca szła opornie. Zdrętwiałe ręce wykonywały niezgrabnie mechaniczne ruchy. Kłamał jak najęty. Ze swoim sumieniem był jednak zupełnie w porządku. Nie oszukiwał przecież tych łatwowiernych ludzi dla zysku. Kłamał po to jedynie, by zataić swą smutną przeszłość, której nie mógł przeboleć, a która prześladowała go na każdym kroku. Był gotów pół życia poświęcić, aby tylko jego przeszłość została zmieciona z powierzchni kuli ziemskiej raz na zawsze. Był gotów wszystko uczynić, aby ci ludzie, których szczerze polubił, nigdy nie dowiedzieli się o ciemnej kartce w jego życiu.

Po skończonej pracy, współtowarzysze Romana zaproponowali mu, aby się udał z nimi do związku. Wykręcał się jak mógł, tłumacząc się zmęczeniem. Oni zaś nalegali, zapewniając Romana, że owa wizyta długo nie potrwa, jednakże ustąpili. Musiał im jednak przyrzec, że najbliższej soboty uda się tam wraz z nimi.

Położenie jego było okropne. Z jednej strony nie mógł przecież pokazać się w związku. Z drugiej zaś

drżał o to, żeby majster nie dowiedział się od robotników o Romana tajemnicy, która tak samo była kłamstwem, jak i tajemnica jemu powierzona.

Prócz tego drżał na samą myśl, że koledzy i gospodarz mogą się dowiedzieć prawdy, o której tylko żona gospodarza wiedziała. Jednym słowem, Roman zabrnął w ślepą uliczkę z której nie widział wyjścia.

W ciągu tego czasu był dwukrotnie wzywany przez swą opiekunkę, która prowadziła z nim rozmowę we cztery oczy. Rozmowa tyczyła się wyłącznie jego osoby. Kobieta wypytywała Romana macierzyńskim tonem, o to, jak on się czuje w roli pracownika. Powiedziała mu też, że mąż jej podejrzewa Romana, ponieważ zauważył, że on zanadto koleguje się z robotnikami. — Gdyby to było prawdą, — mówił — że uciekł z Rosji, jako burżujski synek, nie byłby w takich koleżeńskich stosunkach z tą hołotą. —

Nie upłynęły jeszcze dwa tygodnie od chwili, w której znalazł się w tym otoczeniu, a już czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Nie mógł żyć w ciągłym strachu przed zdemaskowaniem. Zauważył też, a może mu się wydawało tylko, że opiekunka drży o swoją skórę przed mężem. Ta szlachetna kobieta zainteresowała się nim bezinteresownie, o czym się przekonał. Czy mógł być na tyle podłym i czełkać, aż go zdemaskują. Nie chciał tego, aby ona cierpiała z jego powodu. Postanowił w duchu, że usunie się corychlej. — Pójdę na daleką prowincję, — powie-

dział sobie, — gdzie mnie nikt nie zna. Spróbuję tam szczęścia. A może tym razem szczęście mi dopisze...

Do świata, z którym zerwał, nie chciał już za nic wracać. Choć nieraz, gdy wieczorami wysuwał się na ulicę, by zaczerpnąć powietrza. kiedy wpraw-
nem okiem dostrzegał dziewczęta na rogu, czuł tęsknotę za dawnym życiem. Ale trwało to tylko jedną sekundę. Starał się wytłumaczyć swym złym podszeptom, że chwila przyjemności przynosi w konsekwencji wielkie nieprzyjemności i straszne skutki.

Zadecydował, że opiekunce o swoim postanowieniu nic nie powie. Wiedział bowiem, że ona będzie cierpieć z tego powodu. Postanowił stąd odejść w sobotę wieczór. Weźmie skromne wynagrodzenie i pójdzie sobie. Przypadek jednak przyspieszył rozwój wypadków.

ROZDZIAŁ XXIX.

Wstał piękny poranek. Zimowe słońce zagłądało do piekarni i na zbolałą duszę Romana padły promienie nadziei na jaśniejszą przyszłość. Kiedy zmienił swe postanowienie, co do ucieczki stąd, po decydującej rozmowie z szlachetną gospodynią... W chwili, kiedy postanowił niezłomnie znieść wszystkie cierpienia, aby móc wytrwać na raz obranej drodze, w tej samej chwili los zemścił się na nim okrutnie. Pech, który go całe życie prześladował, odnalazł go i teraz. Udowodnił Romanowi poraz któryś już, że jest on tylko pionkiem nieznacznym, całkowicie od ślepego trafu zależnym.

Ciężka praca była tego dnia na ukończeniu. Roman był tak bardzo wyczerpany, że chętnie upadłby na zimny asfalt, by zasnąć i zapomnieć o rzeczywistości.

Pozostało mu tylko wyskrobać bajty i umyć je. Zabrał się do tej czynności, ślaniając się na nogach, jak pijany. Zagłębiony w pracy, nie przywiązywał wcale wagi do rozmowy, którą prowadził gospodarz z jakimś ludźmi poza jego plecami. Chciał jak naj-

prędzej skończyć pracę i uciec stąd, by dać wypocząć znużonemu śmiertelnie ciału i nerwom.

Stał odwrócony tyłem do rozmawiających, gdy nagle jakiś znany basowy głos dobiegł jego uszu. Zimny pot zrosił mu czoło. Głos ten smagał go, jak uderzenia biczem. Nie mogło być wątpliwości. Słuch go nie mylił. Ten nieznośny aż do bólu głos, był mu dobrze znany. Skrobał dalej bajtę z coraz większym zdenerwowaniem, nie chcąc obejrzeć się za siebie, by się nie zetknąć oko w oko z właścicielem nienawistnego głosu. Chciałby się zapaść pod ziemię, by uniknąć spotkania. Wtem piskliwy głos majstra zawołał go po imieniu.

— Romek! Wyleż no z bajty! Nie słyszysz, że komisja przyszła?...

Chcąc nie chcąc, Roman wyprostował się, starając się tak swymi ruchami pokierować, ażeby ominąć niepożądane spotkanie. Wtem stało się coś strasznego. Wstyd i strach, jakiego Roman doznał, odjęły mu mowę. Oczy starszego przodownika wpiły się weń z taką mocą, a zarazem tak szyderczo, że musiał odwrócić głowę.

— A ten co tu robi?... — wskazał na Romana palcem przodownik.

Gospodyni, będąca tu wraz z całą komisją, składającą się z kilku osób, zbladła nie do poznania. Patrzyła na Romana tak litościwym wzrokiem, że ten był bliski padnięcia jej do nóg na oczach wszystkich. Gospodarz szeroko wytrzeszczył oczy, otworzył gębę od ucha do ucha i zawołał:

— Skąd pan... zna tego człowieka?...

Przedstawiciel władzy zawahał się na krótki moment, jednak zdecydował się wyjaśnić:

— Stary znajomy!... — powiedział z naciskiem.

— Znamy się od czasu, kiedy jeszcze urzędowałem w biurze śledczym.

Czeladź błyskawicznie porozumiała się między sobą wzrokiem. Oto przekonali się naocznie, że Roman istotnie siedział w więzieniu. On zaś stał oparty o piec, jak człowiek, który oczekuje samosądu, a wie zgóry, że żadna siła nie jest w stanie go wyratować.

Gospodarz patrzył to na żonę, to na Romana, z trudem opanywując ponoszącą go złość. Sanitarna komisja, która przybyła wraz z przodownikiem, oglądała Romana uważniej, aniżeli piekarnię. Przodownik pierwszy przerwał milczenie:

— Jak dawno on tu pracuje? — zapytał gospodarza, starając się przybrać urzędowy ton.

— Będzie ze trzy tygodnie, proszę pana.

— A jest meldowany?

Gospodarz zwrócił się do żony:

— Czy on jest meldowany?...

— Tak jest... — odparła cicho.

— A jak on się nazywa?... — zapytał przodownik tłumiąc ironiczny uśmieszek, co z pewnością nie mogło oznaczać nic dobrego dla Romana.

Gospodarz powiedział jego imię i nazwisko. Oczywiście te, które mu Roman podał.

Przodownik zaniósł się śmiechem.

— Macie szczęście... przyszedłem. To jest jego fałszywe nazwisko. Umyślnie po to dostał się do was do pracy, by was później okraść, a potem... szukaj wiatru w polu. Ja znam jego prawdziwe nazwisko... — wyrzucił z miną triumfatora.

Roman odzyskał przytomność umysłu i z miejsca zareagował:

— Zdaje się panu, że pan zna moje prawdziwe nazwisko.

Panowie z komisji, obserwujący całe zajście, roześmieli się głośno, a jeden z nich powiedział:

— Może pan, panie przodowniku, zna go pod fałszywym nazwiskiem?... Ha... ha... ha...:

— Ja go dobrze znam. Sam go odprawiłem do więzienia. A zresztą zabiorę go ze sobą i przekonam się.

Gospodyni, milcząca dotąd, wtrąciła się nagle:

— Proszę pana, przez cały czas przyglądam się pańskiemu postępowaniu z tym człowiekiem. Muszę panu powiedzieć, iż pan się z nim źle obchodzi. Gdyby nawet było prawdą to, co pan mówi o nim, to dlaczego pan wobec wszystkich to powiedział? Może naprawdę ten człowiek chciał się poprawić i pracować uczciwie... Poco prześladować człowieka, któremu zdarzyło się nieszczęście raz zbłądzić w życiu?... — wyrzuciła z nutą żalu w głosie.

— Ten nie pierwszy raz zbłądził — odparł przodownik. — Ja go dobrze znam. To jest stary złodziej. Jazda, ubieraj się i marsz ze mną!..

Roman stał nieruchomo w miejscu, oszołomio-

ny, z zalem do wszystkich i do wszystkiego na świecie. Nie obchodził go jednak własny ból. Bolało go o wiele bardziej to, że ta szlachetna kobieta cierpieć będzie przez niego. Uczynił kilka kroków w jej kierunku i powiedział wzruszony:

— Niech pani wybaczył... Proszę nie myśleć źle o mnie. Ja chciałem doprawdy pracować. Uczciwi ludzie jednak nie chcą tego. Coż... Nie potrafię walczyć z całym światem...

— Proszę nie mądrzyć się i jazda!... — powtórzył niecierpliwie przodownik.

Gospodyni wystąpiła naprzód, nie oglądając się zupełnie na męża, starającego się ją zmiłogować rozpaczliwymi gestami.

— Proszę pana! Ten człowiek nie jest już teraz złodziejem i niema go pan prawa aresztować. Prowadził się przez cały czas nienagannie, nie mam mu nic do zarzucenia. Ja za tego człowieka mogę zaręczyć.

— Ależ, proszę pani, — zawołał przodownik — dla mnie istnieją wystarczające powody, by go zabrać ze sobą. Zataił swoje właściwe nazwisko, by was okraść. Dzięki tylko przypadkowi, pokrzyżowałem jego nieczne plany...

— Myli się pan... — zawołała wzruszona gospodyni. — On przede mną niczego nie zataił. Wiedziałam o wszystkim. Postanowiłam nikomu o niczym nie mówić. Nawet mężowi. Chciałam się przekonać, czy tacy ludzie mogą się poprawić. Przekonana teraz jestem, że zrobiłabym z niego wartościowego czło-

wieka. Niech pan da spokój i niech mu pan pozwoli spokojnie pracować... Obowiązkiem naszym jest pomagać tym ludziom, a nie utrudniać im poprawę.

— Ta pani ma rację — powiedział starszy pan z komisji. — Niech pracuje. A kiedy coś karygodnego nabroi, zawsze chyba policja będzie mogła się nim zająć...

— Obawiam się, aby wówczas nie było za późno. Te ptaszki fruują na fałszywych nazwiskach, tak że trudno ich wyłapać i wpakować do klatki. Radzę pani nie przeszkadzać mi. — Tu zwrócił się do Romana: — Pokażcie no wasz dowód tożsamości.

Za chwilę przodownik przeglądał dowód osobisty Romana, który mu wręczyła gospodyni, przechowująca większość jego dokumentów. Przodownik był zdumiony. Najprawdziwszy dowód osobisty pod słońcem. Zrobił wielkie oczy, patrząc to na Romana to na obecnych, mrużąc coś pod nosem. Był widocznie niezadowolony.

— Teraz ja już nic nie rozumiem...

— Widzi pan... — zawołał ów człowiek z komisji, który poprzednio stanął w obronie Romana, — Pan zapewne zna go na fałszywym nazwisku. Do porządnej pracy jednak przystąpił pod prawdziwym, własnym nazwiskiem. To samo świadczy już dostatecznie o jego dobrych chęciach. Niech pan mu da spokój. Niech lepiej piecze bułki, aniżeli ma kraść — śmiał się dobrodusznie.

— A kto mnie zapewni, że i ten dokument nie jest fałszywy, moi państwo? Zabiorę go do czasu wy-

jaśnienia sprawy. Kiedy okaże się, że pracuje pod swoim własnym nazwiskiem, to natychmiast go zwolnię.

Gospodyni zwróciła się z uśmiechem do Romana:

— Czy to jest niesfałszowany dokument, proszę prawdę mówić...

— Najprawdziwszy w świecie, proszę pani!

— Wierzę panu.

Tu zwróciła się do przodownika:

— Ja za tego pana ręczę, proszę go nie aresztować.

— Niech pan da spokój... — poparli gospodynię członkowie komisji.

— Jaki ty chcesz za niego ręczyć?... — zaperył się gospodarz. — Co to znowu ma znaczyć?... Mnie ta cała sprawa zaczyna się wydawać podejrzana. Dlaczego mnie o niczem nie wspomniałaś, tylko na własną rękę działałaś... Może go pan zabrać...

Gospodyni zaczerwieniła się zlekka i odparła:

— Postąpiłam, jak chciałam. Za głupi jesteś abym mogła z tobą o podobnych sprawach mówić. Wolałam, abyś ty o wszystkim nie wiedział. Teraz, kiedy już wiesz, mówię ci, że ten chłopak będzie pracował tu tak długo, jak ja tylko zechcę...

Gospodarzowi aż mowę odjęło. Spojrzał tylko na Romka tak nienawistym spojrzeniem, że ten zrozumiał, że musi się stąd usunąć. Nie chciał być przyczyną nieporozumień małżeńskich.

Z tego wypadku zyskał majster. Komisja bowiem,

zainteresowana wypadkiem, nie zwracała już uwagi na porządek w piekarni.

Przodownik zostawił Romana na miejscu dzięki poręczeniu, jakie zań złożyła gospodyni. Odchodząc, policjant pogroził Romanowi palcem, uśmiechając się pobłaźliwie.

— Sprawuj się dobrze, to ci nikt krzywdy nie zrobi. Lepiej pracować w piekarni i zajadać smaczne bułki, niż siedzieć na zgniłej kapuście. Pamiętaj, będę na ciebie baczył, bo jesteś w moim komisaryacie.

Roman nie odpowiedział nic. Był złamany duchowo, a jednak wiedział, co wypada mu teraz uczynić.

Ubrał się prędko, nie umywając nawet rąk po pracy. Śpieszył się, nie odpowiadając na liczne pytania... Nareszcie znalazł się znów, jak bezdomny pies, na ulicy...

KONIEC.



